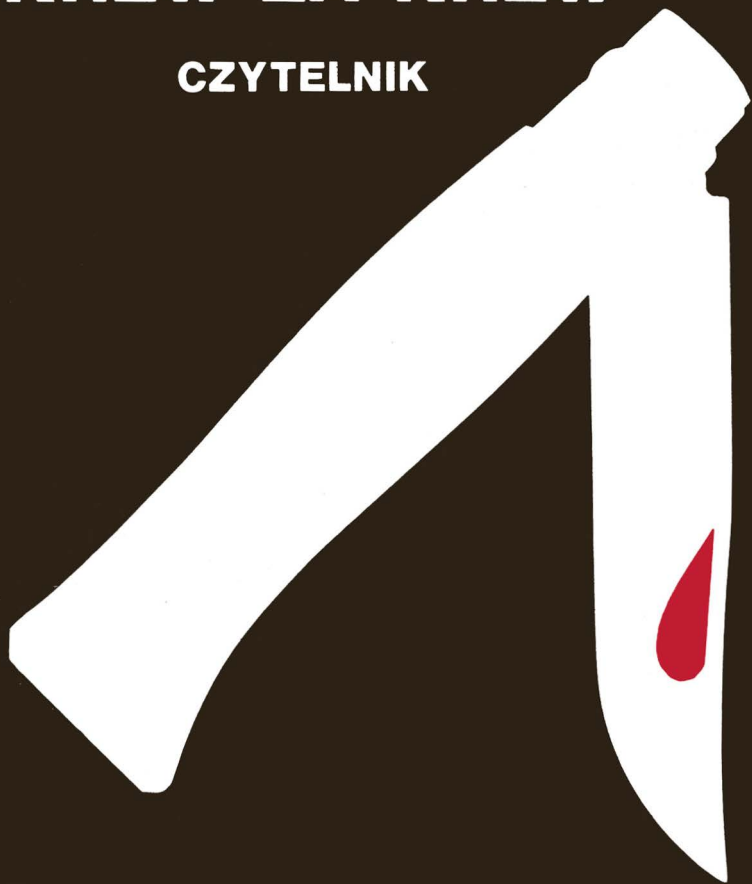


ISMAIL KADARE

KREW ZA KREW

CZYTELNIK



ISMAIL KADARE
Krew za krew

PRZEŁOŻYŁA ANNA MENCWEL

CZYTELNIK WARSZAWA 1988

Rozdział pierwszy

Nogi mu zmarzły. Przy każdym ruchu zdrętwiałych kończyn słyszał jękliwy zgrzyt kamieni pod butami. Sam też chciał wydać jęk skargi. Nigdy dotąd przy głównej drodze za skarpą nie stał tak długo bez ruchu na czatach.

Dzień się kończył. Złożył się do strzału ze strachem, właściwie w panice. Wkrótce się ściemni, półmrok przesłoni muszkę karabinu. – Na pewno przyjdzie przed zmrokiem, póki widać cel – powiedział ojciec. – Bądź cierpliwy, musisz umieć czekać. – Wodził powoli lufą ponad płatami nie stopniałego dotąd śniegu kierując ją ku dzikim granatowcom rozsianym w zaroślach po obu stronach drogi. Chyba już po raz setny przyszło mu na myśl, że jest to wyjątkowy dzień. Następnie lufa wykonała drogę odwrotną, powróciła do punktu wyjścia. Ten wyjątkowy dzień oznaczał teraz płaty śniegu i dzikie granatowce, jak gdyby wyczekujące tu od wielu godzin na to, co ma się stać.

„Niedługo zapadnie wieczór – pomyślał – trudno będzie celować”. Zapragnął, aby zmierzch i noc zapadły natychmiast, żeby pozwoliły mu uciec z tej przeklętej zasadzki. Dzień się jednak nie kończył, musiał więc czekać. Drugi raz w życiu stał na czatach dla dokonania zemsty, ale że miał zabić tego samego człowieka, było to w gruncie rzeczy przedłużenie tamtego oczekiwania.

Znowu poczuł zlodowaciałe stopy, poruszył nogami, aby nie przeniknęło go zimno. Ale chłód dawno go już opanował, sięgnął brzucha, piersi, głowy. Zdawało mu się nawet, że, jak płaty śniegu na skraju drogi, zamarzły mu kawałki mózgu.

Nie był zdolny do żadnej spójnej myśli, którą mógłby logicznie wypowiedzieć. Czuł tylko wrogość do dzikich granatowców i płatów śniegu. Chwilami myślał, że dawno już opuściłby za-

sadzkę, gdyby nie ich obecność. Byli to jego nieruchomi świadkowie nie pozwalający mu się oddalić.

Kolejny raz, chyba już dwudziesty, ujrzał na zakręcie drogi człowieka, który miał stać się jego ofiarą. Szedł drobnym krokiem, nad prawym ramieniem sterczała mu czarna lufa. Człowiek w zasadzce zdrzał. Nie, tym razem to nie przywidzenie. Na niego właśnie czekał.

Gjorg celował, jak poprzednio, w głowę mężczyzny. Przez sekundę zdawało mu się, że głowa droczy się z nim, oddala od linii strzału, zobaczył nawet w ostatniej chwili uśmiech pełen ironii. Pół roku temu miał dokładnie takie same wrażenia i nie chcąc okaleczyć twarzy (skąd w końcu ta litość?) zniżył lufę i zranił wroga w szyję.

Mężczyzna był coraz bliżej. „Oby tym razem nie skończyło się na ranie” – mówił do siebie Gjorg, niemal jak w modlitwie. Grzywna za pierwszą ranę była już brzemieniem dla rodziny, druga stałaby się ruiną. A za strzał śmiertelny nie trzeba będzie płacić.

Człowiek był już blisko. „Lepiej – pomyślał Gjorg – po prostu chybić niż zranić”. Przed oddaniem strzału ostrzegł wroga zgodnie ze zwyczajem, tak zresztą jak poprzednio, kiedy uległ złudzeniom. Ani w tamtej chwili, ani później nie wiedział dokładnie, czy odezwał się głośno, czy słowa uwięzły mu w gardle. Tamten jednak gwałtownie odwrócił głowę. Gjorg ujrzał tylko nieznaczny ruch ręki (chyba chciał ściągnąć strzelbę) i wypalił. Kiedy podniósł głowę, był jeszcze trochę ogłuszony. Widział, jak zabity (mężczyzna wciąż stał, ale Gjorg był pewny, że go zabił) zrobił krok do przodu, upuścił broń, a zaraz potem zwałił się na prawą stronę.

Wyszedł z kryjówki, szedł w stronę ofiary. Na drodze było pusto. Rozległy się tylko jego kroki. Człowiek leżał na brzuchu. Gjorg schylił się, dotknął dłonią jego ramienia, jak gdyby chciał go obudzić. „Co ja robię?” – powiedział do siebie. Znowu chwycił leżącego za ramię, jakby usiłował przywrócić go do życia. „Dlaczego to robię?” – zastanowił się. Zrozumiał po chwili, czemu pochylał się nad zabitym: nie po to, aby go zbudzić z wiecznego snu, ale żeby go przewrócić na wznak. Chciał tylko dopeł-

nić obyczaju. Przyglądały się temu dzikie granatowce i płaty śniegu, jedyni świadkowie całego wydarzenia.

Wstał i już chciał odejść, gdy przypomniał sobie, że zapomniał oprzeć strzelbę o głowę zabitego.

Wszystko to robił jak we śnie. Zbierało mu się na mdłości, mówił sobie, że to z powodu krwi. Wreszcie ruszył niemal biegiem pustą drogą.

Zapadał zmierzch. Odwracał się jeszcze kilka razy, nie bardzo wiedząc dlaczego. W dogasającym świetle dnia rysowała się w oddali bezludna droga ciągnąca się wśród zarośli i chaszczki.

Usłyszał gdzieś przed sobą dzwonki, potem głosy, a wkrótce ujrzał grupę ludzi. Nie rozróżniał w półmroku, czy są to przyjezdni, czy górale powracający z jarmarku. Zbliżyli się niespodziewanie szybko. Mężczyźni, młode kobiety i dzieci.

Powiedzieli mu „dobry wieczór”, stanął. Bez słowa wskazał ręką na drogę, którą właśnie przebiegł, i rzekł z lekka ochryplym głosem:

– Tam, na zakręcie głównej drogi zabiłem człowieka! Przewróćcie go na wznak, dobrzy ludzie, i oprzyjcie mu strzelbę o głowę!

Tamci stali chwilę w milczeniu, wreszcie ktoś zapytał:

– Pewnie ci słabo od krwi?

Nic nie odpowiedział. Ktoś mu doradzał jakiś środek na mdłości, alenie słuchał. Szedł dalej. Teraz, kiedy już ich poprosił o odwrócenie ciała, odczuwał ulgę. Nie mógł sobie przypomnieć, czy sam to zrobił. Kanun – kodeks praw zwyczajowych – przewidywał stan szoku, w którym mściciel może się znaleźć po dokonaniu czynu, i pozwalał, aby przechodnie wyręczali go w tym, czym nie był zdolny się zająć. Ale pozostawienie zabitego na brzuchu, z odrzuconą strzelbą było hańbą nie do wymazania.

Gdy dotarł do wsi, wieczór nie zapadł jeszcze na dobre. Ten wyjątkowy dzień jeszcze się nie skończył. Drzwi kulli* były uchylone. Pchnął je ramieniem i wszedł do środka.

* Kulla – dom mieszkalny górali albańskich, zbudowany z kamienia, najczęściej dwupiętrowy.

– I co? – usłyszał czyjeś pytanie.

Skinął głową.

– Kiedy?

– Przed chwilą.

Na drewnianych schodach rozległy się ich kroki.

– Masz całe ręce we krwi – rzekł ojciec. – Idź się umyć.

Gjorg spojrział ze zdziwieniem na swoje ręce. „A więc odwracałem go”.

Niepotrzebnie się martwił. Jego ręce mówiły wyraźnie, że uszanował prawo.

W kuli unosił się zapach palonej kawy. Ogarnęła go dziwna senność. Nawet dwa razy ziewnął. Błyszczące oczy małej siostrzyczki, pochylonej nad jego lewym ramieniem, wydały mu się odległe, jak dwie gwiazdy za wzgórzem.

– I co dalej? – spytał gwałtownie nie zwracając się do nikogo.

– Trzeba we wsi ogłosić śmierć – odparł ojciec.

Dopiero teraz zauważył, że ojciec wkłada buty.

Kiedy pił przygotowaną przez matkę kawę, doszedł go z zewnątrz pierwszy okrzyk:

– Gjorg Beriszów strzelał do Zefa Krueciuciów!

Szczególny ton tego głosu brzmiał trochę jak obwieszczenie herolda, a trochę jak śpiew psalmisty.

Ów głos nieludzki wyrwał go na chwilę z odrętwienia. Zdawało mu się, że jego własne imię wydarte z ciała, z piersi, skóry rozbrzmiewa okrutnie tam na zewnątrz. Nigdy przedtem nie doznał podobnego wrażenia. Gjorg Beriszów. Powtórzył sam do siebie krzyk bezlitosnego herolda. Miał dwadzieścia sześć lat i po raz pierwszy jego imię przeniknęło do samych trzewi życia.

Ptaki śmierci przekazywały je sobie jak na skrzydłach.

W pół godziny później przyniesiono ciało mężczyzny. Zgodnie z obyczajem złożono je na noszach zбитych z czterech konarów buka. Spodziewano się, że jeszcze nie skołał.

Ojciec ofiary czekał u wejścia. Gdy ludzie z noszami znajdowali się o jakieś czterdzieści kroków, zwrócił się do nich:

– Co mi przynosicie? Ranę czy śmierć?

Padła krótka, sucha odpowiedź:

– Śmierć.

Poszukał językiem śliny, głęboko, bardzo głęboko w ustach, i rzekł z wysiłkiem:

– Wnieście go do środka, a potem idźcie obwieścić żałobę wsi i krewniakom.

Dzwonki była powracającego do Brezftoht, dzwony wieczorne, wszelkie odgłosy zmierzchu niosły w sobie świeżą wieść o śmierci.

Na uliczkach i ścieżkach panowało niezwykle o tej porze dnia ożywienie. Gdzieś na skraju wsi zimnym blaskiem w słabym świetle dogasającego dnia paliły się pochodnie. Przed domem zmarłego i domem zabójcy przesuwali się tłumy ludzi, jedni wchodzili, drudzy wychodzili, inni w małych grupach oddalali się, by znów powrócić.

Przez wąskie okna z rzadka rozsianych domostw dzielono się ostatnimi nowinami:

– Wiecie już, że Gjorg Beriszów zabił Zefa Krueciuciów?

– Gjorg Beriszów pomścił krew swego brata.

– Czy Beriszowie poproszą o rozejm na dwadzieścia cztery godziny?

– Tak, na pewno.

Okna wysokich kamiennych domów wznosiły się ponad ruchliwymi uliczkami. Wieczór zapadł teraz na dobre. Blask pochodni zgęstniał, jak gdyby zakrzepł. Stopniowo przechodził w kolor ciemnoczerwonej lawy, która właśnie trysnęła z tajemniczych czeluści i rozsypywała iskry, jakby zapowiadając wkrótce nową krew.

Czterej mężczyźni, wśród nich jeden starzec, szli w kierunku domu zabitego.

– Pośrednicy wystąpią o besę* dla Beriszów na dwadzieścia cztery godziny – zapowiedział ktoś.

* Besa – podstawowe pojęcie kodeksu moralnego Albańczyka: wiara, rozejm, rodzaj zawieszenia broni, zaprzysiężona ochrona, poszanowanie danego słowa; gwarancja.

- Czy ją dostaną?
- Na pewno.

Beriszowie zachowywali na razie wszelkie środki ostrożności. Tu i tam rozlegały się nawoływania: „Murasz, wracaj szybko do domu! Cen, zamknij drzwi! Gdzie jest Preng?”

W tej niebezpiecznej chwili, gdy rodzina ofiary nie zgodziła się jeszcze na rozejm, zamykano drzwi u wszystkich bliższych i dalszych krewnych Beriszów: rozwścieczeni świeżo przelaną krwią Krueciuciowie mieli prawo, zgodnie z Kanunem, zemścić się na każdym członku rodu Beriszów.

Ludzie stojący w oknach czekali na wyjście pośredników. „Czy dadzą im besę?” – zastanawiały się kobiety.

Wreszcie ukazali się czterej pośrednicy. Rozmowa trwała krótko. Trudno było wyczytać coś z ich twarzy, ale już ktoś obwieszczał nowinę:

- Krueciuciowie udzieliли besy!

Każdy wiedział, że chodzi o mały rozejm na dwadzieścia cztery godziny. O dużym rozejmie, na trzydzieści dni, nikt na razie nie mówił; mogła o niego wystąpić tylko wieś i dopiero po pogrzebie ofiary.

Głosy mknęły od domu do domu:

- Krueciuciowie zgodzili się na rozejm!
- Krueciuciowie udzieliли besy!
- Dzięki Bogu! Bódaj dwadzieścia cztery godziny bez przelewu krwi! – westchnął ktoś ochryplym głosem za okiennicą.

Uroczystości pogrzebowe odbyły się nazajutrz w południe. Płaczkowie przybyli z daleka; drapali sobie twarze i wrywali włosy, jak nakazuje obyczaj. Stary przykościelny cmentarz wypełnił się czarnymi opończami mężczyzn. Po ceremonii żałobnicy wrócili do domu Krueciuciów. Znajdował się wśród nich również Gjorg. Najpierw odmówił uczestniczenia w obrzędach, ale potem uległ naleganiom ojca. – Tego wymaga Kanun – powiedział ojciec – musisz iść na pogrzeb, a także na stypę. – Ależ jestem mścicielem – odparł Gjorg – to ja zabiłem, dlaczego mu-

sze do nich iść? – Właśnie dlatego – uciął ojciec. – Jesteś jedynym człowiekiem, którego nie może dziś zabraknąć na pogrzebie i stypie. – Ale dlaczego – spytał raz jeszcze Gjorg – dlaczego muszę to wszystko robić? – Ojciec spiorunował go spojrzeniem i Gjorg zamilkł.

Szedł więc w samym środku orszaku, chwiejnym krokiem, blady, czując na sobie spojrzenia, które omiatały go i zaraz ginęły gdzieś we mgle. Większość uczestników należała do rodziny zmarłego. Już chyba setny raz jęknął do siebie: „Dlaczego muszę tu być?”

Spojrzenia ludzi, zimne jak ten dzień marcowy, pozbawione były nienawiści, tak jak on sam wczoraj był zimny i pozbawiony nienawiści, gdy czatował na swą ofiarę. Świeżo otwarty grób, krzyże kamienne i drewniane, przeważnie pochylone, żalosne dźwięki dzwonu, wszystko to dotyczyło go teraz bezpośrednio. Twarze płaczków, ohydnie rozdrapane („Boże – pomyślał – jak to możliwe, że wyrosły im takie paznokcie w ciągu doby?”), ich dziko zmierzwiłone włosy, opuchnięte oczy, dudniące wokół niego monotonne kroki, cały ten gmach śmierci stworzył on, Gjorg. I jakby to nie wystarczyło, musiał kroczyć w środku okazałego orszaku, powoli, w żałobie, jak wszyscy.

Ocierał się niemal o czarne lampasy na ich wąskich spodniach z białej wełny, przypominające mu czarne, jadowne, gotowe kąsać węże. Był jednak spokojny. Dwudziestoczerogodzinny rozejm lepiej go chronił niż jakakolwiek strzelnica kulli czy forticy. Lufy sterczały prosto na ich krótkich, czarnych oponczach, ale na razie nie wolno im było strzelać. Jutro, pojutrze może tak. A jeśli wieś wystąpi o trzydzieści dni rozejmu, będzie miał spokój przez następne cztery tygodnie. Potem...

A jednak... tuż przed nim kołysała się lufa strzelby, jakby pragnęła wyróżnić się w tłumie. Inna lufa, krótka, wznosiła się z lewej strony. Lufy sterczały wszędzie naokoło. Która z nich... W ostatniej chwili słowa: „zabije mnie” zmienił w myślach, jak gdyby dla złagodzenia, na „strzeli do mnie”.

Droga z cmentarza do domu zmarłego wlokła się bez końca. A czekało go jeszcze cięższe przeżycie: stypa. Zasiądzie do stołu

razem z rodziną zabitego, podadzą mu chleb, podsuną mu jedzenie, łyżki, widelce i będzie musiał ucztować.

Kilkakroć brała go chęć położenia kresu tej absurdalnej sytuacji, ucieczki z orszaku pogrzebowego; niech go przeklinają, kpią z niego, oskarżają o pogwałcenie pradawnego obyczaju, niech nawet, jeśli zechcą, strzelą mu w plecy. Wszystko jedno, byle tylko być daleko, daleko stąd. Wiedział jednak dobrze, że nigdy nie będzie mógł uciec, tak jak wczoraj nie mógł opuścić zasadzki, tak jak nie mogli z tym zerwać jego dziadek, pradziadek, wszyscy przodkowie od pięciuset, od tysięcy lat.

Dom zmarłego był już blisko. Wąskie okna ciągnące się szeregiem ponad sklepieniem przedsionka obito czarnym płótnem. „Och, gdzie ja wchodzę!” – jęknął w duszy i chociaż do niskich drzwi kulli było jeszcze ze sto kroków, schylił głowę, aby nie uderzyć się o kamienną framugę.

Stypa przebiegała zgodnie z zasadami. Gjorg przez cały czas myślał o stypie po własnej śmierci. Kto z nich przyjdzie wtedy do jego domu, tak jak on przyszedł tu dzisiaj, tak jak przez całe wieki przychodzili na takie ceremonie jego ojciec, dziadek, pradziadek i dalsi przodkowie?

Podrapane twarze płaczków wciąż krwawiły. Obyczaj nie zezwalał im umyć się ani we wsi, w której dokonano zabójstwa, ani po drodze, mogli to zrobić dopiero u siebie w domu.

Z pręgami na policzkach i czołach wyglądali jak w maskach. Gjorg wyobrażał sobie swoich bliskich z pozdieraną skórą. Miał uczucie, że odtąd życie następnych pokoleń w obu domach będzie jedną nie kończącą się stypą wyprawianą na zmianę raz przez jedną, raz przez drugą rodzinę. A przed udaniem się na ucztę wszyscy będą nakładać na twarz krwawe maski.

Po południu, po stypie, niecodzienne ożywienie powróciło do wioski. Za kilka godzin Gjorgowi Beriszów wygaszał mały rozejm, starszyzna wiejska zamierzała więc teraz wyruszyć do

Krueciuciów, by uzyskać dla Gjorga wielką besę na dni trzydzieści.

Wszędzie mówiono tylko o tym: na przyzbach, na górnych piętrach przeznaczonych dla kobiet, na placach. Był to tej wiosny pierwszy akt zemsty, omawiano więc szczegółowo wszystko, co się z tym wydarzeniem wiązało. Jeśli chodzi o zabójstwo, pogrzeb, stypę, mały rozejm – to w niczym nie naruszono reguł starożytnego Kanunu. Beriszowie z pewnością otrzymają trzydziestodniowy rozejm, o który starszyzna miała prosić Krueciuciów.

Tymczasem, w oczekiwaniu na ostatnie słowo w sprawie rozejmu ludzie przywoływali rozmaite fakty i przypadki, kiedy to w dawniejszych lub bliższych czasach gwałcono Kanun w tej wsi, w okolicznych wioskach, a także w odległych regionach, gdzie rozciąga się nieskończony płaskowyż. Wspominali ludzi, którzy łamali Kanun i ponosili za to odpowiedzialność. Jednostki karane przez własne rodziny, rodziny karane przez wsie, a nawet całe wioski karane przez kilka wsi lub cały flamur* . „Na szczęście – mówili z westchnieniem ulgi – nasza wieś od lat nie okryła się taką hańbą”. Wszystko odbywało się według starych tradycji, od dawna w niczyjej głowie nie powstała szalona myśl, aby się im sprzeniewierzyć. Ostatnia sprawa krwi była zgodna z Kodeksem, a mściciel Gjorg Berisza, choć młody wiekiem, zachował się godnie zarówno na pogrzebie swego wroga, jak i podczas stypy. Na pewno Krueciuciowie nie odmówią mu trzydziestodniowej besy. Tym bardziej że wieś, która występowała o taki rozejm, mogła go również zerwać, gdyby mściciel, korzystając z dobroczynnej przerwy, pysznił się publicznie swoim czynem. Ale nie, Gjorg Berisza nie należy do takich. Przeciwnie, zawsze uważano, że to spokojny i rozsądny chłopiec, i doprawdy trudno go posądzić o podobne szaleństwo.

Krueciuciowie udzielili wielkiej besy późnym popołudniem, na kilka godzin przed wygaśnięciem małej besy. Jeden ze star-

* Flamur (alb.) – sztandar, chorągiew. Terytorium obejmujące wsie podległe dawniej władzy lokalnego wodza, dokładnie: chorążego.

ców udał się do kulli Beriszów, by oznajmić im tę nowinę, i przy okazji przypomnieć raz jeszcze Gjorgowi, że nie wolno mu wykorzystywać sytuacji.

Kiedy starzec odszedł, Gjorg zaszył się w jakimś zakamarku i siedział tam odrętwiały. Miał przed sobą trzydzieści dni wolnych od niebezpieczeństwa. Potem ze wszystkich stron osaczy go śmierć. Będzie poruszać się tylko po ciemku, jak nietoperz, unikać słońca, blasku księżyca i pochodni.

„Trzydzieści dni” – mówił sobie. Strzał oddany znad skarpy gwałtownie przeciął na pół jego życie: po jednej stronie dwadzieścia sześć lat, po drugiej trzydzieści dni rozpoczynających się dzisiaj, siedemnastego marca, a kończących się siedemnastego kwietnia. Potem czeka go już tylko życie nietoperza, które się nie liczy.

Kątem oka Gjorg spoglądał na krajobraz przez wąskie okno. Królował tam marzec, na pół promienny, na pół mroźny, skąpany w swoistym świetle wysokich gór. Po nim nastąpi kwiecień, a właściwie tylko jego pierwsza połowa. Gjorg poczuł w lewej piersi pustkę. Kwiecień już teraz pogrążał się dla niego w sinym bólu... Tak, kwiecień zawsze dawał mu takie wrażenie, miesiąc rzeczy niespełnionych. Kwiecień miłości, śpiewano w piosenkach. Jego niepełny kwiecień... „Mimo wszystko, tak było lepiej” – pomyślał nie wiedząc dobrze, czy chodzi mu o pomszczenie brata, czy o czas, na jaki przypadła ta zemsta.

Minęło zaledwie pół godziny od przyznania mu nietykalności, a już zdążył przyzwyczać się do myśli, że jego życie podzielone jest na dwie części. Miał nawet wrażenie, że zawsze było przepołowione: jeden kawałek ciągnący się przez dwadzieścia sześć lat, do znudzenia powolnie, złożony z dwudziestu sześciu marców i dwudziestu sześciu kwietniów, z tyluż zim i lat; i drugi, krótki, czterotygodniowy, gwałtowny i gniewny jak lawina, składający się z połowy marca i połowy kwietnia, jak z dwu lśniących od szronu złamanych gałęzi.

Co będzie robił w ciągu tych trzydziestu dni, które mu zostały? Podczas wielkiej besy ludzie zwykle zajmowali się spiesznie robotą, której do tej pory nie zdążyli wykonać. Jeśli nie mieli nic

ważnego do spełnienia, oddawali się codziennej pracy. Wiosną obsiewali pola, latem pracowali przy zbiorach; jeśli nie było akurat siewów czy zniw, wypełniali czas doraźnymi zajęciami, na przykład naprawą dachu, wreszcie, jeśli nic nie mieli do roboty, wyruszali po prostu na wędrowną, aby raz jeszcze zobaczyć lot bocianów czy pierwszy październikowy szron. W tym okresie narzeczeni zwykle pobierali się, lecz Gjorg nie zamierzał się ożenić. Dziewczyna z odległego flamuru, z którą był zaręczony i której nigdy na oczy nie widział, umarła po długiej chorobie w zeszłym roku i od tej pory nie było w jego życiu żadnej kobiety.

Nie odrywając wzroku od skrawka zamglonego krajobrazu zastanawiał się, czym mógłby wypełnić życie przez dni trzydziści. Najpierw czas ten wydawał mu się krótki, zbyt krótki, garść dni nie wystarczająca na nic; ale zaraz potem pomyślał, że jest to okres potwornie długi i całkowicie niepotrzebny.

„Siedemnasty marca” – mruknął sobie. Dwudziesty pierwszy marca. Czwarty kwietnia. Jedenasty kwietnia. Siedemnasty kwietnia. Osiemnasty. Kwiecień śmierci. I dalej bez końca kwiecień... śmiercień, kwiecień... śmiercień. Nie będzie maja. Nigdy więcej.

Gdy tak mamrotał pod nosem różne daty marcowe i kwietniowe, usłyszał kroki ojca, który schodził na dół. Trzymał w ręku ceratową sakiewkę.

– Masz, Gjorg, tu jest pięćset groszy za krew – powiedział podając mu sakiewkę.

Gjorg otworzył szeroko oczy i schował ręce za plecami, jak gdyby chciał trzymać je jak najdalej od przeklętej sakiewki.

– Jak to? – spytał stłumionym głosem. – Dlaczego?

Ojciec patrzył na niego ze zdziwieniem.

– Czemu pytasz? Zapomniałeś, że trzeba zapłacić podatek od krwi?

– Ach, tak – odetchnął z ulgą Gjorg.

Sięgnął po wyciągniętą wciąż ku niemu sakiewkę.

– Pojutrze musisz wyruszyć do Oroszu – ciągnął ojciec. – Dzień drogi stąd.

Gjorg nie miał najmniejszej ochoty na podróż.

– Czy ta sprawa nie może poczekać, ojczu? Czy trzeba natychmiast wpłacić te pieniądze?

– Tak, natychmiast, synu. Trzeba to załatwić jak najprędzej. Okup za krew musi być płacony zaraz po zabójstwie.

Sakiewka znajdowała się teraz w prawej ręce Gjorga. Była ciężka. Zawierała wszystkie oszczędności rodziny gromadzone z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc, w oczekiwaniu na ten dzień.

– Pojutrze – powtórzył ojciec. – Do zamku Orosz.

Podszedł do okna i zaczął się czemuś przypatrywać. W kąciakach jego oczu lśnił spokojny blask.

– Chodź tu – rzekł łagodnie do syna.

Gjorg zbliżył się.

Na podwórzu, na sznurze do bielizny, wisiała koszula.

– Koszula twojego brata – powiedział ojciec niemal szeptem.
– Koszula Mehila.

Gjorg wpatrywał się w tę koszulę. Biała, trzepocząca na wietrze, powiewająca, wydymająca się radośnie.

W półtora roku po zabójstwie brata matka wyprała wreszcie koszulę, którą nieszczęśnik miał tamtego dnia na sobie. Przez półtora roku, zgodnie z Kanunem, wisiała zakrwawiona na poddaszu, czekając na dokonanie zemsty. Kiedy plamy krwi zaczynały żółknąć, był to pewny znak – powiadano – że zabity niepokoi się zwłoką. Koszula wskazywała czas zemsty jak niezawodny barometr. Zmarły wysyłał za jej pośrednictwem sygnały z głębi ziemi, w której spoczywał.

Ileż razy, w godzinach samotności, Gjorg wchodził na złowrogię poddasze, by obejrzeć koszulę! Krew żółkła coraz bardziej, zmarły nie miał spokoju. Jakże często we śnie Gjorg widział koszulę praną w wodzie z mydlaną pianą, a jej biel lśniła jak wiosenne niebo! Ale rankiem, po przebudzeniu, znajdował ją na zwykłym miejscu z brunatnymi plamami zastygłej krwi.

Wreszcie wisi na sznurze. Ale Gjorg nie czuje ulgi.

Ledwie opuszczono jeden sztandar, już wzniósł się następny:

na poddaszu kuli Krucyuciów powieszono koszulę nowej ofiary.

Na kolor zaschniętej krwi wpłyną pory roku, chłód, ciepło, a także rodzaj płótna. Ale nad tym nikt się nie będzie zastanawiał i każda zmiana barwy zostanie przyjęta jako tajemniczy i niepodważalny znak z za grobu.

Rozdział drugi

Od kilku godzin Gjorg szedł Płaskowyżem, ale nic nie wskazywało na to, że zbliża się do zamku Orosz.

W ostrym deszczu raz po raz ukazywały się bezimienne wrzosowiska (może zresztą nie znał ich nazw), ogołoczone i ponure. Za nimi słabo widoczna linia gór zasnutych mgłą. Poprzez jej zasłonę, zamiast łańcucha szczytów o nierównej rzeźbie, przebijało słabe odbicie jednej potężnej góry, zwielokrotnione jak w iluzji. Góry zdawały się we mgle nierzeczywiste, mimo to były jeszcze bardziej przytłaczające niż w dzień pogodny, gdy wyraźnie można dostrzec skały i przepaście.

Gjorg słuchał głuchego postukiwania kamieni pod butami. Napotykanie wieś leżały w dużych odległościach od siebie, jeszcze rzadziej rozsiane były urzędy gmin i oberże. Zresztą Gjorg i tak nie zamierzał robić postoju. Musiał za wszelką cenę dotrzeć przed zmierzchem, najpóźniej wieczorem, do Oroszu, a następnego dnia wrócić do domu.

Od czasu do czasu na opustoszałej drodze pojawiał się we mgle któryś z górali zdążających, podobnie jak Gjorg, do jakiegoś celu. Z daleka wydawali się, jak wszystko w tym mglistym dniu, nierealni i zwiewni.

Skupiska ludzkie były równie ciche jak droga. Tu i ówdzie ukazywały się spadziste dachy domów, z których dobywały się nieśmiało smugi dymu. „Przez dom rozumie się kullę, dymną chatę lub jakiegokolwiek zabudowanie, które posiada palenisko i z którego dobywa się dym”. Dlaczego nagle przypomniał sobie to określenie zamieszczone w prawie domowym i znane mu od dzieciństwa? „Nie wchodzi się do domu nie ostrzegłszy okrzykiem z podwórza...” „Ależ nie mam zamiaru nigdzie pukać ani wchodzić” – westchnął w duchu żałośnie.

Deszcz nie ustawał. Napotkał grupę górali idących gęsiego, z workami kukurydzy na plecach. Zgięci wpool, wyglądali, jak gdyby nieśli coś znacznie cięższego. „Wilgotne ziarno więcej waży” – pomyślał. Przypomniał sobie, że kiedyś w taki deszczowy dzień dźwigał worek kukurydzy z magazynu gminy do wsi.

Górale z kukurydzą zostali gdzieś w tyle i znowu był sam na głównym trakcie. Obrzeża traktu były całkiem wyraźnie zarysowane, to znowu ledwie widoczne. Miejscami wody gruntowe i osuwająca się ziemia zwężyły drogę. „Droga powinna być tak szeroka, jak długie są drzewce chorągwi” – powiedział do siebie i nagle zorientował się, że już od pewnego czasu powtarza bezwiednie różne zdania z Kanunu na temat drogi. „Drogą przechodzą ludzie, przechodzi także bydło, przechodzą także żywi, przechodzą także umarli”.

Uśmiechnął się do siebie. Gdziekolwiek był, cokolwiek robił, nie mógł uciec od tych określeń. Nie powinien mieć złudzeń. Kanun był jeszcze potężniejszy, niż się zdawało. Jego władza rozciągała się wszędzie, na pola, na kamienie graniczne, przenikała fundamenty domów, groby, kościoły, drogi, jarmarki, wesela, wspinała się na górskie pastwiska, a nawet wyżej, sięgała aż do nieba, skąd spadała w postaci deszczu napełniając kanały nawadniające, które były przyczyną co najmniej jednej trzeciej krwawych sporów i zabójstw.

Kiedy po raz pierwszy oswoił się z myślą, że musi zabić człowieka, wywołał z pamięci całą część Kodeksu poświęconą prawom krwi. „Obym nie zapomniał przed oddaniem strzału powiedzieć tego, co trzeba – myślał. – To rzecz najważniejsza. Obym nie zapomniał ułożyć ciała jak należy i oprzeć broni o głowę. To druga ważna rzecz. Reszta jest prosta, niezwykle prosta”.

Prawa krwi stanowiły niewielką część Kodeksu, zaledwie jeden rozdział. W ciągu tygodni i miesięcy Gjorg pojął, że część druga, o wiele obszerniejsza, dotycząca życia codziennego, bezkrwawa, łączy się nierozzerwalnie z częścią dotyczącą śmierci. Nie wiadomo, gdzie kończy się jedna, a zaczyna druga. Wszystko było tak pomyślane, że obie części przenikały się wzajem-

nie: bezkrwawa rodziła krwawą, ta tamta, tamta tę, i tak w nieskończoność z pokolenia na pokolenie.

Gjorg ujrzał w oddali jeźdźców. Kiedy znaleźli się bliżej, zobaczył wśród nich oblubienicę i domyślił się, że byli to kruszkowie, drużbowie odprowadzający pannę młodą do małżonka. Byli przemoczeni, znużeni i tylko dźwięk końskich dzwoneczków wnosił trochę radości do tego małego orszaku.

Gjorg usunął się, aby ich przepuścić. Wszyscy, podobnie jak Gjorg, trzymali strzelby lufami ku ziemi chroniąc je przed deszczem. Przyglądał się różnobarwnym tłumokom, zawierającym oczywiście wyprawę panny młodej, i zastanawiał się, w jakim zawiniątku, w jakiej skrzynce, kieszonce, w jakim haftowanym kaftanie rodzice oblubienicy schowali „kulę posażną”, którą, zgodnie z Kodeksem, mąż ma prawo zabić swą młodą żonę, gdyby próbowała go opuścić. Pomyślał przy tym o własnej narzeczonej, z którą nie mógł się ożenić z powodu jej długiej choroby. Przypominała mu się zawsze, ilekroć widział orszak weselny, ale dzisiaj jego ból łagodziło uczucie ulgi: może lepiej, że odeszła pierwsza, i tak wkrótce on do niej dołączy, a czekałyby ją tutaj długie lata wdowieństwa. „Kulę posażną”, którą wszyscy rodzice mieli obowiązek dostarczyć mężowi córki, wrzuciłby na pewno do przepaści w czasie pierwszej nocy poślubnej. A może tak mu się teraz zdaje, teraz, gdy już jej nie ma i gdy myśli, że zabicie kogoś, kto nie istniał, wydaje mu się równie nierealna co walka z cieniami.

Kruszkowie panny młodej zniknęli mu z oczu, ale wciąż o nich rozmyślał. Wyobraził ich sobie raz jeszcze, idących drogą, zgodnie z wszystkimi regułami, pochod otwierał pierwszy drużba, z tym tylko, że teraz widział pod welonem swą dawną narzeczoną. „Nie wolno odraczać dnia zaślubin”, głosił Kanun. „Nawet gdyby panna młoda był umierająca, nawet gdyby trzeba ją było nieść, swaci muszą zaprowadzić ją do domu pana młodego”. Gjorg bardzo często słyszał te słowa w czasie choroby narzeczonej, gdy mówiło się w rodzinie o jego bliskim ożenku. „Nie wolno stawiać przeszkód na drodze drużbom, nawet jeśli w domu jest śmierć”. „Kruszkowie wyruszają nawet wtedy, gdy w domu

leży nieboszczyk. Panna młoda wchodzi jednymi drzwiami, śmierć wychodzi drugimi. Z jednej strony są łązy, z drugiej jest śpiew”.

Zmęczył się ciągłym powracaniem do różnych wersów z Kanunu, próbował przez jakiś czas nie myśleć o niczym. Wzdłuż traktu ciągnęły się długie pasma ugorów, za nimi skaliste ziemie bez nazwy. Na prawo ukazał się młyn wodny, potem stado owiec, kościół i cmentarz. Szedł naprzód nie odwracając głowy, a mimo to przypominał sobie partie Kodeksu dotyczące młynów, stad, kościołów i grobów. „Księży nie obejmuje wendeta”. „Wśród grobów bractwa i klanu nie może znaleźć się obcy grób”.

Chciał powiedzieć sobie: „Dość”, ale nie miał odwagi. Spuścił głowę, nie zmienił kroku. W dali zarysował się dach oberży, obok coś jakby klasztor mniszek, dalej stado owiec, jeszcze dalej dym, zapewne jakaś wioska. Rządziły tym wszystkim wiekowe prawa. Nie było przed nimi ucieczki. Nikomu to się nie udało. A jednak... „Księży nie obejmuje wendeta” – powtórzył jedno z najbardziej znanych określeń Kodeksu. Myślał o tym patrząc z drogi na klasztor: tylko stan kapłański ochroniłby go przed prawem krwi. Myślał o zakonnicach, o tym, co mówiono o ich związkach z młodymi księżmi. Wyobraził sobie swój związek z zakonnicą, ale zaraz sobie przypomniał, że mniszkom strzyżono głowy, i przerwał tę grę wyobraźni. Musiałby więc zostać księdzem, aby nie dosięgła go władza Kanunu. Krew za krew – tylko to jedno prawo nie obowiązywało księży, inne artykuły Kodeksu ich także nie pomijały.

Przez chwilę zdawało mu się, że krwawa część Kanunu złapała go w sidła. Rzeczywiście, stanowiła ona istotę Kodeksu, i nie ma się co pocieszać myślą, że wszyscy są skuci tym samym łańcuchem. Prócz księży wielu innych ludzi nie podlegało prawu krwi. Uświadomił to sobie już wcześniej. Świat był podzielony: jedni podlegali prawu krwi, drudzy byli poza tym prawem.

Poza prawem krwi... Ledwie powstrzymał westchnienie. Jak się żyło w takich rodzinach? Co odczuwali ci ludzie budząc się rano i zasypiając wieczorem? Wydawało mu się niewiarygodne, odległe jak życie ptaków. A jednak takie domy istniały. Ostate-

cznie tak było kiedyś i w jego własnej rodzinie, siedemdziesiąt lat temu, póki nie nadeszła owa zgubna jesienna noc, póki pewien człowiek nie zapukał do drzwi.

Historię ich zwady z Krueciuciami opowiedział mu ojciec, który posłyszał ją z kolei od swego ojca. Historię tę wytyczały dwadzieścia dwie mogiły po jednej i drugiej stronie, razem czterdzieści cztery groby. Wypełniały tę historię krótkie zdania wypowiedane przed zabójstwem, ale przede wszystkim cisza; łkanie; ostatnia wola wypowiedana z trudem wśród ciężkiego rżenia; trzy pieśni rapsodów, z których jedna z czasem poszła w zapomnienie; grób przypadkowo zabitej kobiety, za którą to pomyłkę wypłacono należne odszkodowanie; mężczyźni z obu rodzin zamknięci w wieżach odosobnienia; próba pojednania, która w ostatniej chwili skończyła się fiaskiem; zabójstwo w czasie wesela; małe i wielkie rozejmy; stypy; okrzyk „Berisza zastrzelił Krueciucia” lub „Krueciuc zastrzelił Beriszę”; zapalone pochodnie; zgiełk we wsi. I tak bez przerwy aż do popołudnia siedemnastego marca, kiedy to przyszła kolej na Gjorga, aby wziął udział w tym makabrycznym korowodzie.

A wszystko zaczęło się przed siedemdziesięciu laty, w zimną noc październikową, gdy pewien mężczyzna zapukał do drzwi ich kulli. „Kto to był?” – spytał mały Gjorg, gdy po raz pierwszy usłyszał historię o tym gościu. Pytanie to powracało wielokrotnie w ich rodzinie, wtedy i później. Nikt nie umiał na nie odpowiedzieć, bo nikt nie wiedział, kim był ten człowiek. Nawet teraz Gjorg nie mógł uwierzyć, że istotnie ktoś wtedy zapukał. Ławiej już sobie wyobrazić, że było to pukanie ducha, losu niż nieznanego wędrowca.

Człowiek ten zapukał i głośno zapytał od progu, czy może przenocować. Otworzył mu gospodarz, dziadek Gjorga. Przyjęto go zgodnie z obyczajem, nakarmiono, przygotowano mu posłanie, a wczesnym rankiem, wciąż jak nakazuje zwyczaj, jeden z mężczyzn, starszy brat dziadka, odprowadził wędrowca do krańców wioski. Ledwo go tam zostawił, usłyszał huk wystrzału. Nieznajomy padł martwy akurat na granicy wsi.

Jeśli gość zostaje zabity na oczach gospodarza, Kanun każe go

pomścić. Jeśli jednak gospodarz zdąży się odwrócić, nie spada na niego obowiązek zemsty. Berisza był już odwrócony od niešťczęśnika, gdy tamten padł. Zdawało się więc, że obejdzie się bez zemsty. Nikt jednak tej sceny nie widział. Był wczesny ranek, żaden świadek nie znalazł się w pobliżu. Mimo to dano by wiarę słowom stryjecznego dziadka (Kanun bowiem nakazywał wierzyć słowu), uznano by, że rozstał się z gościem i stał do niego tyłem w momencie zabójstwa, gdyby nie pewna okoliczność. Chodziło mianowicie o pozycję leżącego ciała. Zwołana nąprędce komisja zbadała drobiazgowo sprawę i orzekła w końcu, że na dom Beriszów spada ciężar zemsty za nieznanego wędrowca. Gość bowiem upadł na wznak, twarzą zwrócony był ku wsi. Zgodnie z Kodeksem Beriszowie, którzy udzielili mu schronienia i strawy, obowiązani byli czuwać nad nim, dopóki nie opuści wioski, i musieli go teraz pomścić.

Mężczyźni Beriszów wracali w milczeniu z lasu, gdzie komisja przez wiele godzin krążyła wokół ciała. Kobiety wyglądając z okien zroszczywały od razu wszystko. Błade jak płótno, zbladły jeszcze bardziej wysłuchawszy krótkiego wyroku, nie przekleły jednak ani słowem wędrowca, który przyniósł rodzinie śmierć. Gość jest bowiem święty i dom górala, zgodnie z obyczajem, jest przede wszystkim siedzibą Boga i gości, a dopiero potem gospodarza wraz z rodziną.

W tym samym październikowym dniu wiadomo już było, kto strzelał do nieznanego. Był to młody chłopak Krueciuciów, który śledził od dawna gościa Beriszów z powodu obrazy doznanej kiedyś w karczmie przed jakąś nie znaną bliżej kobietą.

Tak to u schyłku tego październikowego dnia Beriszowie i Krueciuciowie zostali wrogami. Żyjąca dotąd spokojnie rodzina Gjorga dostała się w tryby wendety. Od tamtego czasu wykopano czterdzieści cztery groby – a Bóg raczy wiedzieć, ile ich jeszcze powstanie – wszystkie z powodu kołatania do drzwi w tamtą jesienną noc.

W godzinach samotności Gjorg często puszczał wodze fantazji zastanawiając się, jak ułożyłoby się życie jego rodziny, gdyby spóźniony gość zapukał tamtego wieczoru do innych drzwi.

Gdyby jakimś cudem pukanie to zniknęło z rzeczywistości, wtedy, och, wtedy (i tu Gjorg uważał legendy za całkiem naturalne) uniosłyby się ciężkie płyty na czterdziestu czterech grobach, wstałoby czterdziestu czterech zmarłych, otrząsnęliby ziemię z twarzy i powrócili do żywych. A wraz z nimi przyszłyby dzieci, które nie mogły się urodzić, i dzieci, których tamte dzieci nie mogły wydać na świat, i tak dalej. I wszystko byłoby inaczej, zupełnie inaczej. Stałoby się to, gdyby zaklęciem można było odmienić bieg rzeczy. Ach, gdyby nieznamy wędrowiec zatrzymał się troszeczkę dalej. Ciut dalej... Zatrzymał się jednak dokładnie tam, nikt nie mógł tego faktu zmienić, nikt też nie mógł zmienić pozycji jego ciała ani starych praw Kanunu. Bez tego pukania wszystko byłoby tak całkiem inne, że czasem bał się o tym myśleć. Pocieszał się, że może tak właśnie musiało być, że życie poza prawem krwi byłoby co prawda spokojniejsze, ale za to szare i pozbawione treści. Starał się przypomnieć sobie rodziny żyjące poza wendetą i nie dostrzegał w nich żadnych szczególnych oznak szczęścia. Zdawało mu się nawet, że ludzie żyjący bez ustawicznego zagrożenia nie znają naprawdę ceny życia i są mniej szczęśliwi. W rodzinach, do których wtargnęła wendeta, dni i miesiące toczą się inaczej, jakby towarzyszył im wewnętrzny dreszcz, ludzie są chyba piękniejsi, a chłopcy cieszą się powodzeniem u dziewcząt. Nawet dwie zakonnice, które minął po drodze, ujrawszy czarną opaskę na rękawie – znak, że śmierć i człowiek poszukują się wzajemnie – spojrzały na niego w dziwny sposób. Ale najważniejsze było to, co się działo w nim samym. Coś przerażającego i wspaniałego zarazem. Nie umiałby tego wyjaśnić. Miał uczucie, że serce wyskoczyło mu z piersi i, tak obnażone, stało się niezmiernie wrażliwe, czułe na obrazę, cieszyło się lub martwiło każdą rzeczą, błahą lub ważną, motywem, liściem, nie kończącym się śniegiem czy przygnębiającym deszczem, takim jak dzisiejszy. Wszystko to jednak – choćby i niebo się zapadło – serce znosiło, a mogło wytrzymać znacznie więcej.

Szedł już wiele godzin, ale poza lekkim zeszywnieniem nóg nie czuł najmniejszego zmęczenia. Deszcz wciąż padał, krople były teraz rzadsze, jakby przycięto chmurom korzenie. Gjorg był pewny, że przekroczył już granice swojej gminy. Krajobraz zmienił się: szczyty wyglądające z zastygłą ciekawością spoza ramion innych gór, milczące wioski. Minął grupkę górali, spytał, czy dobrze idzie do Oroszu i jak daleko ma jeszcze do celu. Odpowiedzieli, że idzie dobrze, ale że musi się spieszyć, jeśli chce zdążyć przed nocą. Zerkali przy tym ukradkiem na czarną opaskę na rękawie i chyba z powodu tej opaski ponownie radzili mu, aby się spieszył.

„Będę się spieszył, będę” – z niechęcią powiedział do siebie Gjorg. „Nie bójcie się, zdążę na czas, przed nocą, zapłacić za krew”. I rzeczywiście przyspieszył kroku, choć sam nie wiedział dlaczego; może z powodu nagłej złości, a może nieświadomie, chciał posłuchać rady nieznanym.

Był teraz zupełnie sam na drodze przecinającej wąską równinę porżniętą korytami dawnych potoków. Ziemie wokoło były opustoszałe, leżały ugorem. Wydawało mu się, że usłyszał daleki grzmot, podniósł głowę. Wśród chmur powoli leciał pojedynczy samolot. Przez chwilę śledził z zachwytem jego lot. Mówiono, że przez sąsiedni okręg przelatuje raz w tygodniu samolot pasażerski z Tirany do jakiegoś dalekiego, obcego kraju w Europie, ale Gjorg nigdy go przedtem nie widział.

Gdy maszyna zniknęła w chmurach, Gjorg poczuł ból w karku. Stał tak dłuższy czas z zadartą głową. Samolot zostawił po sobie wielką pustkę, Gjorg westchnął mimo woli. Nagle poczuł głód. Rozejrzał się wokół za jakimś pnem lub kamieniem, gdzie mógł usiąść i zjeść kawałek chleba z białym serem, który zabrał z domu, ale po obu stronach drogi rozciągały się tylko nagie ziemie ze śladami wyschniętych potoków i nic więcej. „Pójdę jeszcze kawałek” – postanowił.

Minęło znowu pół godziny i zobaczył w oddali dach oberży. Pokonał prawie biegiem dzielący go od niej odcinek drogi, zatrzymał się na chwilę przed drzwiami, potem wszedł do środka. Była to zwykła oberża, jakich wiele w górach, bez szyldu, z bar-

dzo spadzistym dachem, przesycona zapachem słomy, z jedną dużą wspólną izbą. Po obu stronach długiego, dębowego, miejscami poprzypalanego stołu siedziało na dębowych stołkach kilku mężczyzn. Dwóch jadło łapczywie fasolę z glinianych misek. Jeden z gości, oparłszy głowę na obu dłoniach, utkwiał niewidzący wzrok w deskach stołu.

Gjorg usiadł na stołku, lufa strzelby stuknęła o podłogę. Zdjął broń z ramienia, położył ją na kolanach, potem jednym ruchem głowy zsunął na plecy przemoczony kaptur opończy. Wyczuł za sobą obecność innych ludzi i teraz dopiero zauważył, że po obu stronach schodów siedziało na czarnych baranich skórach i wełnianych torbach grupka górali. Niektórzy, oparci o ścianę, jedli chleb kukurydziany zamoczony w odrobinie mleka. Gjorg chciał wstać i też wyciągnąć z worka swój chleb i ser, ale polechtał go zapach fasoli i wezbrała weń naraz wielka ochota na talerz gorącej stawy. Ojciec dał mu jeden grosz, Gjorg nie był jednak pewny, czy może go wydać, czy też ma przynieść z powrotem do domu. Tymczasem wyrósł przed nim oberżysta, na którego Gjorg dotychczas nie zwrócił uwagi.

– Idziesz do Oroszu? – spytał. – Skąd jesteś?

– Z Brezftoht.

– W takim razie jesteś na pewno głodny. Chcesz coś zjeść?

Oberżysta był chudy i szpetny. Gjorg pomyślał, że chce go naciągnąć, bo pytając „chcesz coś zjeść?” nie patrzył mu w oczy, tylko na czarną opaskę na rękawie, jakby chciał powiedzieć: „Skoro masz zamiar zapłacić pięćset groszy za swoją zbrodnię, świat się nie zawali, jeśli wydasz dwa grosze w mojej oberży”.

– Czy chcesz coś zjeść? – powtórzył oberżysta odrywając wreszcie wzrok od rękawa Gjorga, ale nie patrzył mu w twarz, tylko w jakiś punkt z boku.

– Talerz fasoli – odparł Gjorg. – Ile kosztuje? Mam swój chleb. – Zaczerwienił się, musiał jednak o to zapytać. Za nic w świecie nie tknąłby sumy przeznaczonej na podatek od krwi.

– Jedną czwartą grosza – rzekł oberżysta.

Gjorg odetchnął z ulgą. Oberżysta poszedł, a gdy wrócił po chwili z fasolą w drewnianej misce, Gjorg zauważył, że ma zeza.

Schylił głowę nad talerzem, jak gdyby chciał o wszystkim zapomnieć, i zaczął szybko jeść.

– Chcesz kawy? – spytał jeszcze oberżysta, gdy wrócił po pusty talerz.

Gjorg spojrział na niego oszołomiony. Jego oczy mówiły: „Nie kuś mnie, mam pięćset groszy w sakiewce, to prawda, ale wolałbym ci oddać głowę (mój Boże, tyle właśnie będzie kosztować moja głowa... za trzydzieści dni, a nawet wcześniej, za dwadzieścia osiem dni), więc wolałbym ci oddać... przedwcześnie... głowę niż ruszyć choć jeden grosz z sakiewki dla zamku Orosz”. Oberżysta, jakby odgadując jego zmagania, dodał:

– Kosztuje bardzo tanio, tylko dziesiątkę.

Gjorg skinął głową z pewnym zniecierpliwieniem. Oberżysta poruszał się niezręcznie pomiędzy stołkami i stołem, zebrał jakieś talerze, przyniósł inne, znów zniknął, wreszcie wrócił z kubkiem kawy.

Gjorg wciąż jeszcze popijał kawę, kiedy do oberży wkroczyło kilku mężczyzn. Z wrzawy wywołanej ich wejściem, z ruchów głów, ze sposobu zachowania szpetnego oberżysty Gjorg odgadł, że przybysze są znani w tej okolicy. Jeden z nich, ten pośrednik, był bardzo niski, twarz miał surową i bladą. Za nim szedł człowiek w dziwacznym miejskim stroju, w kraciastej kurtce i spodniach wsuniętych w buty. Trzeci miał rysy twarzy przytępione, a oczy pełne pogardy. Powszechna uwaga skupiała się mimo wszystko wyraźnie na niskim mężczyźnie.

– Ali Binak, Ali Binak – szeptano dokoła. Gjorg otworzył szeroko oczy, jakby nie dowierzając, że znajduje się pod jednym dachem ze słynnym egzegetą Kanunu, o którym słyszał od dzieciństwa.

Oberżysta, posuwając się drobnym kroczeniem, poprowadził ich do sąsiedniej izby zarezerwowanej prawdopodobnie dla ważnych gości.

Niski człowiek nie patrząc na nikogo i nie rozglądając się mamrotał słowa powitania idąc za oberżystą. Choć niewątpliwie zdawał sobie sprawę ze swej popularności, rzecz dziwna, nie zachowywał się wyniośle, co zwykle u osób niskiego wzrostu wyini-

ka z poczucia własnej ważności; przeciwnie, jego ruchy twarzy, a zwłaszcza oczy wyrażały obojętność i spokój.

Nowo przybyli zniknęli w drugiej izbie, ale szmer nie ucichł. Gjorg skończył kawę, siedział i z przyjemnością słuchał toczących się wokół rozmów, choć jego drogocenny czas uciekał. Kto wie, dlaczego przybył Ali Binak? Na pewno w celu rozwikłania jakiejś zawilej zagadki. Takimi sprawami zajmował się przecież przez całe życie. Wzywano go od flamuru do flamuru, od gminy do gminy, by prosić o radę w trudnych sprawach, gdy miejscowi mędracy nie zgadzali się co do wykładni Kodeksu. Wśród setek egzegetów na olbrzymim Północnym Płaskowyżu można było na palcach policzyć równie znanych jak on. Zawsze działał skutecznie. Mówiono, że przybył tym razem, aby rozstrzygnąć zawiłą kwestię granic, które miały być wytyczane w tych dniach – chyba pojutrze – w sąsiednim flamurze. Ale kim był ten drugi o jasnych oczach? Tak, naprawdę, kim był ten drugi? Powiadano, że to lekarz, którego Ali Binak często zabierał z sobą w szczególnie delikatnych sprawach, zwłaszcza gdy chodzi o opisanie ran, za które należy płacić grzywnę. W takim razie jednak Ali Binak nie przyjechał dla sprawy granic, bo, rzecz jasna, lekarz nie ma nic wspólnego z granicami. Tak, doprawdy, chyba była jakaś inna przyczyna jego obecności. Niektórzy zapewniali, że chodzi o niezwykle zagmatwaną sprawę, która wyniknęła kilka dni temu we wsi położonej na Płaskowyżu. Zabito kobietę, która znajdowała się pomiędzy rywalami, gdy ci strzelali do siebie po jakiejś kłótni. Kobieta była w ciąży i po wydobyciu płodu stwierdzono, że dziecko było chłopcem. Miejscowa starszyczna miała, zdaje się, kłopoty z ustaleniem, kogo obarczyć zemstą za śmierć dziecka. Może właśnie Ali Binak miał rozstrzygnąć ten wypadek?

– A kim jest ten dziwny strojniś? – dopytywano się. I na to pytanie również znalazła się odpowiedź. – Zajmował się pomiarami gruntów, a jego zawód, mówił ktoś, określano jakimś diabelskim, dziwnym słowem kończącym się na „metr”, którego nie można było wymówić bez wykrzywania gęby, geo, geo, ge... O właśnie, „geometra”.

W takim razie, skoro jest również ten człowiek, ten... geometra, chodzi na pewno o sprawę granic.

Gjorg miał ochotę zostać i słuchać, mógłby zapewne usłyszeć tu jeszcze niejedną ciekawą historię, ale jeśli będzie się ociągał, może nie dotrzeć na czas do zamku. Wstał gwałtownie, aby nie ulec pokusie, zapłacił za fasolę i kawę i zaczął szykować się do wyjścia. W ostatniej chwili przypomniał sobie, że musi raz jeszcze spytać o drogę.

– Pójdiesz głównym traktem – powiedział mu oberżysta – a gdy dojdiesz do Mogił Kruszków, tam, gdzie droga się rozwidła, pamiętaj, że masz skręcić w prawo, a nie w lewo. Pamiętaj: w prawo.

Deszcz osłabł, lecz powietrze nasiąknięte było wilgocią. W ciemnym świetle, utrzymującym się od rana, trudno było określić godzinę, tak jak czasem nie można określić wieku kobiety.

Gjorg szedł naprzód starając się nie myśleć o niczym. Droga ciągnęła się bez końca, a wokół niej szare wrzosowiska. W pewnej chwili ujrzał kilka zapadniętych częściowo grobów rozrzuconych wzdłuż traktu. Pomyślał, że to Mogiły Kruszków. Ale droga nie rozwidlała się, więc chyba groby te znajdowały się dalej. Tak też było. Pojawiły się po piętnastu minutach, również zapadnięte, ale smutniejsze niż poprzednie i porośnięte mchem. Przechodząc obok wyobraził sobie, że napotkany dziś rano orszak weselny zawrócił i skrył się na tym cmentarzu, aby tu już na zawsze pozostać.

Skręcił w prawo, tak jak radził oberżysta. Kusilo go, aby obejrzeć się i raz jeszcze popatrzeć na stare groby, szedł jednak dalej. Przez jakiś czas udało mu się nie myśleć o niczym. Miał dziwne uczucie, że zlewa się z granatowymi kształtami gór i chmurami. Nie wiedział, jak długo trwał ten stan otępienia. Pragnął, aby się nigdy nie skończył, ale nagle ukazał mu się widok, który oderwał go gwałtownie od skał i mgły. Były to ruiny domu.

Mijając je spoglądał kątem oka na potężne zwałisko kamieni; deszcze i wiatry dawno już zatarty ślady pożaru pozostawiwszy

tylko niezdrowy szary koloryt popieliska. Ten obraz jakby wyzwał tłumione od długiego czasu w gardle łkanie.

Szedł dalej, z ukosa popatrując na ruiny; naraz przeskoczył zręcznie niegłęboki przydrożny rów i w kilku susach znalazł się przy stosie zwapniałych kamieni. Znieruchomiał na chwilę, a potem – jak ktoś, kto widząc konającego chce umiejscowić ranę i znaleźć broń, która była przyczyną śmierci – skoczył w róg domu, pochylił się, odgarnął gruz i w końcu, powtórzywszy tę czynność w pozostałych trzech kątach, gdzie również narożne głązy usunięto, zrozumiał, że jest to dom ukarany za złamanie prawa gościnności. Los taki, po spaleniu, spotykał te domy, w których popełniono najgorszą, według Kanunu, zbrodnię; zdradę gościa chronionego besą.

Gjorg przypomniał sobie podobną karę zastosowaną kilka lat temu w jego wsi, gdy doszło do pogwałcenia besy. Zebrali się wszyscy mężczyźni i rozstrzelali zabójcę ogłaszając, że jest niegodny zemsty; następnie, chociaż pozostali mieszkańcy byli niewinni, spalono dom, w którym zabito gościa i złamano besę. Gospodarz pierwszy rzucał płonące szczapy i rozwałił siekierą mury wykrzykując: „Obym mógł zmyć moje winy wobec wsi i flamuru!” Za nim szli wszyscy sąsiedzi z pochodniami i siekierami. Potem przez wiele lat każdy przedmiot podawano gospodarzowi lewą ręką i przez kolano – w ten sposób przypominano mu, że powinien zmyć krwią krew gościa. Według starych praw można było darować przelanie krwi ojca, brata, nawet własnego dziecka, ale nigdy gościa.

„Kto wie, jakiej dopuszczono się tu podłości” – pomyślał Gjorg potrącając nogą kilka kamieni. Wydały głuchy dźwięk. Rozejrzał się, czy nie ma wokoło innych domów, i zobaczył tylko ruiny oddalone o jakieś dwadzieścia kroków. „Co to znaczy?” – pomyślał. Podeszedł machinalnie do rumowiska, okrążył je i zauważył to samo, co przedtem: z czterech rogów usunięto wielkie kamienie fundamentu. „Czy to możliwe, że ukarano całą wieś?” – dziwił się w duchu. Ale gdy nieco dalej znalazł kolejną ruinę, nabrał już pewności, że tak się właśnie stało. Kilka lat temu słyszał opowieść o dalekiej wiosce, która złamała besę

i którą ukarał flamur. Zabito wówczas mediatora zajmującego się sporem o granice między dwiema wioskami. Flamur obciążył zemstą tę wieś, w której zabito mediatora. Ponieważ wieś nie potrafiła dokonać zemsty, postanowiono ją zniszczyć.

Gjorg, lekko jak cień, długo krążył między jedną i drugą ruiną. Kim był człowiek, który wciągnął w swą śmierć całą wioskę? Milczenie ruin było przerażające. Gjorg usłyszał naraz pohukiwania nocnego ptaka i zorientował się, że jest późno. Oczywiście poszukał traktu. Ciszę przeszył znowu krzyk ptaka, „Or!”; tym razem gdzieś daleko. Kim mógł być człowiek zdradzony w tej nieszczęsnej sadybie? „Or, or!” – usłyszał w odpowiedzi, a zabrzmiało to trochę jak jego imię: „Gjorg, Gjorg”. „A więc słyszysz głosy” – uśmiechnął się do siebie i ruszył w kierunku drogi.

Nieco później, już na drodze, chcąc pozbyć się przygnębienia, w jakie wprawił go widok zniszczonej wsi, zaczął sobie przypominać najłżejsze kary przewidziane w Kodeksie. Zdrada gościa zdarzała się rzadko, rzadkie więc było palenie domów, a jeszcze radsze palenie całych wsi. Za mniej ciężkie przewinienia Kanun nakazywał wydalenie winnego wraz z rodziną poza granice flamuru.

Przychodziły mu do głowy inne kary, przyspieszył kroku, jakby chciał przed nimi uciec. Były rozmaite: wygnanie – winowajca żył do śmierci w izolacji (nie mógł brać udziału w pogrzebach i ślubach, nie mógł od nikogo pożyczać mąki); zakaz uprawy ziemi oraz wycięcie drzew w ogrodzie; zakaz noszenia broni na ramieniu i u pasa przez tydzień lub dwa, przywiązanie łańcuchem lub uwięzienie w domu; pozbawienie gospodarza lub gospodyni władzy w rodzinie.

Ze szczególną siłą prześladowała go kara, na którą sam się naraził we własnej rodzinie. Bał się jej od czasu, kiedy za pierwszym razem nie udało mu się pomścić brata.

Nie mógł zapomnieć o tamtym mroźnym styczniowym poranku, gdy ojciec zawezwał go na górę do białej izby, aby odbyć z nim rozmowę sam na sam. Ranek był wyjątkowo jasny, niebo i świeżo spadły śnieg oślepiały oczy. Wydawało się, że lśniący, jak gdyby szklany świat łąda chwila rozbije się w swym krystal-

cznym przepychu na miliony kawałków. W taki oto poranek ojciec przypomniał mu o ciężącym na nim obowiązku. Gjorg siedział przy oknie i słuchał o krwi. Zdawało mu się, że oblepia ona cały świat. Czerwieniała na śniegu, wszędzie naokoło kałuże krwi rozlewały się i zastygały. Po chwili zorientował się, że te czerwone plamy pojawiają się tylko w jego wyobraźni. Słuchał nadal ojca ze spuszczoną głową. A w ciągu następnych dni po raz pierwszy, nie bardzo wiedząc dlaczego, rozważał w duchu wszystkie kary, na jakie narażał się krnąbrny członek rodziny. Nie chciał przyznać się przed sobą, że zabicie człowieka napawa go odrazą. Nienawiść do Krueciuciów, którą ojciec usiłował w nim wzniecić tamtego styczniowego poranka, zdawała się nie wytrzymywać blasku dnia. Gjorg nie rozumiał wtedy, że ogień nienawiści nie mógł w nim zapłonąć między innymi dlatego, że ojciec, który chciał go rozniecić, sam był zimny jak lód. Widocznie przez wszystkie długie lata wendety nienawiść powoli wygasła, a może nie istniała nigdy. Ojciec mówił na próżno: Gjorg z lękiem, właściwie z przerażeniem czuł, że nie może znienawidzić swej przyszłej ofiary. Kiedy w następnych dniach wracał myślami do kar dla nieposłusznego członka rodziny, powoli rozumiał, że przygotowywał się duchowo do niewykonania zemsty. Błąkał się od kary do kary nałożonej w rodzinie, ale wiedział dobrze, jak wszyscy, że kary były o wiele sroższe za byle uchybienie prawu wendety.

W czasie drugiej rozmowy ojciec przemawiał bardziej surowo. Dzień też był inny: bez wyrazu, nędzny, bez deszczu, a nawet bez mgły, błyskawice byłyby wprost luksusem na tym bezbarwnym niebie. Gjorg starał się unikać wzroku ojca, lecz w końcu jego spojrzenie wpadło, niczym w pułapkę, w rodzicielskie oczy.

– Popatrz – rzekł ojciec, ruchem głowy wskazując koszulę rozwieszoną na przeciwległej ścianie.

Gjorg obrócił się w tę stronę. Wydawało mu się, że żyły, jakby zardzewiałe, zaskrzypiały mu w szyi.

– Krew już żółknie – powiedział ojciec. – Zabity domaga się zemsty.

Krew rzeczywiście pożółkła. A raczej nabrała tego rdzawego odcienia, jaki ma woda puszczone z dawno nie używanego kranu.

– Zwlekasz, Gjorg – mówi dalej ojciec. – Nasz honor, ale zwłaszcza twój...

„Wszchemogący odcisnął nam na czole dwa palce honoru”. W następnych tygodniach Gjorg setki razy powtarzał sobie zacytowane przez ojca słowa Kodeksu. „Od ciebie zależy, czy twój ja skalana twarz rozjaśni się, czy też się zciemni. Sam zdecydujesz, czy będziesz mężczyzną”.

„Czy jestem wolny?” – zastanawiał się później wchodząc na piętro kulli, by oddać się rozmyśleniom. Kary, wymierzone mu przez ojca za rozmaite przewinienia, był niczym w porównaniu z ryzykiem utraty honoru.

Dwa palce honoru na czole... Dotykał czoła dłonią, jakby chciał dokładnie umiejscowić ów honor. „Dlaczego akurat tutaj?” – myślał. Zdanie to, powracające tak często w rozmowach, nigdy nie było w pełni rozumiane. Pojął wreszcie jego sens. Honor znajdował się w środku czoła, ponieważ tam właśnie kula powinna trafić przeciwnika. „Dobry strzał” – mówili starzy, gdy ktoś trafiał w sam środek czoła. „Zły strzał”, gdy kula utkwiała w brzuchu, kończynach, nie mówiąc już o plecach.

Za każdym razem gdy Gjorg wchodził na górę, by obejrzeć koszulę Mehila, paliło go czoło. Plamy krwi na płótnie płwiały. Jeśli się ociepli, pożółkną. A wtedy ludzie zaczną Beriszów częstować kawą podając im kubek przez kolano. Wedle Kanunu oznacza to śmierć.

Nie było wyjścia. Żadne kary ani poświęcenia nie mogły go uratować. Gdzieś czekała na niego złowroga kawa podana przez kolano. Wszystkie furtki były zamknięte, poza jedną. Jedyne wyjście dla znieważonego wskazuje Kodeks. Tą furtką było zabicie Krueciucia. I tak ubiegłej wiosny Gjorg zdecydował się wreszcie stanąć na czatach.

Od tej pory cały dom się ożywił. Ciszę wypełniła się nagle muzyką. Surowe ściany złagodniały.

Byłoby już po wszystkim: spełniłby swoje zadanie, siedziałby

teraz spokojnie w wieży odosobnienia albo znalazłby prawdziwy pokój w grobie, gdyby nie pewne wydarzenie. Z dalekiego flamuru zjechała bez uprzedzenia ciotka, która tam wyszła za męż. Pełna obaw i lęków przebyła siedem czy osiem gór i tyleż równin, aby zapobiec rozlewowi krwi. „Gjorg jest po ojcu ostatnim męskim potomkiem w rodzinie – powiedziała. – Zabiją Gjorga, potem Krueciucia, przyjdzie kolej na ojca i ród Beriszów wygaśnie. Nie róbcie tego, nie pozwólcie, aby dąb usechł. Domagacie się wykupienia krwi”.

Najpierw w ogóle nie chcieli jej słuchać. Potem zamilkli pozwalając jej mówić; jeszcze później zaczęli się wahać, nie wiedzieli, czy są za, czy przeciw jej radom. Byli zmęczeni, czego nie dałoby się powiedzieć o ciotce. Nie szczczędząc wysiłku dniem i nocą, nocując to u jednych, to u drugich, u bliższych i dalszych krewnych, osiągnęła wreszcie swój cel: po siedemdziesięciu latach śmierci i żałoby Beriszowie zdecydowali się zaproponować Krueciuciom wykupienie krwi.

Propozycja pojednania zdarzała się u górali niezmiernie rzadko, narobiła więc wiele szumu we wsi, a nawet w całym flamurze. Pilnowano skrupulatnie, aby nie uchybić żadnym przepisom Kodeksu. Mediatorzy, wraz z kilkoma przyjaciółmi i krewnymi Beriszów, tak zwani „mistrzowie krwi”, udali się do zabójcy, czyli do Krueciuciów, na posiłek wykupu krwi. Zgodnie ze zwyczajem zjedli z zabójcą obiad i ustalili cenę krwi, którą Krueciuciowie mieli wykupić. Potem już tylko mistrz krwi, ojciec Gjorga, miał wryć nożycami i młotkiem krzyż na drzwiach zabójcy, wymienić z nim krople krwi i zgoda została raz na zawsze przypieczętowana. Ten moment jednak nigdy nie nastąpił. Na przeszkodzie stanął stary wuj. Po posiłku mężczyźni, wedle zwyczaju, obchodzili wszystkie izby tupiąc głośno w podłogę, aby z każdego zakamarka przegnać najmniejszy cień krwi. Wtedy stary wuj Gjorga zawołał gwałtownie: „Nie!” Był to spokojny starzec, który nigdy niczym nie zwrócił na siebie uwagi w rodzinie, ostatni człowiek, po którym można było się spodziewać takiego odruchu. Wszyscy stanęli jak wryci. Wzniesione do góry głowy, nogi gotowe do tupnięcia w podłogę opadły bezdźwięcz-

nie jak w watę. „Nie” – powtórzył stary wuj. Wtedy ksiądz, będący głównym mediatorem, skinął ręką i powiedział: „Prawo krwi trwa nadal”.

Gjorg, po chwilowej przerwie, znowu stał się ośrodkiem zainteresowania. Wrócił dawny niepokój, od którego na pewien czas się uwolnił. Odczuwał przy tym dawne zadowolenie: ponownie znalazł się w centrum uwagi. Nie potrafił teraz powiedzieć, jakie życie jest lepsze, czy to spokojne, pokryte kurzem zapomnienia, poza prawem krwi, czy to drugie, niebezpieczne, z błyskawicą żałoby, która przebiega przez nie jak nierówny szew. Znał jedno i drugie i gdyby miał wybierać, zawahałby się na pewno. Widocznie do spokoju, jak do wojny, można przywyknąć dopiero po latach. Mechanizm prawa krwi uwalniał nas od czynu, ale jego siła nadal panowała nad naszym duchem.

Po nieudanej próbie pojednania przelotnie czyste niebo znowu zasnuło się chmurami niebezpieczeństwa. Gjorg zastanawiał się często, czy próba ta była celowa, czy nie, lecz nie znajdował odpowiedzi. To prawda, podarowała mu jeszcze rok wolnego życia, ale skądinąd miała też i zgubne skutki: musiał przyzwyczaić się do życia, od którego zdążył już odwyknąć, oswoić się z myślą, że trzeba zabić człowieka. Wkrótce musi zostać jednym z obrońców prawa, jak nazywał Kodeks ludzi zabijających z nakazu: krew za krew. Obrońcy prawa byli jakby awangardą rodziny, nieśli śmierć, a jednocześnie sami padali ofiarą wendety, kiedy z kolei dokonywała zemsty druga strona. Tylko wtedy gdy było to niemożliwe, w zastępstwie obierano za cel innego członka tej rodziny. W ciągu siedemdziesięcioletniej wojny z Kruciaciami w rodzinie Beriszów było dwudziestu dwu obrońców prawa i większość zginęła od kuli. Obrońcy prawa stanowili kwiat rodu, jego rdzeń, trwały chlubę. W życiu rodzin wiele rzeczy ulegało zapomnieniu, ludzie i wydarzenia pokrywały się pyłem czasu, jedynie obrońcy prawa, nie wygasające płomyki na rodowym nagrobku, pozostawali na zawsze w pamięci.

Nadeszło lato i minęło szybciej niż kiedykolwiek przedtem. Beriszowie pośpiesznie kończyli prace w polu, aby po zabójstwie zamknąć się w kulli. Gjorg był pełen spokojnej rezygnacji,

podobnie jak czuje się czasem młody człowiek tuż przed ślubem.

Pod koniec października strzelił wreszcie do Zefa Krueciuciów, ale nie udało mu się go zabić. Zranił go tylko w szczękę. Lekarze od prawa zwyczajowego, którzy w takich wypadkach ustalają wysokość odszkodowania, oszacowali tę ranę, jako że znajdowała się w obrębie głowy, na trzy sakiewki groszy, czyli połowę pełnej ceny krwi. Beriszowie stanęli przed wyborem: albo wypłacić odszkodowanie, albo uznać ranę jako uregulowanie połowy długu za krew. W drugim przypadku – jeśli nie płacili i wliczali ranę na poczet całego długu – tracili prawo do zabicia Krueciucia, bo połowę krwi już odebrali. Zostawałoby im tylko prawo do zadania rany.

Beriszowie oczywiście nie wybrali drugiego rozwiązania. Choć koszt rany stanowił poważną sumę, sięgnęli do swych oszczędności i zapłacili. Rachunek krwi nie uległ więc żadnej zmianie.

Kiedy ciągnęła się sprawa o odszkodowanie za ranę, Gjorg widział w oczach ojca pogardę i gorycz. Czytał w nich wyrzut: „Nie dość, że zwlekałeś tak długo, jeszcze doprowadzasz nas do ruiny”.

Gjorg zdawał sobie dobrze sprawę, że to wskutek jego dawnego niezdecydowania zadrżała mu w ostatniej chwili ręka, ale nie miał pewności, czy rzeczywiście ręka zadrżała mu przy wystrzale, czy też świadomie opuścił strzelbę i celował nie w czoło, lecz w dolną część głowy Zefa.

Gjorg popadł w apatię. Życie dreptało w miejscu. Ranny długo chorował. Mówiono, że kula zmiażdżyła mu szczękę, że nastąpiło zakażenie. Zima wlokła się długo, smutniejsza niż zwykle. Po nieruchomym śniegu (najstarsi ludzie nie pamiętali tak nieruchomego śniegu, bez żadnych lawin) przelatywał wiatr z leciutkim gwizdem, równie zastygłym co śnieg. Zef, jedyny cel życia Gjorga, nie podnosił się z łóżka, Gjorg czuł się więc całkowicie bezużyteczny, jak obijający się próżniak.

Ta zima naprawdę nie chciała się skończyć. A gdy zaczęto przebąkiwać, że ranny wraca do zdrowia, rozchorował się

Gjorg. Ze śmiercią w duszy zgodziłby się na każde cierpienie, byleby tylko nie rozchorować się na dobre przed wykonaniem zadania. Było to jednak niemożliwe. Zrobił się błąd jak wosk, póki mógł, trzymał się prosto, wreszcie zwałił się z nóg. Przez dwa miesiące przykuty był do łóżka, a Zef, korzystając z jego choroby, zaczął swobodnie chodzić po wsi. Z kąta na piętrze, gdzie leżał, nie myśląc właściwie o niczym, Gjorg obserwował skrawek krajobrazu widoczny w oknie. Rozciągał się tam biały od śniegu świat, z którym nic już go nie łączyło. Od dawna czuł się w nim jak obcy, nawet jak ktoś niepotrzebny, a jeśli czegoś jeszcze od niego oczekiwano, dotyczyło to tylko zemsty.

Całymi godzinami patrzył z pogardą na śnieg pokrywający ziemię, jakby chciał powiedzieć: „Tak, przyjdę, wkrótce przyjdę, żeby przelać tę odrobinę krwi”. I ta myśl zaprzętnęła go do tego stopnia, że czasami ulegał przywidzeniu dostrzegając małą czerwoną plamkę, która za sprawą jego rąk powstała w samym sercu nieskończonej bieli.

W pierwszych dniach marca poczuł się lepiej, a w połowie miesiąca wstał z łóżka. Chwiał się jeszcze na nogach. Nikt nie przypuszczał, że ogłuszony chorobą, z twarzą białą jak płótno, będzie mógł stanąć na czatach. Zef Krueciuciów dał się zaskoczyć, sądził zapewne, że wróg wciąż jest chory.

Deszcz chwilami ledwo siąpił, ale gdy zdawało się, że już ustaje, powracał nagle ze zdwojoną siłą. Było chyba popołudnie, Gjorgowi drętwiały już nogi. Dzień był niezmiennie szary, zmieniała się tylko okolica. Wskazywał na to strój górali, których Gjorg mijał po drodze. Wsie coraz bardziej oddalały się od głównego traktu. Gdzieniedzie słabo lśnił brąz dzwonu. Potem całymi kilometrami znów pustka.

Coraz rzadziej napotykał pieszych. Zapytał znowu o zamek Orosz; najpierw powiedziano mu, że jest bardzo blisko, potem, gdy sądził, że jest już w pobliżu, dowiedział się, że ma jeszcze spory kawałek drogi. Za każdym razem pokazywano mu ręką tę samą dal, w której wzrok gubił się, hen, we mgle.

Kilka razy miał wrażenie, że zapada wieczór, ale było to złudzenie. Wciąż trwało nie kończące się popołudnie, wsie uciekały od drogi, jakby chciały ukryć się na zawsze przed nią i światem. Znowu spytał, czy daleko jeszcze do zamku, powiedziano mu, że teraz jest już blisko. Ostatni zapytany człowiek pokazywał nawet ręką, jakby to było tuż-tuż.

– Czy dojdę tam przed wieczorem? – spytał Gjorg.

– Chyba tak – odparł tamten. – O zmierzchu.

Gjorg ruszył naprzód. Padał ze zmęczenia. Wydawało mu się, że zamek oddala się od niego, bo wieczór nie nadchodzi, to znowu odwrotnie, że zmierzch nie może zapaść, gdyż zamek ciągle ucieka.

Ujrzał sylwetkę wieży we mgle, lecz był to klasztor, taki sam jak ten, który widział rankiem tego długiego dnia. Po jakimś czasie znowu nabrał pewności, że zbliża się do zamku, a nawet że widzi go wyraźnie na końcu stromej śliskiej ścieżki, ale po chwili zorientował się, że to nie Orosz ani nawet żadne zabudowania, tylko po prostu ciemniejszy strzęp mgły.

Kiedy droga całkiem opustoszała, stracił wszelką nadzieję, że dotrze do celu. Nieliczne, złowrogo wyglądające krzaki po obu stronach traktu pogłębiały tylko wrażenie pustki. „Co to znaczy?” – myślał Gjorg. Nie widział teraz nawet odległych wsi, i co gorsze, zdawało mu się, że nigdy się już nie pojawią.

Raz po raz unosił głowę szukając zamku Orosz na horyzoncie. I na nowo uległ złudzeniu, że go widzi, ale już w to nie wierzył. Od dziecka słyszał opowieści o książęcej kulli, która strzeże od wieków prawa zwyczajowego, ale nic więcej o niej nie wiedział, nie potrafił nawet jej sobie wyobrazić. Mieszkańcy Płaskowyzu nazywali ją po prostu Orok. Ale jak wygląda, trudno było zorientować się na podstawie ich opowieści. Nawet teraz, gdy widział ją na własne oczy w oddali, choć już w to nie wierzył, nie potrafiłby jej opisać. Sylwetka zamku we mgle nie była ani wysoka, ani niska, raz widział rozproszone zabudowania, to znowu zwalisty gmach. Zrozumiał, dlaczego tak się dzieje: droga wspinała się zakosami i kąt widzenia stale się zmieniał. Ale nawet z bliska nic się nie wyjaśniło. Był pewny, że to istotnie za-

mek, a zarazem przekonany, że to on. Czasem widział jeden dach pokrywający różne budowle, a czasami kilka dachów na tym samym budynku. Jeszcze bliżej obraz się zmienił. Zobaczył teraz basztę otoczoną mrowiem nieforemnych zabudowań. Po chwili wieża zniknęła, zostały już tylko te przybudówki, potem i one się rozwiały. Kiedy był już zupełnie blisko, zauważył, że nie są to kulle, lecz częściowo opustoszałe galerie. Wokół żywego ducha. „Może pomyliłem drogę?” – zdziwił się. Ale wtedy właśnie wyrósł przed nim jakiś człowiek.

– Podatek od krwi? – zapytał ten człowiek rzucając szybkie spojrzenie na prawy rękaw Gjorga. I nie czekając na odpowiedź wyciągnął rękę w stronę galerii.

Gjorg poszedł we wskazanym kierunku. Miał uczucie, że nogi odmówią mu posłuszeństwa. Stał przed bardzo starymi drewnianymi drzwiami. Odwrócił się chcąc zapytać, czy ma wejść właśnie tutaj, lecz tamtego człowieka już nie było. Przez chwilę patrzył na drzwi, nim zdecydował się zapukać. Drewno było wyżarte, zewsząd sterczały różnej wielkości gwoździe i kawałki żelaza, przybite bez ładu i składu, często ukośnie, bez wyraźnej potrzeby. Żelastwo to upodobiło się do starego drewna, jak paznokcie starych palców.

Kiedy zdecydował się zapukać, stwierdził, że na upstrzonych żelastwem drzwiach nie ma kołatki. I ani śladu zamka. Spostrzegł, że drzwi są uchylone, i zrobił coś, co mu się nigdy w życiu nie zdarzyło: pchnął drzwi nie zawoławszy przedtem: „Hej, panie gospodarzu!”

Galeria tonęła w półmroku. Z początku zdawało mu się, że jest pusta. Po chwili dostrzegł w kącie ogień. Był to smutny ogień – mokre drewno dawało więcej dymu niż płomienia. Najpierw poczuł zapach grubych wełnianych opończy, potem dojrzał sylwetki kilku mężczyzn siedzących na stołkach lub przycupniętych w kątach.

Sam też przycupnął pod ścianą umieszczając strzelbę między kolanami. Wzrok przyzwyczajał się stopniowo do półmroku. Cierpki dym dawał gorzki smak w gardle. Zobaczył czarne opaski na rękawach. A więc wszyscy ci ludzie, tak jak on, przybyli

tu, aby wnieść opłatę za krew. Było ich czterech. Po chwili wydało mu się, że jednak pięciu, po kilkunastu minutach znowu, że czterech. Za piątego człowieka brał pień postawiony, nie wiadomo czemu, w najciemniejszym kącie.

– Skąd jesteś? – spytał go sąsiad.

Gjorg wymienił nazwę swojej wsi.

Tymczasem zapadła noc. Gjorg miał wrażenie, że zapadła gwałtownie. Z chwilą gdy przestąpił próg galerii, runęła jak ściana w zniszczonym domu.

– W takim razie nie przychodzisz z bardzo daleka – rzekł tamten. – Ja musiałem iść bez przerwy dwa i pół dnia.

Gjorg zastanawiał się, co na to odpowiedzieć.

Drzwi jęknęły, ktoś wszedł do środka. Niósł naręcze drewna, dorzucił je do ognia. Gałęzie były mokre, migocące światło ogniska przyciągało. Człowiek ten, chyba garbaty, zapalił lampę naftową i zawiesił ją na jednym z niezliczonych gwoździ wbitych w ścianę. Przez sadzę w kloszu żółtawy blask lampy nie docierał do odległych kątów.

Nikt się nie odzywał. Mężczyzna wyszedł i zaraz potem wszedł drugi. Podobny do tamtego, ale nic nie niósł w rękach. Przyjrzał się tylko wszystkim po kolei, jakby ich przeliczał, kilkakrotnie zatrzymał wzrok na pniu, chcąc się chyba upewnić, że to nie człowiek, po czym zniknął. Pojawił się znowu trzymając oburącz kamionkę, za nim szedł pierwszy człowiek niosący kilka drewnianych misek i dwa chleby kukurydziane. Dał każdemu miskę i kawałek chleba, a pierwszy nalewał zupę fasolową.

– Miałeś szczęście – powiedział sąsiad Gjorga. – Trafieś akurat na jedzenie. Inaczej musiałbyś zacisnąć pasa do jutra.

– Mam ze sobą trochę chleba i sera – rzekł Gjorg.

– Po co? Wszyscy, którzy przychodzą z daniną za krew, dostają w zamku jeść dwa razy dziennie.

– Nie wiedziałem o tym – rzekł Gjorg przełknąwszy duży kęs chleba. Chleb kukurydziany był twardy, ale Gjorg był bardzo głodny.

Poczuł na kolanach jakiś przedmiot. Była to metalowa tabakierka sąsiada.

– Zrób sobie skręta – powiedział do Gjorga.

– Długo już tu jesteś? – spytał Gjorg.

– Od południa.

Gjorg milczał, ale sąsiad wyczuł jego zdziwienie.

– Czemu się dziwisz? Są tacy, którzy czekają od wczoraj.

– Naprawdę? – zdumiał się Gjorg. – A ja myślałem, że dziś wieczór zapłacę i jutro zabiorę się z powrotem.

– Na pewno nie. Dobrze będzie, jak uda ci się zapłacić do jutra wieczór. Może nawet przesiedzisz tu ze dwa dni, jeśli nie trzy.

– Trzy dni? Przecież to niemożliwe!

– Księciu niespieszno pobrać podatek.

Drzwi trzasnęły, wszedł człowiek, który przedtem przyniósł kamionkę z fasolą. Zebrał puste miski, po drodze przegrzebał ogień i wyszedł. Gjorg odprowadził go wzrokiem.

– Czy to służący księcia? – spytał cicho sąsiada.

Tamten wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Zdaje się, że służą tutaj dalecy krewni księcia.

– Ach, tak?

– Widziałeś te zabudowania naokoło? Mieszka tam chmara ludzi jakoś spokrewnionych z księciem. Są oni i strażnikami, i urzędnikami zamku. Zauważyłeś, jak ci dwaj się ubierają? Ani po góralsku, ani po miejsku.

– Rzeczywiście – przyznał Gjorg.

– Masz, zrób sobie jeszcze skręta – powiedział tamten podając mu tabakierkę.

– Dziękuję – rzekł Gjorg. – Rzadko pałę.

– Kiedy zabiłeś?

– Przedwczoraj.

Z dworu dochodził szmer deszczu.

– Ta zima chyba nigdy się nie skończy.

– Tak, to prawda, ciągnie się strasznie długo.

Z daleka od zabudowań, może od głównej wieży, doleciało ostre skrzypienie drzwi. Musiały to być ciężkie skrzydła, które otwierały się lub zamykały, a skrzypienie trwało jeszcze jakiś czas. Zaraz potem rozległ się krzyk przypominający wołanie no-

cnego ptaka, ale równie dobrze mógł to być krzyk wartownika, powitanie lub pożegnanie przyjaciela. Gjorg jeszcze głębiej zaszył się w swój kąt. Nie mógł uwierzyć, że znajduje się w Oro-szu.

Drzwi jęknęły, Gjorg ocknął się z drzemki. Otworzył po raz trzeci oczy i zobaczył garbusa z naręczem drew. Dorzucił je do ognia, poprawił knot w lampie. Z polan kapąła woda. „Wciąż pada” – pomyślał Gjorg.

Zobaczył w blasku lampy, że nikt nie śpi. Było mu zimno w plecy, coś jednak nie pozwalało mu zbliżyć się do ognia. Miał wrażenie, że ogień wcale nie grzeje. Zalegająca cisza, niepewne, chybotliwe światło upstrzone czarnymi plamami ciążyły oczekującym. Gjorg nie po raz pierwszy pomyślał, że każdy tu jest zabójcą i ma za sobą jakąś historię. Historie te wszyscy trzymali jednak w sobie, zamknięte na klucz. Nie bez powodu ich usta, a zwłaszcza szczęki, przypominały w blasku ognia kształt niektórych dawnych zamków. Przez cały czas swej podróży Gjorg zamierał na myśl, że ktoś chciałby wyciągnąć z niego jego własną historię. Strach sięgnął szczytu, kiedy Gjorg wchodził do galerii. A jednak upewnił się tuż za progiem, że jest poza niebezpieczeństwem. Być może przeświadczenie to wywołały zastygłe sylwetki ludzi, a może pień w kącie. Każdy nowo przybyły albo brał go z początku za człowieka i dopiero po jakimś czasie spostrzegał omyłkę, albo odwrotnie, najpierw uważał, że to pień, a potem uśmiechając się nad swym przywidzeniem zwracał się doń jak do kogoś żywego, aż w końcu odkrywał prawdę. Gjorgowi nawet wydawało się teraz, że pień postawiono tam specjalnie w tym celu.

Wilgotne polana zaczęły trzeszczeć, gdy tylko garbus wrzucił je do ognia. Gjorg westchnął głęboko. Pewno było coraz ciemniej na dworze. Gdzieś w oddali lekko szumiał północny wiatr delikatnie muskając ziemię. W Gjorgu wezbrała nagle chęć mówienia, aż sam się tym zdziwił. Ponadto doświadczał niezwyklego wrażenia. Wydawało mu się, że szczęki otaczających go ludzi

powoli zmieniają kształt. Ich historie podchodziły im do gardel i zaczęli je przeżuwać jak woły paszę w chłodne noce zimowe. Zaczynały teraz, jak krople, sączyć się z ich warg. Od ilu dni jesteś pod besą? Od czterech. A ty?

Powoli, powoli, historie jak czarne karaluchy wypęzły z grubych wełnianych opończy, skradały się, krzyżowały. Co zrobisz z trzydziestoma dniami rozejmu?

„Co zrobię? – zastanowił się Gjorg. – Nic”.

Chwilami zdawało mu się, że już zostanie na zawsze w tej wilgotnej galerii, przy ogniu, który nie mógł porządnie się rozpaść i bardziej ziębił niż grzał, z czarnymi karaluchami przemykającymi po podłodze.

Kiedy wezwą go do zapłacenia daniny? Przez cały czas przyjęto tylko jednego człowieka. Czy możliwe, aby musiał tak czekać przez wiele dni? A jeśli nie zawołają go przez cały tydzień? Albo wcale?

Drzwi się otworzyły, wszedł ktoś nowy. Widać było, że przybywa z daleka. Ogień rzucił mu kilka pogardliwych przebłysków, tyle tylko, aby go oświetlić i pokazać, jak jest ubłocony i przemoczony. Potem pogrążył go w półmroku jak wszystkich innych.

Mężczyzna, oszołomiony, usiadł w kącie akurat przy pniu. Gjorg przyglądał mu się ukradkiem; może zastanawiał się, jakie sam zrobił wrażenie, gdy stanął w tych drzwiach przed kilkoma godzinami. Nowo przybyty zdjął kaptur i oparł głowę na kolanach. Swą historię najwyraźniej ukrył na razie głęboko w sobie, daleko od krtani. A może wcale nie wniknęła ona do wnętrza, tylko pozostała w zwisających zziębniętych rękach, którymi niedawno zabił, a teraz poruszał nerwowo wokół kolan.

Rozdział trzeci

Powóz wspinał się z lekkością po górskiej drodze. Był to kryty pojazd na ogumionych kołach. W mieście używano takich wehikułów na spacer, służyły też jako dorożki. Ławki obite były czarnym aksamitem, nawet całość sprawiała wrażenie czegoś aksamitnego. Może dlatego toczył się tak lekko tą podłą drogą, słychać było tylko sapanie koni i stukot kopyt, których nie mogło stłumić aksamitne obicie.

Besian Worpsi trzymając żonę za rękę wyjrzał przez okno, jakby chciał się upewnić, że miasteczko, które opuścili pół godziny temu, ostatnie u podnóży Północnego Płaskowyzu, zniknęło z horyzontu. Teraz rozciągał się wokół łagodnie spadzisty teren, ani równinny, ani górzysty, ani wyżynny. Jeszcze nie było gór, ale już czuło się ich obecność. I chyba właśnie ten cień gór sprawiał, że nie był to krajobraz równinny, ale i nie górzysty. Była to więc ziemia pośrednia, nieurodzajna i prawie nie zamieszкана.

Od czasu do czasu drobne krople deszczu perliły się na szbach powozu.

– Góry Przekłete – powiedział ściszone, nieco drżącym głosem, jakby na powitanie pejzażu, którego oczekiwał od dawna. Zdawał sobie sprawę, że ta uroczysta nazwa zrobiła wrażenie na żonie, i doznał pewnej satysfakcji.

Pochyliła się ku niemu, owionął go zapach jej szyi.

– Gdzie one są?

Ruchem głowy wskazał przestrzeń przed sobą i wyciągnął rękę, ale we wskazanym kierunku ujrzała tylko gęstą zasłonę mgły.

– Jeszcze nic nie widać – wyjaśnił. – Jesteśmy za daleko.

Nie wysuwając ręki z dłoni męża zagłębiła się w aksamitne siedzenie. Przy którymś wstrząsie powozu spadła gazeta, ale nie

ruszyli się, aby ją podnieść. Była w niej wzmianka o ich wyprawie, a kupili ją w miasteczku przed samym wyjazdem. Uśmiechnęła się z nieco zagubionym wyrazem twarzy przypominając sobie tytuł krótkiego artykułu z zapowiedzią ich podróży: „Mała sensacja: pisarz Besian Worpsi spędzi ze swą młodą małżonką miodowy miesiąc na Płaskowyżu Północnym!”

Artykuł nie był klarowny. Trudno było powiedzieć, czy autor, podpisujący się inicjałami A.G. (może to ich wspólny znajomy, Adrian Guma?), popiera tę eskapadę, czy też traktuje ją z pewną dozą złośliwości.

Pomysł ten jej samej wydawał się wielce oryginalny, kiedy narzeczony przedstawił go dwa tygodnie przed ślubem. „Nie dziw się niczemu – mówiły przyjaciółki. – Wychodzisz za mąż za człowieka niezwykłego, możesz się więc spodziewać z jego strony tylko rzeczy niezwykłych. Masz szczęście”.

Istotnie, była szczęśliwa. W ostatnich dniach przed ślubem w pół światowych, pół artystycznych kołach Tirany rozmawiało się wyłącznie o ich podróży poślubnej. Przyjaciele zazdrościli jej i mówili: „Uciekniesz od rzeczywistości w krainę legend, prawdziwych eposów, które tak rzadko można spotkać w życiu”. Mówiono o wrózkach, nimfach, rapsodiach, ostatnich na świecie pieśniach homeryckich, o straszliwym, a jednocześnie wspaniałym Kanunie. Byli tacy, co wzruszeniem ramion kwitowali podobną egzaltację i dyskretnie wyrażali swe wątpliwości, dotyczące zwłaszcza kwestii wygód; podróż poślubna wymaga pewnych wygód, w wysokich górach zaś jest jeszcze zimno, a romantyczne kulle budowane są z kamienia. Jeszcze inni słuchali tego wszystkiego z rozbawioną miną, jakby chcieli powiedzieć: „Jedźcie, jedźcie na Północ do tych nimf, to wam obojgu dobrze zrobi, zwłaszcza Besianowi”.

Jechali więc teraz do tej ponurej krainy. Ów Płaskowyż, o którym tyle się naczytała i nasłuchiwała na pensji dla dziewcząt imienia Królowej Matki i później, w okresie zaręczyn z Besianem, pociągał ją i przerażał zarazem. Na podstawie lektur i opowieści, nawet utworów Besiana, właściwie nie potrafiła wyobrazić sobie życia w tych górach, za wiecznymi mgłami. Miała wra-

żenie, że to, co mówiono o Płaskowyżu, staje się mgliste i pełne niedomowień. Na temat Północy Besian Worpsi napisał tragiczno-filozoficzne opowiadania, przyjęte z mieszanymi uczuciami przez krytykę: jedni widzieli w nich prawdziwe perły, inni wytykali brak realizmu. Dianie kilkakrotnie przychodziło na myśl, że mąż wyruszył na tę dziwną eskapadę nie dlatego, że chciał oczarować ją Północą, tylko po to, by o czymś przekonać samego siebie. Irytowały ją własne domysły: skoro miał taki cel, mógł wyjechać dużo wcześniej, a co ważniejsze, samotnie.

Obserwowała go: po napiętych mięśniach na policzkach, po sposobie, w jaki wyglądał przez okno, odgadła, że powstrzymuje zniecierpliwienie, zupełnie zresztą, jej zdaniem, rozumiało. Myślał z pewnością, że ów na pół baśniowy, na pół epicki świat, o którym opowiadał jej całymi godzinami, nie chce się objawić. Po obu stronach drogi ciągnęły się bez końca bezludne okolice, szare kamienie mokły w deszczu, najbardziej ponurym na świecie. „Boi się, że będę rozczarowana” – mówiła sobie i chciała go uspokoić: „Nie denerwuj się, Besianie, nasza podróż trwa zaledwie godzinę, okazałabym niecierpliwość i naiwność, gdybym chciała ujrzeć od razu wszystkie cuda Północy”. Nic jednak nie powiedziała, tylko naturalnym ruchem oparła głowę na jego ramieniu. Czowała, że ten gest jest bardziej uspokajający niż wszelkie słowa, i tak trwała dłuższy czas, a jej jasnokasztanowe włosy rytmicznie kołysały się na jego ramieniu.

Zapadała już w drzemkę, gdy poruszył ramieniem.

– Spójrz, Diano – rzekł cicho, ujmując jej dłoń.

W oddali na skraju drogi rysowało się kilka ciemnych sylwetek.

– To górale? – spytała.

– Tak.

W miarę jak się zbliżali, sylwetki zdawały się wydłużać coraz bardziej. Oboje niemal przywarli do okna, Diana raz po raz przecierała zamgloną szybę.

– Co oni trzymają w rękach, czy to nie parasole? – spytała niemal szeptem, kiedy znajdowali się o kilkadziesiąt kroków od górali.

– Tak, na to wygląda – wycedził przez zęby. – Hm, skąd się tu wzięły parasole?

Powóz minął wreszcie górali, którzy odprowadzali go wzrokiem. Besian odwrócił się, jakby chciał się upewnić, że przedmioty, które nieśli, to rzeczywiście stare parasole z połamanymi prętami i podartym płótnem.

– Nigdy jeszcze nie widziałem górala z parasolem – wymamrotał.

Diana również była zdziwiona, ale nie wyraziła tego głośno, aby go nie irytować.

Napotkali później inną grupę górali, z których dwaj dźwigali worki na plecach. Diana jakby ich nie dostrzegła, Besian chwilę im się przyglądał.

– Kukurydza – rzekł wreszcie, ale żona nie odezwała się słowem. Znowu oparła głowę na jego ramieniu i włosy jej zaczęły się łagodnie kołysać przy każdym wstrząsie powozu.

Teraz Besian uważnie obserwował drogę. Diana natomiast próbowała myśleć o czymś przyjemniejszym. Ostatecznie, nie jest to wielkie nieszczęście, że legendarny góral niesie worek kukurydzy czy używa zniszczonego parasola, aby się schronić przed deszczem. Nieraz na przedzimi widywała takich górali w mieście z siekierą na ramieniu wołających żałośnie: „Drzewo rąbię”. Okrzyk ten przypominał raczej wołanie nocnego ptaka niż głos ludzki. Besian twierdził jednak, że nie są to typowi przedstawiciele mieszkańców gór. Porzuciwszy z rozmaitych powodów epickie krainy, wykorzeniali się jak wyrwane drzewa, traciли cechy bohaterów i fundamentalne cnoty. „Prawdziwi górale są tam, na Płaskowyżu” – powiedział jej pewnej nocy wskazując ręką na niebo ponad horyzontem, jakby Płaskowyż znajdował się w niebie, a nie na ziemi.

Z twarzą przy szybie nie spuszczał z oka okolicy. Drżał na myśl, że żona może go zapytać: „Czy ci nieszczęśni górale chroniący się pod szkieletami parasoli albo tamci zgięci w pół pod ciężarem worka kukurydzy są naprawdę herosami z gór, o których tyle mi opowiadałeś?” Ale gdyby nawet Diana była całkiem zadowolona, nie zadałaby takiego pytania.

Przytulona do męża przymykała od czasu do czasu oczy w takt kołysania powozu. Chcąc uciec przed smutkiem, jakim napawały ją te jałowe obszary, przywoływała pewne obrazy z pierwszych dni po poznaniu Besiana i z pierwszych tygodni po zaręczynach. Platany przy wielkim bulwarze, wejścia do kawiarni, migotanie zaręczynowych pierścionków, gdy się obejmowali, ławki w parku usłane suchymi jesiennymi liśćmi oraz dziesiątki innych wspomnień rzucała na tło bezkresnej krainy z nadzieją, że bodaj trochę zaludnią one pustkę tej ziemi. Nic się jednak nie zmienia. Wilgotna nagość gotowa jest w oka mgnieniu wchłonąć zapasy szczęścia, nie tylko jej własne, ale chyba także całych pokoleń. Nigdy nie widziała podobnego pejzażu. Sterczące góry zasługiwały na miano Przeklętych.

Majaczenia te przerwał ruch ręki Besiana i dźwięk głosu, którym starał się nadać brzmienie pieszczotliwe.

– Spójrz, Diano, kościół.

Zbliżyła twarz do szyby i wzrok jej padł na krzyż wieńczący kamienną dzwonnice. Kościół stał na skalnym wzniesieniu. Z drogi położonej znacznie niżej wydawało się, że czarny krzyż chwieje się groźnie wśród chmur, a może wrażenie to było spowodowane przez szare tło nieba. Kościół był na razie daleko. Z bliska ujrzeli dzwon, brąz lśnił bladym połyskiem jak uśmiech pod zagrażającą czernią krzyża.

– Jakie to piękne! – zawołała Diana.

Skinął głową bez słowa. Surowy cień krzyża i ciepłe lśnienie dzwonu, złączone i nierozdzielne, panowały nad całą okolicą, widoczne na wiele mil wokoło.

– Popatrz, widać góralskie kulle.

Z trudem oderwała wzrok od kościoła szukając wysokich kamiennych domów.

– Gdzie?

– Spójrz tam wysoko, na to zbocze – powiedział wyciągając rękę. – O, a tam dalej na wzgórzu jeszcze jedna.

– Tak, widzę.

Ożywił się nagle i chciwie wpatrywał w horyzont.

– Górale – rzekł gestem wskazując małą przednią szybę.

Szli w ich kierunku, ale z tej odległości postacie rysowały się niewyraźnie.

– Gdzieś w pobliżu jest pewnie jakaś duża wieś.

Górale byli coraz bliżej. Diana odgadywała, że napięcie Besiana sięga szczytu.

– Mają strzelby – powiedziała.

– Tak – odparł z ulgą, nie odrywając wzroku od okna. Wyraźnie czegoś jeszcze oczekiwał. Od górali dzieliło ich najwyżej dwadzieścia kroków.

– Popatrz – rzekł wreszcie szarpiąc Dianę za ramię. – Widzisz tę czarną opaskę na prawym rękawie? Widzisz?

– Tak, tak – odparła.

– To kolejny znak śmierci. I następny.

Oddychał nierówno z podniecenia.

– To okropne! – wyrwało się Dianie.

– Jak to?

– Chciałam powiedzieć, że jest to i piękne, i okropne.

– Tak, to prawda, tragiczne piękno lub, jeśli wolisz, cudowny tragizm.

Odwrócił się gwałtownie w jej stronę, w jego oczach płonął dziwny blask, jakby chciał powiedzieć: „Przyznaj się, że nie wierzyłaś w to wszystko”. Naprawdę, nigdy nie wyrażała takich wątpliwości.

Zostawili górali za sobą. Besian, z twarzą rozjaśnioną teraz uśmiechem, obrócił się na siedzeniu.

– Zbliżamy się do strefy cienia – oświadczył, jakby mówił do siebie – gdzie prawa śmierci rządzą prawami życia.

– Ale jak tu odróżnić ludzi, którzy mają dokonać zemsty, od tych, którzy staną się jej ofiarami? – spytała. – Przecież czarna opaska jest jednakowa dla wszystkich.

– Tak, jest jednakowa. Piętno śmierci jest identyczne dla jednych i dla drugich: dla tych, którzy mają zadać śmierć, i dla tych, których ona dosięgnie.

– To okropne – powiedziała.

– Nigdzie indziej na świecie nie spotkasz na drogach ludzi naznaczonych piętnem śmierci jak drzewa do ścinki.

Spojrzała na niego łagodnie. Oczy Besiana błyszcząły tym wewnętrznym światłem, które zapala się nagle po rozpaczliwym oczekiwaniu. Zdawało się teraz, że poprzedni górale z ich śmiesznyimi, pokręconymi parasolami i prozaicznymi workami kukurydzy w ogóle nie istnieli.

– Popatrz, następni! – zawołał.

Tym razem Diana pierwsza zauważyła czarną opaskę na rękawie.

– Tak, teraz mogę powiedzieć, że wkroczyliśmy rzeczywiście w królestwo śmierci – powiedział Besian nie odrywając wzroku od okna. Nie ustawał drobny, skąpany we mgle deszcz.

Diana uśmiechnęła się leciutko.

– Tak – podjął. – Jak Ulisses wkroczyliśmy w królestwo śmierci, z tą tylko różnicą, że Ulisses musiał zejść na dół, a my wspinamy się w górę.

Słuchała patrząc na niego uważnie. Oparł czoło o zaparowaną oddechami szybę. Świat zewnętrzny jakby się przeobraził.

– Błąkają się po drogach z tą czarną opaską jak duchy we mgle – powiedział.

Nie odezwała się. Wiele razy przed wyjazdem rozmawiali na ten temat, teraz jednak jego słowa inaczej dźwięczały. Krajobraz za nimi był jeszcze ciemniejszy, jak daleki plan filmu. Chciała go spytać, czy spotkają także po drodze ludzi z głowami okrytymi śmiertelnym całunem, o których jej raz opowiadał, ale coś ją powstrzymywało. Może naiwna obawa, że samo pytanie wywołałoby taką zjawę.

Powóz mknął naprzód i wieś zniknęła im z oczu. Tylko na horyzoncie kołysał się z wolna krzyż kościelny, lekko pochylony, niczym krzyże na grobach, jak gdyby niebo zapadało się trochę za przykładem ziemi cmentarnej.

– Oto świadectwo, mogiła – wskazał ręką pobocze drogi.

Wyciągnęła szyję, żeby lepiej widzieć. Była to sterta kamieni, nieco jaśniejszych niż kamienie wokół, bezładnie ułożonych jedno na drugich. Pomyślała, że gdyby tego dnia nie padał deszcz, wcale nie wydawałyby się smutne. Powiedziała mu to, lecz on uśmiechnął się i przecząco pokręcił głową.

– Murany, bo tak się je nazywa, są zawsze smutne. Co więcej, im pogodniejsze jest otoczenie, tym bardziej wydają się ponure.

– Możliwe – odparła.

– Widziałem najprzeróżniejsze groby i cmentarze z rozmaitymi znakami i symbolami – podjął Besian – ale chyba nie istnieje prawdziwszy grób niż ten skromny kopczyk usypany przez naszych górali dokładnie w miejscu, gdzie padł zabity.

– Tak – przyznała. – Mają w sobie coś tragicznego.

– Sama nazwa, murana, jest taka jak one: naga, okrutna, przywołująca na myśl cierpienie, którego nic nie złagodzi, prawda?

Pokiwała głową i znów westchnęła. Besian mówił dalej, ożywiony własnymi słowami. Rozwodził się nad absurdalnością życia i rzeczywistością śmierci na północy, mówił o góralach szanowanych lub pogardzanych przez otoczenie, zależnie od ich układów ze śmiercią; przypominał makabryczne życzenie górali wypowiedane przy narodzeniu dziecka: „Obyś żył długo i umarł od kuli!” Śmierć naturalna na skutek choroby czy starości była wstydliva, a jedynym celem życia górala było gromadzenie kapitału honoru na mały pośmiertny pomnik.

– Słyszałam niektóre pieśni o tych ofiarach – powiedziała. – Są takie jak te mogiły, jak murany.

– Tak, przytłaczają człowieka jak stos kamieni. W strukturze muran i w strukturze pieśni jest ta sama myśl przewodnia.

Dianie nie udało się stłumić kolejnego westchnienia. Chwilami miała wrażenie, że coś w niej pęka. Besian, jakby odgadując, co się dzieje, dodał, że wszystko to jest oczywiście smutne, ale jednocześnie wielkie. Tłumaczył żonie, że śmierć nadaje wymiar wieczności życiu tych ludzi, samą swą potęgą wynosi ich ponad małość i marność tego świata.

– Mierzą dni życia miarą śmierci, to szczególny dar, nie uważasz?

Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

– Tak właśnie stanowi prawo zwyczajowe – ciągnął Besian – zwłaszcza w partiach poświęconych prawu krwi. Pamiętasz?

– Tak – odpowiedziała – świetnie pamiętam.

– To prawdziwa konstytucja śmierci – powiedział odwracając się do niej gwałtownie. – Jest wiele teorii na ten temat, ale jednego jestem pewny: jest to konstytucja dzika i bezlitosna, lecz jednocześnie jedna z najpotężniejszych na tym świecie i my, Albańczycy, powinniśmy być z niej dumni.

Oczekiwał jakiegoś potwierdzenia z jej strony, ale milczała. Wpatrywała się tylko w niego z tym samym łagodnym wyrazem twarzy.

– Tak, taka jest prawda, powinniśmy być z tego dumni. Płaskowyz jest jedynym krajem w Europie, który odrzucił struktury prawne, sądy, policję, trybunały, krótko mówiąc, wszystkie organa administracji, a przy tym nie jest siedzibą prymitywnych plemion, lecz integralną częścią nowoczesnego państwa. Mówię, że je odrzucił, bo kiedyś był im podporządkowany, odrzucił je zastępując prawami moralnymi, które są tak pełne, że rządy obcych okupantów, a później rząd niezależnego państwa albańskiego, musiały je uznać, a tym samym pozostawić cały region, czyli prawie połowę królestwa, poza kontrolą państwa.

Diana kolejno przenosiła wzrok z oczu męża na jego poruszające się wargi.

– To bardzo stara historia – mówił. – Zaczęła się krystalizować, gdy Konstantyn z ballady wstał z grobu, aby przemówić. Czy przyszło ci do głowy, gdy uczyliśmy się tej ballady w szkole, że opisana w niej besa jest jednym z pierwszych kamieni tworzących tę wspaniałą i przerażającą budowlę? Bo Kanun to nie tylko konstytucja – w jego głosie zadźwięczała egzaltacja – to także wielki mit, który przybrał kształt konstytucji. Uniwersalne bogactwo, przy którym Kodeks Hammurabiego czy inny zbiór praw wydają się dziecinną zabawą. Rozumiesz? Dlatego pytanie „czy Kanun jest dobry, czy zły?” jest infantylne i bez sensu. Jak wszystko, co wielkie, Kanun jest ponad dobrem i złem. Jest ponad...

Poczerwieniała nagle ze złości. Miesiąc temu zadała mu właśnie takie pytanie: „Czy Kanun jest dobry, czy zły?” Wtedy usmiechnął się tylko w odpowiedzi, a teraz...

– Po co ta drwina? – powiedziała odsuwając się na skraj ławki.

– Nie rozumiem.

Zrozumiał dopiero po chwili i wybuchnął śmiechem. Przysięgał, że nie miał zamiaru jej obrazić, nawet nie pamiętał, że postawiła mu kiedyś takie pytanie i w końcu ją przeprosił.

Ten drobny epizod wniósł do powozu trochę życia. Skończyło się na uściskach i pieszczotach, potem Diana otworzyła torebkę, wyjęła małe lustro, aby sprawdzić, czy nie starta się jej z ust jasna pomadka. Rozmawiali o znajomych i Tiranie, która wydała jej się nagle bardzo odległa. Powrócili co prawda do tematu prawa, ale rozmowa ich straciła napięcie i chłód ostrza starej szabli, stała się bardziej naturalna; mówili teraz o rozdziałach Kodeksu dotyczących życia codziennego. W kosztownym wydaniu Kanunu, ofiarowanym jej w przededniu zaręczyn, te właśnie fragmenty przeczytała najmniej uważnie i określenia, które teraz cytował, przeważnie wyleciały jej z pamięci.

Chwilami wracali myślą do ulic stolicy i przyjaciół, ale gdy tylko pojawiał się na horyzoncie jakiś młyn, stado owiec czy samotny wędrowiec, Besian przypominał głośno odpowiedni artykuł Kanunu.

– Kanun przewiduje wszystko – powiedział w pewnym momencie – nie pomija niczego w życiu codziennym, żadnej z zasad moralnych.

Na krótko przed południem spotkali orszak kruszków. Wy tłumaczył jej, że układ orszaku trzyma się ścisłych reguł, a złamanie ich może przekształcić wesele w żałobę.

– Popatrz, to szefkruszków, a tam, na końcu orszaku, prowadzi konia za uzdę ojciec lub brat panny młodej.

Diana nie mogła oderwać zachwyconego wzroku od strojów kobiet. „Jakie piękne, mój Boże, jakie piękne” – powtarzała bez przerwy do siebie, podczas gdy Besian, przytulony do niej, cytował pieszczotliwym głosem poświęcone kruszkom paragrafy Kodeksu. „Dnia ślubu nie wolno odraczać. Nawet w razie śmierci w rodzinie kruszkowie idą po pannę młodą. Gdy panna młoda wchodzi do domu, śmierć zeń wychodzi. Z jednej strony są łzy, z drugiej śpiew”.

Gdy odjechali dalej, zaczęli rozmawiać o słynnej „błogościa-

wionej kuli”, którą, zgodnie z Kodeksem, rodzina panny młodej wręcza małżonkowi na wypadek zdrady żony ze słowami: „Niech będzie błogostawiona twoja ręka”. Żartowali i przekomarzali się rozważając, co by się stało, gdyby jedno z nich złało przysięgę wierności małżeńskiej, i wytargali się za uszy na znak wyrzutu mówiąc: „Niech będzie błogostawiona twoja ręka”.

– Jakie z ciebie dziecko – powiedział Besian, gdy minął wybuch wesołości i doznała wtedy wrażenia, że w gruncie rzeczy oburza go żartowanie z Kanunu, a przed chwilą chciał jej tylko dać drobną satysfakcję.

„Kodeks nie służy do zabawy” – przypomniała sobie czyjeś słowa, ale natychmiast odsunęła to wspomnienie. Wesoły nastrój opuścił ją dopiero wtedy, gdy kilka razy wyjrzała przez okno. Krajobraz zmienił się, niebo jakby się rozpostarło i było przez to jeszcze bardziej przytłaczające. Zdawało się jej, że dostrzega ptaka, chciała krzyknąć: „O, ptak!”, jakby odkryła w środku tego nieba symbol ukojenia lub zgody. Tymczasem był to tylko inny krzyż, pochylony lekko w czeluściach mgły, podobnie jak poprzedni. „Tam dalej – pomyślała – znajdują się klasztory franciszkanów, a jeszcze dalej zakonnice”.

Powóz mknął naprzód kołyszając się delikatnie i jednostajnie. Chwilami, walcząc z sennością, słyszała głos męża dochodzący z daleka, jakby otoczony stłumionym echem. Wciąż cytował Kodeks, przeważnie artykuły dotyczące życia codziennego. Mówił o regułach gościnności, przypominał wszystkie prawa odnoszące się do przyjmowania gościa, który dla Albańczyka stanowił nieporównywalną z niczym świętość. „Czy przypominasz sobie definicję domu w Kanunie? – spytał. – Dom Albańczyka jest siedzibą Boga i gościa. Boga i gościa, pojmujesz? Najpierw jest siedzibą gościa, a dopiero potem gospodarza domu. Gość – ciągnął – jest najważniejszą kategorią etyczną w życiu Albańczyka, ważniejszą niż więzy krwi. Można darować krew ojca lub syna, natomiast gościa nigdy”.

Mówił dalej o regułach gościnności; słowa zgrzytały jak zardzewiałe zęby w trybach, a ona czuła w półśnie, że przechodził

od pokojowej części życia codziennego do części krwawej. Taki był nieuchronny koniec każdej interpretacji Kodeksu. Opowiadał jej właśnie, głosem jakby stłumionym przez echo, o typowym przypadku stosowania Kanunu. Nie otwierała oczu, starała się pozostać w półśnie, czuła bowiem, że tylko wtedy jego głos zachowa dalekie echo. Opowiadał jej więc historię podróżnego, który pewnego wieczoru przechodził samotnie u podnóża urwistej góry. Ścigała go zemsta i sporo już czasu uciekał przed swym prześladowcą. Naraz pośrodku drogi, w zapadającym zmierzchu, ogarnęło go złe przeczucie. Wokół niego rozciągało się pustkowie, żadnego domu, żadnej duszy, nikogo, kto mógł mu udzielić ochrony jako gościowi. Ujrzał tylko opuszczone przez pasterza stado kóz. Chciał dodać sobie trochę otuchy, a może nie chciał zginąć bez śladu, dość, że po trzykroć zawołał pasterza. Nikt nie odpowiedział. Zwrócił się zatem do kozła z dużym dzwonkiem: „Kozle z dużym dzwonkiem, jeśli przydarzy mi się nieszczęście, powiedz swemu panu, że zostałem zabity pod jego besą, nim zdążyłem znaleźć się po drugiej stronie tej góry”. Przeczucie nie myliło go; kilka kroków dalej trafił go śmiertelny strzał z zasadzki.

Diana otworzyła oczy.

– A potem? Co było potem?

Besian uśmiechnął się gorzko.

– Inny pasterz, który znajdował się w pobliżu, usłyszał ostatnie słowa nieznanego i powtórzył je właścicielowi stada. Człowiek ów, który ani nie widział nigdy, ani nie znał imienia ofiary, porzucił rodzinę, stado, wszystkie zajęcia i poszedł pomścić nieznanego, bo był z nim związany besą. W ten sposób dostał się w tryby wendety.

– To okropne – powiedziała Diana – i absurdalne. Jest w tym jakiś fatalizm.

– Rzeczywiście – odparł. – Jest to zarazem okropne, absurdalne i fatalne jak wszystko, co wielkie.

– Tak, jak wszystko, co wielkie – powtórzyła kuląc się znowu w kącie. Było jej zimno. Spojrzeniem błędziła po przestrzeni rozdartej dwiema górami. W tym szarym pół-

kolu szukała, zdawałoby się, wytłumaczenia jakiejś zagadki.

– Tak – odpowiedział na jej milczące pytanie Besian – dla Albańczyka gość jest półbogiem.

Diana zamrugała oczami pod wrażeniem szorstkiego głosu męża. Zniżył ton i nieoczekiwanie szybko zabrzmiało poprzednie dalekie echo.

– Inne ludy – podjął – przeznaczyły góry dla bóstw. Słyszałem kiedyś teorię, że nasi górale, ponieważ sami mieszkali w górach, musieli albo przepędzić z nich bóstwa, albo je do siebie przystosować i z nimi współżyć. Rozumiesz, Dianio? Tłumaczy to również ów na pół rzeczywisty, na pół fantastyczny świat, jakim jest Płaskowyż przypominający czasy Homera. Jak również stworzenie pojęcia półboga-gościa.

Zamilkł i wsłuchiwał się, nie wiadomo dlaczego, w zgrzyt kół na kamienistej drodze.

– Gość jest rzeczywiście półbogiem – ciągnął po chwili – a fakt, że każdy może znieńcka stać się gościem, nie umniejsza, lecz przeciwnie, podkreśla tylko jego boski charakter. Bóstwo staje się jeszcze prawdziwsze przez to, że objawia się nagle, w ciągu jednego wieczoru, dając znak kilkakrotnym pukaniem do drzwi. Nawet najuboższy wędrowiec z tobołkiem na ramieniu zapukawszy do twoich drzwi, zdając się na ciebie jako twój gość, przeistacza się w istotę wyjątkową, w nietykalnego władcę, prawodawcę, pochodnię świata. To nagle przeobrażenie ma w sobie właśnie coś boskiego. Przecież bogowie w starożytnej Grecji pojawili się nieoczekiwanie w najbardziej nieprzewidziany sposób. Tak właśnie objawia się gość u drzwi Albańczyka. Jak wszyscy bogowie ukrywa w sobie zagadkę i przybywa prosto z królestwa przeznaczenia czy fatum, mniejsza o nazwę. Od kilku kołatań do drzwi może zależeć przeżycie lub wygaśnięcie całych pokoleń. Taki jest gość albańskiego górala.

– Ależ to okropne! – powiedziała.

Puścił mimo uszu te słowa, uśmiechnął się tylko zimno, jak ktoś, kto chce pozostać na uboczu rozgorzałej dyskusji.

– Dlatego – podjął – zamach na gościa chronionego besą jest dla Albańczyka największym nieszczęściem, jak koniec świata.

Spojrzała przez okno na góry i pomyślała, że trudno byłoby znaleźć bardziej odpowiedni obraz końca świata.

– Przed kilku laty okolice te były sceną wydarzenia, które zadziwiłoby każdego z wyjątkiem tych górali – powiedział Besian kładąc rękę na ramieniu Diany. Nigdy jeszcze ręka ta nie wydała jej się tak ciężka. – Tak, było to naprawdę wstrząsające wydarzenie.

„Dlaczego mi o nim nie opowiada?” – zastanawiała się po niezwykle długiej, jak się jej zdawało, chwili milczenia. W gruncie rzeczy nie była wcale pewna, czy miała ochotę usłyszeć jeszcze jedną bulwersującą historię.

– Zabito człowieka – mówił – nie z zasadzki jednak, ale w czasie odbywającego się targu.

Kątem oka Diana śledziła ruch jego warg. Opowiadał, że zabójstwa dokonano w biały dzień, w zgiełku jarmarcznym, że bracia ofiary rzucili się z miejsca w pościg za mordercą, bo w pierwszych godzinach, gdy nie zawarto jeszcze rozejmu, krew można było natychmiast pomścić. Mordercy udało się ujść przed pogonią, a tymczasem cała rodzina ofiary wszczęła poszukiwania. Zapadał wieczór, tropiony pochodził z innej wsi, zapukał do pierwszego lepszego domu i poprosił o udzielenie besy. Gospodarz zgodził się i przyjął nieznanego pod swój dach.

– Zgadnij, pod czym dachem szukał przyjacielskiej opieki? – spytał Besian z ustami tuż przy jej szyi.

Odwróciła gwałtownie głowę, oczy miała szeroko rozwarte, nieruchome.

– Był to dom ofiary – powiedział.

– Tak przypuszczałam – rzekła. – A potem? Co było potem?

Besian westchnął głęboko. Opowiadał, jak to na początku żadna strona nie domyślała się prawdy. Zabójca zrozumiał, że na dom, który udzielił mu gościny, spadło jakieś nieszczęście, ale nie wiedział, że on sam jest tego przyczyną. Gospodarz natomiast, choć pogrążony w rozpacz, traktował gościa zgodnie z obyczajem. Odgadł, że kogoś zabił i że jest ścigany, nie domyślał się jednak, że ofiarą padł jego własny syn.

Siedzieli więc przy ogniu posilając się i pijąc kawę. Ciało zabitego złożono w osobnej izbie, jak nakazywał obyczaj.

Diana chciała coś powiedzieć, ale przychodziły jej do głowy tylko takie słowa jak „absurd” czy „fatum”, wołała więc się nie odzywać.

– Późnym wieczorem – mówił dalej Besian – bracia ofiary, utrudzeni długim pościgiem, wrócili do domu. Ujrzeni siedzącego przy kominku gościa i natychmiast go rozpoznali. – Besian odwrócił się do żony, aby zobaczyć efekt swoich słów. – Nie bój się. Nic się nie stało.

– Jak to?

– Nic. Najpierw, w napadzie wściekłości, bracia wyciągnęli strzelby, ale kilka słów ojca powstrzymało ich i uspokoiło. Domyślasz się chyba, co to były za słowa.

Zawstydzona potrząsnęła przecząco głową.

– Starzec rzekł po prostu: „Jest naszym gościem, nie wolno go tknąć”.

– I co działo się później?

– Pozostali w towarzystwie swego wroga-przyjaciela tak długo, jak nakazuje obyczaj. Rozmawiali z nim, przygotowali mu posiłek, a rano odprowadzili do granic wsi.

Diana przycisnęła dwa palce do czoła, w miejscu, gdzie schodzą się brwi, jak gdyby chciała coś wydobyć z wnętrza głowy.

– No, widzisz, taki właśnie jest stosunek do gościa.

W zdaniu tym zrobił Besian dwie pauzy, jakby umieszczał jakiś przedmiot w pustej przestrzeni, aby go bardziej wyeksponować. Spodziewał się, że Diana znów powie: „To okropne”, albo że zrobi jakąś inną uwagę, ale ona milczała wciąż trzymając palce na czole, tam, gdzie łączą się brwi. Zdawało się, że nie może wydobyć tego, co chciała.

Do wnętrza powozu dochodziło zduszone ziajanie koni i przerywane pogwizdywanie woźnicy. Wśród tych dźwięków rozlegał się głos Besiana, nie wiadomo czemu, niski i powolny.

– Teraz – mówił – nasuwa się pytanie: dlaczego Albańczycy stworzyli to wszystko?

Nieomal dotykał głową jej ramienia, jakby oczekiwał od żony odpowiedzi na wszystkie wątpliwości i hipotezy, chociaż i tak nie mogła przerwać toku jego wypowiedzi. W dalszym ciągu stawał

pytanie (trudno powiedzieć, czy sobie, czy Dianie, czy jeszcze komuś innemu), dlaczego Albańczycy stworzyli instytucję gościa stawiając ją ponad wszelkimi innymi więzami międzyludzkimi, nawet nad więzami krwi.

– Może trzeba szukać odpowiedzi w demokratycznym charakterze tej instytucji – rozumował. – Każdy pospolity człowiek o każdej porze dnia i nocy może zostać wyniesiony do najwyższej godności gościa. A więc droga do tymczasowej boskości jest otwarta dla każdego w każdej chwili. Zgadzasz się z tym, Diano?

– Tak – odparła cicho nie zdejmując ręki z czoła.

Poruszył się na ławce, jak gdyby chciał znaleźć lepszą pozycję do wyrażenia swych myśli.

– Skoro każdy może sięgnąć po berło gościa – mówił dalej – i skoro berło to góruje nad berłem władzy, wolno sądzić, że w pełnym niebezpieczeństwie i ubogim życiu Albańczyka status gościa, nawet na przeciąg czterech czy dwudziestu czterech godzin, jest rodzajem wytchnienia, zapomnienia, zawieszeniem broni i, dlaczegoż by nie, ucieczką od codzienności w boską rzeczywistość.

Zamilkł w oczekiwaniu na jej słowa. Ona zaś, czując, że powinna coś powiedzieć, wybrała łatwiejsze wyjście i położyła znowu głowę na jego ramieniu.

Znajomy zapach włosów żony zmącił myśli Besiana. Jak widok zieleni w przyrodzie wywołuje wrażenie wiosny, widok śniegu – zimy, tak te ciemne włosy opadające mu na ramię napełniały go, jak nic na świecie, uczuciem szczęścia. Zaczęła w nim kiełkować myśl, że jest człowiekiem szczęśliwym; w aksamitnym wnętrzu powozu myśl ta wiązała się ze znużeniem i tajemniczością przedmiotów zbytku.

– Jesteś zmęczona? – spytał.

– Tak, trochę.

Objął ją i lekko przytulił do siebie. Wdychał zapach ciała swej młodej żony, dyskretny jak wszystko, co cenne.

– Już niedługo dojedziemy.

Nie cofając ramienia odwrócił głowę w stronę okna, aby wyjrzeć na zewnątrz.

– Za godzinę, półtorej najdalej, będziemy na miejscu – powtórzył.

Za oknem widniała pocięta płaskorzeźba gór, zasnutą deszczem marcowego popołudnia.

– Gdzie jesteście?

Wyjrzał przez okno, ale nie odpowiedział na jej pytanie, wzruszył tylko ramionami, jakby przyznawał się, że nie wie. Przypomniała sobie dni poprzedzające ich wyjazd (wydawało jej się teraz, że dni te nie należały do tego marca, ale do innego, odległego jak gwiazdy), wiele wtedy było gadaniny, żartów, domysłów, niektórzy zazdrościli im „północnej przygody”, jak określił tę wyprawę Adrian Guma; spotkali go na poczcie, skąd chcieli nadać telegram do przyjaciela oczekującego ich na Północy. „Telegram domieszkańca Płaskowyżu? – zawołał. – Równie dobrze możecie wysłać depeszę do ptaków albo do piorunów”. Śmieli się wszyscy troje, Adrian zaś pytał wśród żartów: „Rzeczywiście macie jakiś adres? Wybaczcie, ale trudno w to uwierzyć”.

– Jeszcze trochę i dojedziemy – powiedział po raz trzeci Besian pochylając się ku oknu. Diana zastanawiała się, skąd on wie, że zbliżają się do celu, skoro na drodze nie ma żadnych napisów ani słupków z oznaczeniami kilometrów. Besian natomiast uważał, że brak już czasu na opowiadanie o kulcie gościnności, gdyż wraz ze zmierzchem zbliżali się coraz bardziej do domu, w którym mieli spędzić noc.

– Już dziś wieczorem wstąpimy na tron gości – szepnął muskając wargami jej policzek. Obróciła się ku niemu, oddychała coraz szybciej, jak w najbardziej intymnych momentach, w końcu jednak westchnęła.

– Co ci jest? – spytał.

– Nic – odparła spokojnie. – Jestem tylko trochę przestraszona.

– Naprawdę? – zdziwił się ze śmiechem. – Dlaczego?

– Nie wiem.

Potrząsnęła głową, jakby chciał tym ruchem zgasić ów krótki śmiech, który zamigotał przed nim niczym płomyk zapałki.

– Powiem ci coś, Diano: chociaż znajdujemy się w krainie śmierci, możesz być spokojna, jesteś w pełni chroniona przed niebezpieczeństwem i najmniejszą zniewagą. Mamy na dziś wieczór oddaną straż, gotową poświęcić dla nas życie, mamy ochronę jak żadna para królewska. Czy to nie daje ci poczucia bezpieczeństwa?

– Nie o to mi chodzi – rzekła Diana zmieniając pozycję. – Moje obawy są innej natury, sama nie potrafię ich sprecyzować. Przed chwilą mówiłeś o boskości, przeznaczeniu, fatum. Jest to bardzo piękne, ale jednocześnie przerażające. Nie chciałabym spowodować cudzego nieszczęścia.

– Och! – zawołał wesoło. – Widzę, że korona pociąga cię i napawa obawą, tak dzieje się z każdą władczynią. Jest to zrozumiałe, korona bowiem to blask, a zarazem trucizna.

– Dość, Besianie – powiedziała cicho. – Nie kpij ze mnie.

– Nie żartuję – odrzekł tym samym ubawionym głosem. – Mam podobne co ty odczucia. Gość, besa, zemsta są jak elementy mechanizmu starożytnej tragedii. Gdy dostajemy się w ich tryby, musimy przewidywać możliwość tragedii. Mimo wszystko, Diano, nie ma się czego obawiać. Rankiem zdejmujemy koronę i uwolnimy się od jej ciężaru do samego wieczora.

Dotknęła pieszczotliwie jego szyi, przytulił twarz do jej włosów. „Czy będziemy tam spać razem, czy osobno?” – zastanawiała się. A głośno spytała:

– Daleko jeszcze?

Besian uchylił drzwiczki i spytał woźnicę, o którego istnieniu prawie zapomniał.

Wraz z odpowiedzią wtargnął do powozu zimny podmuch.

– Zbliżamy się.

– Brr, jak chłodno – powiedziała.

Nie kończące się popołudnie zdradzało wreszcie pewne oznaki schyłku. Sapanie koni stało się teraz ciężkie i Diana wyobrażała sobie, jak z pianą na pyskach ciągną powóz do nieznannej kulli, gdzie Besian i ona mieli obiecaną gościnę.

Zmierzch nie zapadł jeszcze na dobre, gdy powóz stanął. Wysłiedli. Przyzwyczaili się do stukotu kopyt, świat wydał się im te-

raz głuchy i całkowicie zastygły. Woźnica wskazał im ręką jedną z wież, która wznosiła się dość daleko. Stojąc na zeszywniałych jeszcze nogach zastanawiali się, jak do niej dotrzeć.

Chwilę kręcili się koło powozu, wyjęli z niego torby podróżne oraz walizki i wreszcie ruszyli w stronę kulli w dziwacznej procesji: ich dwoje pod ręką na przodzie, z tyłu woźnica z bagażami.

Gdy byli już blisko celu, Besian puścił ramię żony i krokiem, który uznała za niezbyt pewny, podszedł do kamiennej budowli. Wąskie drzwi były zamknięte, okienka strzelnic martwe. Jak błyskawica przeleciała jej przez głowę myśl: „Czyżby nie dostali telegramu?”

Besian stanął przed frontem, podniósł głowę i zawołał zgodnie z obyczajem: „Gospodarzu, czy przyjmujesz gości?” W innych okolicznościach Diana śmiałaby się do lez na widok męża grającego rolę gościa góralskiej kulli, ale teraz coś jej na to nie pozwalało. Może przygniatał jej piersi ciężar budowli? (cień kamienia jest ciężki, mówili starożytni).

Besian znowu podniósł głowę, a Diana patrząc na niego pomyślała, jaki jest mały i bezbronny wobec tej tysiącletniej zimnej ściany, do której się zwracał.

Dawno już minęła północ, ale Diana, której było na przemian zimno i gorąco pod dwoma grubymi wełnianymi kocami, nie mogła usnąć. Położono ją spać na pierwszym piętrze, bezpośrednio na podłodze, razem z mieszkankami domu. Besiana ulokowano na wyższym piętrze w izbie gościnnej. „Pewnie i on – myślała – nie może zasnąć”.

Gdzieś w dole rozległ się nagle ryk wołu. W pierwszej chwili przeraziła się, ale leżąc obok niej kobieta rzekła szeptem: „Nie bój się, to Kazil”. Przypomniała sobie, że było wydawało tego rodzaju odgłosy podczas trawienia, i uspokoiła się. Mimo to nie udało jej się zasnąć.

Kotłowały się w jej głowie bezładnie i mętnie różne fragmenty dawniejszych i bliższych rozmów. Początkowo tłumaczyła sobie, że ten chaotyczny przepływ myśli powoduje bezsenność.

Próbowała je trochę uporządkować, ale okazało się to zbyt trudne. Gdy tylko udało się jej okiełznać jeden wątek, natychmiast buntował się inny wylewający się jak rzeka ze swego koryta. Usiłowała skupić się na kolejnych etapach ich podróży, tak jak to sobie planowali, ona i Besian, przed wyjazdem. Zaczęła liczyć dni, które mają spędzić w górach, domy, w których będą mieszkać, zupełnie obce, jak zamek Orosz, gdzie nazajutrz miał ich przyjąć tajemniczy władca Północnego Plaskowyżu. Diana próbowała sobie to wszystko wyobrazić, ale wtedy właśnie zagubiła się. Ścisnęła znów palcami skronie, jakby chciała zatrzymać szybkie pulsowanie krwi wskutek podniecenia, ale wydało jej się, że od tego ucisku popada w coraz większe oszołomienie. Opuściła więc rękę i przez chwilę dała upust swobodnym myślom. Okazało się to jednak jeszcze trudniejsze. „Muszę myśleć o czymś normalnym” – powiedziała do siebie. Zaczęła przypominać sobie rozmowę prowadzoną przed kilkoma godzinami w izbie gościnnej. „Wszystko przeżuję, wszystko – pomyślała – jak ten byk na dole w stajni”. Besian na pewno doceniłby to porównanie. Wcześniej w izbie gościnnej był dla niej szalenie miły. Poprosił gospodarza o pozwolenie, żeby jej tłumaczyć różne rzeczy. W izbie gościnnej bowiem, albo męskiej, jak ją również nazywano, nie wolno było szeptać ani mówić na ucho. Prowadzono tam, tłumaczył jej Besian, wyłącznie „męskie rozmowy”. Wykluczone były plotki, dwuznaczniki, każda wypowiedź musiała uzyskać aprobatę wyrażoną słowami: „Słusznie powiedziałeś” albo: „Niech będą błogosławione twoje usta”. „Posłuchaj, o czym rozmawiają” – szepnął Besian. I stwierdziła, że rozmowa rzeczywiście przebiega tak, jak jej poprzednio wyjaśnił. „Ponieważ dom Albańczyka jest fortecą, w prawdziwym znaczeniu tego słowa – mówił – a model rodziny, zgodnie z Kodeksem, przypomina małą strukturę państwową, rozmowa musi być prowadzona mniej więcej w tym samym stylu”. Później Besian powrócił do swego ulubionego tematu: gość i gościnność. Tłumaczył jej, że zjawisko „gościa”, jak każde wielkie zjawisko, obok strony szlachetnej posiada też aspekt absurdalny. „Tutaj, dziś wieczorem otrzymaliśmy wszechmoc boską – klarował – może-

my popełnić największe szaleństwo, nawet morderstwo, odpowiada za nas pan domu, bo dopuścił nas do swego stołu. Za gościnność płaci się pewien haracz, mówi Kanun, są jednak pewne granice, których nawet my, bogowie, nie mamy prawa przekroczyć. A wiesz, co to za granice? Już ci mówiłem, że możemy sobie pozwolić na wszystko. Z wyjątkiem jednego: nie wolno nam podnieść pokrywki kociołka na ogniu”. Diana omal nie wybuchnęła śmiechem. „To komiczne – wyszeptła. – Możliwe – odpowiedział – ale prawdziwe. Gdybym zrobił teraz coś takiego, gospodarz wstałby natychmiast, podszedł do okna i ogłosił wszem wobec, że gość znieważył jego stół. W takiej chwili gość staje się śmiertelnym wrogiem. – A dlaczego? – spytała Diana. – Dlaczego tak musi być? – Besian wzruszył ramionami. – Nie wiem, nie umiałbym tego wytłumaczyć. Może taka jest dialektyka rzeczy, że wielkie zjawiska cechuje jakaś niedoskonałość, która ich nie umniejsza, lecz nas do nich przybliża”. Diana rozglądała się ukradkiem i kilka razy omal jej się nie wyrwało: „Tak, to prawda, są to wielkie sprawy, ale czy nie mogłoby być tutaj trochę czystiej? W końcu pierwszym warunkiem porównania kobiety do nimfy jest *salle de bain!*” Nic jednak nie powiedziała, nie z braku odwagi, ale dlatego, żeby nie przerywać toku wypowiedzi męża. Rzadko zresztą nie dzieliła się z Besianem swoimi myślami. Zazwyczaj mówiła mu wszystko, co jej przychodziło do głowy, on zaś nie obrażał się, kiedy go przypadkiem zraniła. Była to cena szczerości.

Diana obróciła się chyba po raz setny na swoim posłaniu. Już w izbie gościnnej miała straszliwy zamęt w głowie, myśli skakały z gałęzi na gałąź, chociaż wysilała się, by słuchać uważnie. Teraz przy dochodzącym z dołu ryczeniu wołu (znowu uśmiechnęła się w duchu) od czasu do czasu czuła, jak lekliwie zbliża się sen i cofa się natychmiast, ilekroć zaskrzypi podłoga albo chwyci ją kurcz. W pewnej chwili jęknęła: „Dlaczego mnie tu przywiozłeś?” i zdziwił ją własny krzyk, gdyż była na tyle jeszcze przytomna, że słyszała swój głos, choć nie rozróżniała już słów. Sen rozpościerał się teraz przed nią na kształt połaci ziemi, przez które przejeżdżali, na kształt pełnych kociołków, z których nie

wolno zdjąć pokrywy. Ona zaś wykonywała zakazany ruch i wyciągała ku nim rękę, co wywoływało żalodne trzaski.

„To są tortury” – pomyślała i otworzyła oczy. Przed sobą na ciemnej ścianie dostrzegła kwadrat bladego światła. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się jak urzeczona w szarawą plamę. Skąd wziął się ów kwadrat, dlaczego nie zauważyła go wcześniej? Widocznie już wstawał dzień. Diana nie mogła oderwać wzroku od wąskiego okna. W przytłaczającej ciemności ten strzęp bladego jeszcze świtu był jak znak zbawienia. Poczula jego kojące skutki i nagle uwolniła się od lęków. W kwadracie szarego światła skupiło się wiele poranków, w przeciwnym razie nadchodzący właśnie dzień nie byłby tak żywy, spokojny i obojętny na nocne zmory. Pod jego wpływem Diana usnęła.

Powóz znowu toczył się po górskiej drodze. Dzień był szary, głuchy horyzont ginął w dali. Ludzie z eskorty zawrócili, Diana i Besian znów zostali sami, we dwójkę na aksamitnym siedzeniu, zdetronizowani goście, z oznakami nocnego zmęczenia na twarzach.

- Dobrze spałaś? – spytał.
- Nie najlepiej. Zasnęłam nad ranem.
- Ja też prawie nie zmrużyłem oka.
- Tak przypuszczałam.

Besian wziął ją za rękę. Od czasu ich ślubu była to pierwsza noc spędzona osobno. Kątem oka spojrzął na jej profil. Była blada. Miał ochotę ją pocałować, ale powstrzymywało go coś, czego nie umiał sobie wytłumaczyć.

Przez jakiś czas nie odrywał wzroku od okienka powozu, potem, nie odwracając głowy, zerknął ukradkiem na żonę. Jej blada twarz była zimna, ręka leżała w jego dłoni nieruchoma. „Co ci jest?” – spytał, ale nie odezwała się słowem. Gdzieś w głębi duszy poczuł odrobinę niepokoju.

Właściwie może nie był to chłód? Raczej obojętność albo jakby pierwszy etap obcości w stosunku do niego.

Powóz kołysał się rytmicznie. Besian doszedł do wniosku, że

nie był to ani chłód, ani obcość. Tak, na pewno, ani jedno, ani drugie. Tylko coś najprostszego na świecie: pewien dystans, umiejętność przeistaczania się w daleką gwiazdę. Umiejętność, którą posiada każda istota ludzka i która w końcu stanowi jedną z tajemnic jej oddalenia. To właśnie nastąpiło dziś rano u Diany, bolał nad tym, bo zawsze była mu bliska i pełna zrozumienia.

Szare światło sączyło się skąpo do powozu. Aksamitne obicie dodatkowo je wchłaniało, przez co było jeszcze ciemniejsze. Besian pomyślał, że może jest to próg klęski, chwila, gdy nie wiadomo jeszcze dokładnie, czy jej smak będzie gorzki, czy słodki. Sądził bowiem, że jest na tyle inteligentny, aby dostrzec upadek tam, gdzie inni wciąż jeszcze widzą zwycięstwo.

Uśmiechnął się do siebie, stwierdził, że wcale nie jest smutny. W końcu to Diana zawsze uważała, że jest zbyt daleki, i nie ma nic złego w tym, że nabiera teraz lekkiego dystansu. Może dzięki temu jeszcze bardziej będzie jej pragnął.

Nagle zreflektował się, że z trudem oddycha. Nadejdą w ich życiu inne dni: oboje raz po raz będą stanowić dla siebie zagadkę i na pewno w ostatecznym rozrachunku odzyska utracone pozycje.

„Mój Boże, co ja takiego straciłem i co muszę odzyskiwać?” Twarz mu nawet nie drgnęła, ale wstrząsnął nim głuchy wewnętrzny śmiech, śmiał się z samego siebie. Chcąc rozwiać swoje obawy, zerknął z nadzieją na twarz żony. Piękne rysy Diany nie przyniosły mu jednak ukojenia.

Po wielu godzinach jazdy powóz zatrzymał się wreszcie na skraju drogi. Nie zdążyli nawet zapytać o przyczynę postoju, woźnica podszedł do okna, otworzył drzwiczki i powiedział Besianowi, że tutaj będą chyba mogli zjeść obiad.

Dopiero wtedy Besian i Diana zauważyli kullę o bardzo spadzistym dachu, która była zapewne oberżą.

– Mamy jeszcze kilka godzin jazdy do Oroszu – mówił woźnica do Besiana – i chyba nie będzie już odpowiedniego miejsca, żeby się posilić. Poza tym konie muszą odpocząć.

Besian wysiadł bez słowa i podał rękę żonie, aby jej pomóc przy wysiadaniu. Wskoczyła zwinnie i nie puszczać dłoni Besiana przyglądała się oberży. Ludzie wyszli na próg, ciekawi nowych gości. Mężczyzna, który pojawił się ostatni, zbliżył się do nich utykając.

– Czym mogę służyć? – spytał uniżenie.

Był to bez wątpienia oberżysta. Woźnica spytał go, czy można coś zjeść w jego oberży i czy ma paszę dla koni.

– Tak, oczywiście, proszę do środka – odparł tamten wskazując ręką drzwi, chociaż wzrok miał utkwiony w ścianie budynku, gdzie nie było ani drzwi, ani w ogóle żadnego wejścia. – Proszę bardzo, witamy.

Diana patrzyła na niego ze zdziwieniem, a Besian szepnął:

– On ma zeza.

Prowadząc gości do drzwi oberżysta szedł to po ich prawej, to lewej stronie. Napięte mięśnie jego twarzy wyrażały zarówno ożywienie wywołane tym przyjazdem, jak i pewien niepokój.

– Mam oddzielną izbę – mówił. – Tak się składa, że dzisiaj stół jest tam zajęty, ale przyniosę państwu drugi. Ali Binak i jego ludzie są tu od trzech dni – dodał z dumą. – Słucham pana? Tak, sam Ali Binak. Jak to? Pan o nim nie słyszał?

Besian wzruszył ramionami.

– Czy państwo przyjechali ze Szkodry? Nie? Z Tirany? No oczywiście, takim powozem! Państwo zanocują?

– Nie. Jedziemy do Oroszu.

– Ach tak! Od razu tak sobie pomyślałem. Przez dwa lata nie widziałem takiego powozu. Państwo jesteście krewnymi księcia?

– Nie, gośćmi.

Gdy szli przez wielką salę do osobnej izby, Diana czuła na sobie spojrzenia obecnych. Jedni posilali się wokół długiego, brudnego stołu dębowego, inni siedzieli na torbach z grubej czarnej wełny. Kilku siedzących wprost na podłodze poruszyło się lekko, aby ich przepuścić.

– W ostatnich trzech dniach mieliśmy tu spory ruch z powodu sprawy granic, które mają być wytyczone niedaleko stąd.

– Sprawa granic? – spytał Besian.

– Tak, proszę pana – odparł oberżysta popychając ręką zepsute drzwi. – Dlatego są tu Ali Binak i jego ludzie.

Ostatnie słowa wymówił szeptem, dokładnie w chwili, gdy stanęli na progu oddzielnej izby.

– To właśnie oni – powiedział cicho oberżysta ruchem głowy wskazując pusty kąt. Oni jednak, pamiętając o zezie, popatrzyli w innym kierunku, tam, gdzie przy dębowym stole, mniejszym jednak i nieco mniej brudnym niż w głównej sali, jadły trzy osoby.

– Zaraz przyniosę drugi stół – powiedział oberżysta i zniknął. Dwaj mężczyźni siedzący przy stole skierowali wzrok na nowych gości, trzeci natomiast jadł dalej nie podnosząc oczu znad talerza. Spoza drzwi dochodziło nierównomierne skrzypienie i suche trzaski. Hałas był coraz bliżej i wkrótce z drzwi wynurzyły się dwie stołowe nogi, potem kawałek oberżysty, a w końcu cały stół i oberżysta, groteskowo z sobą splełani.

Oberżysta postawił stół i wyszedł po jakieś stołki.

– Proszę usiąść – powiedział przynosząc stołki. – Co państwo sobie życzą do jedzenia?

Besian spytał, co jest do wyboru, i wreszcie poprzestał na dwóch jajkach sadzonych i serze. Oberżysta powtarzał ciągle „do usług”, krzątał się, biegał tam i sam. Obsługiwał nowych gości pamiętając cały czas o poprzednich. Krążył skwapliwie między dwoma stołami z zakłopotaną miną, wyraźnie nie potrafił zdecydować, którzy goście są ważniejsi. Ta niepewność zniekształcała go jeszcze bardziej i zdawało się, że część jego ciała biegnie ku jednemu, a reszta ku drugiemu.

Besian nie podnosząc głowy spoglądał z ukosa na trzech posilających się mężczyzn. Oberżysta wycierał ich stół szmatą, widać było, że opowiada im o nowo przybyłych. Najniższy z mężczyzn robił wrażenie, jakby nie słuchał, a może nie słuchał rzeczywiście. Drugi, o bezbarwnych oczach, które pasowały do jego rozlanej obojętnej twarzy, patrzył z osłupiałą miną. Trzeci, w kraciastej kurtce, nie spuszczał Diany z oka. Był wyraźnie pijany.

– Gdzie będą wytyczać te granice? – spytał Besian, gdy oberżysta podał Dianie jajka sadzone.

– W Wilczych Wrotach, proszę pana – odpowiedział oberżysta. – Pół godziny drogi stąd. Ale powozem będzie oczywiście krócej.

– Co ty na to, Diano? Pojedziemy? – zaproponował Besian.

– To powinno być interesujące.

– Jak chcesz – odparła.

– Czy były jakieś spory o te granice, jakieś zabójstwa? – spytał Besian oberżystę.

Tamten zagwizdał.

– Oczywiście, proszę pana. Ta ziemia łąknie krwi, od niepa miętnych czasów wznoszą się na niej murany.

– Na pewno tam się wybierzemy – powiedział Besian.

– Jak chcesz – powtórzyła Diana.

– Już po raz trzeci wzywają na pomoc Alego Binaka, mimo to spory i zabójstwa nie ustają – dodał oberżysta.

W tym momencie wstał od stołu niski mężczyzna.

Besian domyślił się, że to Ali Binak, bo za jego przykładem podnieśli się dwaj pozostali.

Ali Binak skinął głową nie patrząc na nikogo i wyszedł pierwszy. Tamci poszli za nim. Pochód zamykał mężczyzna w kracastej kurtce, który nie spuszczał z Diany chciwego spojrzenia przekrwionych oczu.

– Co za odrażający typ – powiedziała.

Besian zrobił nieznaczny ruch ręką.

– Nie trzeba mieć mu za złe – powiedział. – Bóg wie, jak długo błąka się po tych górach bez kobiety, bez rozrywek. Sądząc po ubraniu pochodzi z miasta.

– Mimo wszystko mógłby powstrzymać się od tych obłych spojrzeń – rzekła Diana odsuwając talerz. Zjadła tylko jedno jajko.

Besian poprosił oberżystę o rachunek.

– Jeśli pan chce wybrać się z panią do Wilczych Wrót, to Ali Binak i jego zastępcy właśnie tam wyruszyli. Możecie państwo jechać za nimi swoim powozem. A jeśli potrzebny jest przewodnik...

– Będziemy jechać za ich końmi – powiedział Besian.

Woźnica pił właśnie kawę w dużej sali.

Wstał natychmiast i poszedł za nimi. Besian spojrział na zegarek.

– Myślę, że przez dwie godziny możemy poprzyglądać się wycyzaniu granic.

Woźnica potrząsnął głową z miną pełną wątpliwości.

– Nie potrafię powiedzieć, proszę pana. Do Oroszu jest daleko. Ale jeśli takie jest pana życzenie...

– Wystarczy, jeśli przyjedziemy do Oroszu przed wieczorem – rzekł Besian. – Jest wczesne popołudnie i mamy dość czasu. Poza tym szkoda byłoby stracić taką okazję – dodał zwracając się do stojącej obok Diany.

Podniosła futrzany kołnierz płaszcza i czekała na decyzję. W dziesięć minut później ich powóz dogonił konie Alego Binaka. Jeźdźcy rozstąpili się, woźnica długo tłumaczył, że nie znając drogi do Wilczych Wrót musi jechać za nimi. Diana zaszyła się w kącie, aby schronić się przed drażniącym spojrzeniem mężczyzny w kraciastej kurtce, którego koń pojawiał się to z lewej, to z prawej strony powozu.

Droga do Wilczych Wrót okazała się dłuższa, niż mówił oberżysta. W oddali rozciągała się naga równina, na której ludzie tworzyli ruchome czarne punkciki. Besian usiłował sobie przypomnieć, co Kanun mówi o granicach, Diana słuchała spokojnie.

„Granice są nietykalne, podobnie jak szczątki w grobach. Kto zabija dla naruszenia granic, zostaje rozstrzelany przez całą wieś”.

– Będziemy świadkami egzekucji? – jęknęła Diana. – Jeszcze tylko tego nam brakuje.

Besian uśmiechnął się.

– Nie bój się. Będzie to pokojowe załatwienie sprawy, skoro zaproszono tego... jak mu tam... Binaka.

– Zrobił na mnie wrażenie człowieka bardzo poważnego – zauważyła Diana. – Czego nie powiedziałabym o jego towarzyszu, tym w kurtce kłowna, jest odpychający.

– Och, nie zwracaj na niego uwagi – rzekł Besian.

Utkwił wzrok w oddali, niecierpliwił się, chciał być jak najszybciej na równinie.

– Wytyczanie granic jest aktem uroczystym – powiedział nie odwracając wzroku. – Nie wiem, czy będziemy mieli dziś okazję uczestniczenia w takim właśnie obrzędku. Popatrz, Diano, murana!

– Gdzie?

– Tam, za tym krzakiem, na prawo...

– Rzeczywiście.

– A tam druga.

– Tak, tak, widzę. I jeszcze jedna, tam dalej.

– O tych właśnie muranach mówił oberżysta – powiedział Besian. – Stanowią granice między polami lub posiadłościami.

– Znowu murana – powiedziała Diana.

– Mówi o tym Kanun – podjął Besian. – Jeśli zabójstwo dokonasz w czasie kłótni o granice, grób wytycza granicę.

Diana nie odrywała wzroku od okna.

– Grobu, stanowiącego granicę, do końca świata nie wolno nikomu przesunąć – ciągnął Besian. – To granica uświęcona krwią i śmiercią.

– Ileż okazji do umierania! – powiedziała Diana. Wymówiła te słowa tuż przy szybie, która natychmiast okryła się parą, jakby chciała odciąć Dianę od widoku na świat.

Trzej jeźdźcy przed nimi zsiadali z koni. Powóz zatrzymał się w pobliżu. Besian i Diana zaraz po wyjściu poczuli, że są w centrum uwagi. W tłumie byli mężczyźni, kobiety i dużo dzieci.

– Popatrz, są tu także dzieci – powiedział Besian do Diany. – Wytyczanie granic jest jedynym ważnym wydarzeniem w życiu górali, w którym uczestniczą dzieci; chodzi o to, aby fakt ten pozostał im jak najdłużej w pamięci.

Rozmawiali ze sobą jeszcze przez jakiś czas, zdawało im się bowiem, że w ten sposób zachowują się bardziej naturalnie wobec ciekawości górali. Kątem oka Diana obserwowała młode kobiety, których długie spódnice falowały na dole przy każdym ruchu. Wszystkie miały włosy ufarbowane na czarno i tak samo

uczesane: kręcone na czole, proste po bokach jak kurtyny na scenie. Przyglądały się z daleka parze gości, starały się jednak ukryć ciekawość.

– Nie jest ci zimno? – spytał Besian. Na równinie było rzeczywiście zimno, a wrażenie chłodu potęgowała niebieskawa barwa wysokich szczytów.

– Mamy szczęście, że nie pada – powiedział Besian.

– Dlaczego miałyby padać? – zdziwiła się. Przez chwilę wyobrażała sobie deszcz w postaci biednego żebraka przeniesionego w tę wspaniałą wysokogórską zimę.

Na środku pastwiska Ali Binak i jego pomocnicy rozmawiali z grupą mężczyzn.

– Chodźmy! – rzekł Besian. – Zawsze się czegoś dowiemy.

Szli powoli wśród rozproszonego tłumu, wokół rozlegały się szepty, nie rozumieli jednak słów. Mówiono bowiem przez zęby, a poza tym dialektem. Uchwycili tylko słowa „księżniczka” i „siostra króla”. Diana po raz pierwszy tego ranka miała ochotę głośno się roześmiać.

– Słyszałeś? – spytała Besiana. – Biorą mnie za księżniczkę.

Był szczęśliwy, że jest weselsza, ścisnął ją za ramię.

– Mniej zmęczona?

– Tak. Tu jest pięknie.

Nie wiedząc kiedy zbliżyli się do Alego Binaka. Zawarli znajomość w sposób naturalny, otoczeni zawsze góralami, którzy jakby popychali ku sobie obie grupy przyjezdnych. Besian powiedział, kim jest i skąd przybywa. Ali Binak zrobił to samo ku wielkiemu zdumieniu górali, którzy sądzili, że jest znany na całym świecie. W tym czasie ludzie napływali coraz liczniej, wpatrywali się w nich, zwłaszcza w Dianę.

– Mówił nam dziś oberżysta, że na tej równinie toczyło się wiele sporów o granice – rzekł Besian.

– To prawda – odparł Ali Binak. Mówił głosem cichym, monotonnym, bez żadnych oznak namietności, wymagała tego oczywiście jego praca interpretatora Kanunu. – Chyba zauważyliście murany po obu stronach drogi?

Oboje, Besian i Diana, skinęli potakująco głowami.

– I spór nie został rozstrzygnięty mimo tylu zabitych? – spytała Diana.

Ali Binak patrzył na nią ze spokojem. W porównaniu z ciekawskimi spojrzeniami gapiów, z rozognionym wzrokiem mężczyzny w kraciatej kurtce, który przedstawił się jako geometra, oczy Alego Binaka podobne były do kamiennych oczu pomnika.

– Zwada o pole wytyczone przelaną krwią jest zakończona. Granice raz na zawsze są wytyczone na powierzchni ziemi. Ale pozostają ziemie wciąż wywołujące konflikty. – I wyciągnął rękę w stronę równiny.

– Nie zbroczone krwią? – spytała Diana.

– Właśnie, proszę pani. Od wielu lat nie wygasa spór między dwoma wsiami o te pastwiska.

– Ale dlaczego niezbędna jest śmierć, aby granice te były trwałe? – przerwała Diana i sama zdziwiła się swym wtrętem, szczególnie zaś tonem, w którym dźwięczała pewna ironia.

Ali Binak uśmiechnął się chłodno.

– Jesteśmy tu właśnie po to, aby nie dopuścić do śmierci.

Besian spojrział na żonę pytająco, jakby chciał powiedzieć: „Co ci się stało?” Zdawało mu się, że dostrzega w jej oczach przelotny błysk, którego nigdy przedtem nie widział. Chcąc zatrzeć wrażenie tego drobnego incydentu, zadał pośpiesznie Alemu Binakowi pierwsze lepsze pytanie, jakie mu przyszło do głowy.

Wszyscy wokół nie spuszczała z oka dyskutującej z ożywieniem grupki. Tylko starcy obojętni na wszystko siedzieli z boku na wielkich głazach.

Ali Binak mówił wolno i Besian nie od razu zdał sobie sprawę, że poruszył temat, którego powinien był unikać; zabójstw w czasie sporów o granice.

– Jeśli ofiara nie skona na miejscu, lecz w jakiś sposób dojdzie, dowlecze się na czworakach czy dopełźnie do czyjegoś pola, to tam, gdzie wreszcie runie na ziemię, powstanie jej murana. Wyznaczy ona na wieki nowe granice, mimo że znajdują się one na cudzym gruncie.

Sposób mówienia Alego Binaka, kadencja jego zdań sprawiały wrażenie czegoś zimnego, obcego mowie potocznej.

– A jeśli dwaj przeciwnicy zginą na miejscu twarzą w twarz? – spytał Besian.

Ali Binak podniósł głowę. Diana pomyślała, że po raz pierwszy spotyka człowieka, którego niski wzrost nie odbiera mu ani trochę autorytetu.

– Jeśli dwie osoby padną martwe w pewnej odległości od siebie, granicami będą miejsca upadku ciał, a przestrzeń między nimi stanie się ziemią niczyją.

– Ziemia niczyja – sprecyzowała Diana. – Dokładnie tak jak między państwami.

– Rozmawialiśmy o tym wczoraj wieczorem – rzekł Besian. – Nie tylko w stylu języka, lecz i w myślach oraz czynach mieszkańców Płaskowyzu jest coś z państwowości. A w czasach gdy nie istniały strzelby? Kanun jest przecież starszy niż broń palna?

– Tak, oczywiście, dużo starszy.

– Czy wtedy używano bloków skalnych?

– Tak – odpowiedział Ali Binak. – Kiedy jeszcze nie było strzelb, stosowano sprawdzian noszenia kamieni. W razie zwady między dwiema rodzinami, wsiami bądź gminami każda ze stron wyznaczała swego championa. Wygrywał ten, kto najdalej dońsił kamień.

– A dzisiaj, co się dzisiaj stanie?

Ali Binak powiódł wzrokiem po rozproszonym tłumie i zatrzymał spojrzenie na grupie starców.

– Zaproszono czcigodnych starców z flamuru, aby poświadczyli stare granice pastwiska.

Besian i Diana odwrócili się ku starcom przypominającym aktorów czekających na role. Byli tak starzy, że na pewno chwilami zapominali, dlaczego się tutaj znaleźli.

– Niedługo zaczniecie? – spytał Besian.

Ali Binak wyjął z kieszonki kamizelki zegarek na łańcuszku.

– Tak. Sądzę, że zaczniemy zaraz.

– Zostaniemy? – spytał cicho Besian.

– Jak chcesz – odpowiedziała.

Górale, zwłaszcza kobiety i dzieci, śledzili każdy ich ruch, ale Besian i Diana zdążyli się już do tego przyzwyczaić. Diana unikała tylko starannie spojrzenia podchmielonego geometry. On i drugi doradca, którego przedstawiono im w oberży jako lekarza, szli krok w krok za Alim Binakiem. On zaś, jakby nie zauważając ich obecności, wcale się do nich nie zwracał.

Nastąpiło poruszenie; zapowiadało to początek ceremonii. Ali Binak wraz ze swymi zastępcami odłączył się od gości i chodził od jednej grupy górali do drugiej. Dopiero wówczas gdy tłum się przesunął, Besian i Diana zauważyli dawne granice wytyczone wzdłuż linii, która przecina od krańca do krańca równinę. Nastrój oczekiwania ogarnął nagle cały krajobraz. Diana wsunęła rękę pod ramię Besiana, przytuliła się do męża.

– A jeśli coś się stanie? – spytała.

– Co takiego?

– Nie widzisz, że wszyscy górale są uzbrojeni?

Popatrzył na nią badawczo i miał ochotę powiedzieć: „Chciało ci się śmiać na widok tamtych dwóch górali z zepsutymi parasolami, a teraz się boisz, co?” Przypomniał sobie jednak, że nie wspominała wtedy o parasolach, sam to wszystko wymyślił.

– Śmierć? – powiedział. – Nie wydaje mi się.

Górale byli rzeczywiście uzbrojeni, nad równiną ciążyła lodowata groza. Poniektórzy mieli czarne opaski na rękawach. Diana mocniej przywarła do męża.

– Niedługo się zacznie – rzekł Besian nie spuszczać oka ze starców, którzy wstali.

Diana czuła dziwną pustkę w głowie. Rozglądała się wokoło i przypadkiem trafiła wzrokiem na ich powóz. Stał naskraju równiny, czarny powóz o zaokrąglonych kształtach w stylu rokoko, aksamitny jak łoża w teatrze. Odcinał się od szarego tła gór, obcy tu całkowicie i nie na miejscu. Diana chciała pociągnąć Besiana za rękę i powiedzieć mu: „Popatrz na powóz”, ale on w tej samej chwili szepnął:

– Zaczyna się.

Jeden ze starców oderwał się od grupy, wyglądało na to, że przygotowuje się do spełnienia jakiegoś zadania.

– Podejźmy bliżej – rzekł Besian ciągnąc Dianę za rękę. – Obie strony wybrały widocznie tego starca, aby wytyczył granice.

Stary człowiek zrobił kilka kroków do przodu i zatrzymał się przed kamieniem i skibą świeżej ziemi. Nad równiną zaległa ciężka cisza. Było to chyba jednak tylko złudzenie, gdyż pomruk gór zagłuszał szept słów, jakby to, co ludzkie, uległo zatarciu, bezsilne wobec odgłosów przyrody. Wszyscy jednak mieli wrażenie, że nastąpiła cisza.

Starzec schylił się, chwycił wielki kamień w obie ręce i umieścił go na ramieniu. Zaraz potem ktoś położył mu na tym samym ramieniu skibę ziemi. Jego wysuszona, pokryta brunatnymi plamkami twarz nic nie wyrażała. Wtem jakiś donośny spiżowy głos wykrzyknął:

– Idź naprzód, a jeśli nie działasz w dobrej wierze, niech ten ciężar przygniecie cię w tamtym życiu!

Na moment spojrzenie starca zastygło. Wydawało się, że cała konstrukcja jego zgrzybiałego ciała runie przy najmniejszym ruchu. A jednak posunął się krok do przodu.

– Podejźmy trochę bliżej – szepnął Besian.

Znaleźli się niemal w środku grupy podążającej za starcem.

– Ktoś coś mówi – rzekła półgłosem Diana.

– To stary – równie cicho odpowiedział Besian. – Składa przysięgę na kamień i ziemię, które dźwiga na ramieniu, tak jak nakazuje Kanun.

Głęboki, stłumiony głos starca był prawie niedosłyszalny.

– Przysięgam na ziemię i kamień, co je niosę na ramieniu, że zgodnie ze słowami naszych ojców tutaj oto są dawne granice pastwiska i tutaj sam je wyznaczam. Jeśli skłamałem, to niechaj tylko kamienie i błoto dźwigam przez wieki!

Starzec szedł powoli przez pastwisko, a za nim posuwała się grupka górali. Wypowiedział po raz ostatni:

– Jeśli nie rzekł prawdy, niech ten kamień i ta ziemia ciążą na mnie w tym życiu i w życiu przyszłym.

I wreszcie opuścił swoje brzemie.

Towarzyszący mu górale zaczęli natychmiast kopać we wskazanych przez niego miejscach.

– Muszą wyciągnąć dawne słupy graniczne i wbić nowe – wytłumaczył Besian Dianie.

Rozległy się uderzenia młota. Ktoś krzyknął:

– Niech podejda dzieci, niech to zobaczą!

Diana zagubionym wzrokiem przyglądała się wytyczaniu granic. Ujrzała nagle wśród czarnych opończy ohydną kratę i chwyciła męża za rękaw, jakby szukając u niego pomocy. Spojrzał na nią pytająco, nie zdążyła jednak nic powiedzieć, bo geometra stał już przed nimi z uśmiechem na ustach, przez co wydawał się jeszcze bardziej podchmielony.

– Cóż to za komedia – powiedział gestem głowy wskazując górali. – Tak, tragicomedia! Pan jest, zdaje się, pisarzem? Proszę, niech pan napisze o tym idiotyzmie.

Besian skarcił go surowym spojrzeniem, ale powstrzymał się od uwag.

– Proszę mi wybaczyć, że się naprzykrzam. Zwłaszcza panią proszę o wybaczenie.

Zrobił unізony, nieco teatralny ukłón, Diana poczuła zapach alkoholu.

– Czego pan sobie życzy? – spytała chłodno, nie ukrywając odrazy.

Poruszył wargami, lecz postawa Diany zmusiła go do milczenia. Odwrócił głowę w stronę górali i przez chwilę trwał w tej pozycji, z zastygłą twarzą, na której zamarł złośliwy półuśmiech.

– Jest się o co wściekać – wymamrotał w końcu. – Nigdy jeszcze geometria nie doznała większej zniewagi.

– Dlaczego?

– Jak mam się nie oburzać? Proszę mnie zrozumieć, jestem geometrą, po studiach; uczyłem się wymierzać grunty i sporządzać plany. Mimo to błąkam się przez okrągły rok po tym Płaskowyżu i nie mogę wykonywać mego zawodu, bo dla górali geometra nie ma żadnych kompetencji. Widzieliście państwo, jak załatwiają sprawy granic. Za pomocą kamieni, przekleństw, za-

klęć i Bóg wie czego jeszcze. Moje przyrzędy leżą latami zamknięte w walizce. Zostawiam je w kącie oberży. Kiedyś mi je rozkradną, jeśli już nie rozkradli, ale ja ich uprzedzę, sprzedam wszystkie i przepię pieniądze. Ach, co za ponury dzień! Idę już, proszę pani. Szef mnie wzywa. Przepraszam, że przeszkodziłem. Przepraszam, piękna pani. Żegnaj.

– Dziwny typ – powiedział Besian, kiedy tamten odszedł.

– Co robimy? – spytała Diana.

Woźnica zjawił się natychmiast, gdy zobaczył, że szukają go wzrokiem w rzedającym tłumie.

– Jedziemy?

Besian skinął głową.

Idąc w stronę powozu słyszeli jeszcze, jak starzec, z ręką na świeżo wbitych słupach granicznych, rzuca przekleństwa na tych, którzy ośmieliliby się je przesunąć.

Diana spostrzegła, że znów skupiają na sobie uwagę górali, odwróconą od nich podczas wytyczania granic. Pierwsza wsiadła do powozu, Besian kiwnął raz jeszcze ręką na pożegnanie Alemu Binakowi i jego pomocnikom.

Diana była trochę zmęczona i przez całą drogę do oberży prawie się nie odzywała.

– Napijemy się kawy przed odjazdem? – spytał Besian.

– Jak chcesz – odrzekła.

Podając im kawę oberżysta opowiadał o słynnych sporach granicznych, które rozsądzał Ali Binaki i które przeszły do niepisanych legend góralskich. Widać było, że jest bardzo dumny ze swego gościa.

– Zawsze zatrzymuje się u mnie, gdy jest w tych stronach – powiedział.

– A gdzie on właściwie mieszka? – spytał Besian, byle coś powiedzieć.

– Nie ma stałego miejsca zamieszkania – odparł oberżysta. – Mieszka wszędzie i nigdzie. Stale podróżuje, wciąż wybuchają gdzieś spory i kłótnie, ludzie wołają go na rozjemcę.

Podał już kawę, ale nie przestawał mówić o Alim Binaku, o dzielącej ludzi odwiecznej nienawiści. Wrócił znowu do tematu,

kiedy przyszedł sprzątnąć ze stołu i wziąć pieniądze i potem, kiedy odprowadzał Besiana i Dianę do powozu.

Besian już miał wsiąść, gdy poczuł, że Diana chwyta go za rękę.

– Popatrz – szepnęła.

Tuż obok stał młody góral i przyglądał im się zmieszany z twarzą niezwykle bladą. Rękaw miał przepasany czarną opaską.

– Krew za krew – rzekł Besian i zwrócił się do oberżysty: – Znasz tego człowieka?

Zezowate spojrzenie oberżysty prześlizgnęło się obok górala. Ten widocznie zamierzał wejść do oberży i przystanął na chwilę, żeby popatrzeć na odjazd ważnych gości.

– Nie – pokręcił głową oberżysta. – Przechodził tędy trzy dni temu w drodze do Oroszu. Miał tam wpłacić podatek od krwi.

– Hej, chłopcze – krzyknął do nieznanomego – jak się nazywasz?

Góral odwrócił się, wyraźnie zdziwiony pytaniem oberżysty. Diana siedziała już w powozie, ale Besian, z nogą na stopniu, oczekiwał odpowiedzi. Za szybą w drzwiczkach rysowała się niebieskawa twarz Diany.

– Gjorg – odpowiedział nieznanomy głosem trochę niepewnym i załamującym się, jakby odwykłym od mówienia.

Besian opadł na ławkę koło Diany.

– Zabił kilka dni temu, wraca z Oroszu.

– Słyszałam – powiedziała cicho nie odwracając się od okna.

Góral stał jak skamieniały, wpatrzony w Dianę rozgorączkowanymi oczyma.

– Jaki on blady!

– Nazywa się Gjorg – rzekł Besian sadowiąc się na ławce. Diana zastygła przy szybie. Oberżysta udzielał rad i wskazówek woźnicy.

– Znasz drogę? Uważaj na Mogiłę Kurszków, wszyscy się tam myślą, zamiast na prawo, skręcają na lewo.

Powóz ruszył. Oczy nieznanomego, bardzo ciemne, może tylko w porównaniu z bladością twarzy, utkwione były w kwadracie szyby, w którym odcinała się twarz Diany. Diana zdawała so-

bie sprawę, że nie powinna już patrzeć na tego górala, który wyrósł nagle na ich drodze, ale nie miała siły oderwać od niego wzroku. Powóz oddalał się, a Diana ciągle wycierała zamgloną oddechem szybę, a szyba natychmiast pokrywała się parą, jakby chciała przedzielić ich kurtyną.

Gdy byli już bardzo daleko na wyludnionej drodze, odwróciła się i powiedziała ze zmęczeniem: „Miałeś rację”.

Besian patrzył na żonę z pewnym zdziwieniem. Chciał dowiedzieć się, w czym miał rację, lecz coś powstrzymywało go od wszelkich pytań. W rzeczywistości przez cały ranek miał wrażenie, że w pewnych sprawach nie przyznaje mu racji. A teraz, gdy wyraziła głośno swoją akceptację, dalsze pytania wydały mu się niepotrzebne, wręcz nieostrożne. Najważniejsze było to, że podróż jej nie zawiodła. Diana upewniła go o tym przed chwilą. Besian ożywił się. Odnosił nawet wrażenie, zrazu niejasne, że zaczyna mniej więcej rozumieć, co do czego miał rację.

– Czy zauważyłaś, jaki błady był ten góral, który zabił kilka dni temu? – spytał Besian utkwivszy wzrok, nie wiadomo czemu, w pierścionku na jej palcu.

– Tak, był przeraźliwie błady – przytaknęła Diana.

– Bóg raczy wiedzieć, jakie musiał zwalczać wątpliwości i wahania przed zabiciem człowieka. Czym są rozterki Hamleta wobec rozterek naszego Hamleta z gór?

Spojrzała na niego z wyrazem wdzięczności.

– Uważasz pewno, że przesadzam porównując duńskiego księcia do byle górala z Płaskowyżu.

– Ani trochę – odparła. – Masz dar ładnego określenia rzeczy, wiesz, jak go cenię.

Pomyślał w głębi duszy, że może właśnie ten dar pomógł mu podbić serce Diany.

– Hamleta pchnął do zemsty duch ojca – zapalał się Besian.

– A czy wiesz, jaki straszliwy duch popycha do zemsty górala?

Nieruchomo wpatrzone w niego oczy Diany stały się olbrzymie.

– W domach, na których ciąży dług krwi – ciągnął Besian – wiesz się w kącie zakrwawioną koszulę ofiary i zdejmuje się ją

dopiero po dokonaniu zemsty. Wyobrażasz sobie, jakie to musi być okropne? Hamlet widział ducha ojca tylko dwa, trzy razy w środku nocy, ledwie przez chwilę, a koszula wisi w naszych kulach dniem i nocą, przez całe miesiące i lata; plamy krwi żółkną i ludzie mówią: „Zmarły domaga się zemsty”.

– Może dlatego był taki błąd – rzekła Diana.

– Kto?

– No, on, ten góral.

– A tak! Na pewno.

Besianowi zdawało się, że Diana wymówiła słowo „błąd”, jakby chciała powiedzieć „piękny”, ale szybko tę myśl odrzucił.

– Co on teraz zrobi?

– Kto?

– No... ten góral.

– Aha, co robi? – Besian wzruszył ramionami. – Jeśli zabił cztery, pięć dni temu, jak to twierdzi oberżysta, i jeśli otrzymał wielką besę na trzydzieści dni, pozostaje mu jeszcze dwadzieścia pięć dni normalnego życia. – Besian uśmiechnął się gorzko, ale z obojętną twarzą. – To jakby ostatni urlop w jego życiu. Sławetne powiedzenie, że żywi są tylko umarłymi na urlopie, tu, w górach, nabiera pełnego znaczenia.

– Tak – powiedziała. – Wyglądał, jakby dostał przepustkę z tamtego świata. Ten znak zza grobu na rękawie... – Diana westchnęła głęboko. – Dobrze to określiłeś, jak Hamlet.

Besian wyglądał przez okno z zastygłym uśmiechem na twarzy. Uśmiechał się jedynie ustami.

– Trzeba też powiedzieć, że Hamlet, przekonawszy siebie, że musi zabić, popełnił tę zbrodnię z całą pasją. Podczas gdy on – Besian wskazał ręką drogę, którą przebyli – kierowany był przez siłę zewnętrzną, a nawet pochodzącą z przeszłości.

Diana słuchała z uwagą, chociaż wymykał się jej sens niektórych słów.

– Trzeba mieć siłę tytana, by wyruszyć na spotkanie ze śmiercią na rozkaz otrzymany z tak daleka. A ów rozkaz przybywa niekiedy z bardzo daleka, od dawno wymarłych pokoleń.

Diana znowu westchnęła głęboko.

- Gjorg – rzekła cicho. – Tak się nazywa, prawda?
 - Kto?
 - Ten góral, oczywiście... z oberży.
 - A, tak, Gjorg. Tak się właśnie nazywa. Zrobił na tobie wrażenie?
- Skinęła potakująco głową.

Kilka razy zaczynało padać, ale krople deszczu ginęły gdzieś w przestworzach, zanim dotarły na ziemię. Tylko kilka rozbilo się na szybie, gdzie drżały jak łyzy. Diana przypatrywała im się czas jakiś; nawet szkło zdawało się przejmować to drżenie.

Nie czuła się zmęczona. Przeciwnie, miała wrażenie, że jest lekka, przezroczysta, ale było to uczucie zimne i nieprzyjemne.

– Straszliwie długa ta zima – rzekł Besian. – Wiosna nie może się jakoś przebić.

Diana rozglądała się po okolicy. Było w tym krajobrazie coś, co rozpraszało, powodowało pustkę w głowie, zamęt w myślach. Przypominała sobie różne sprawy wymagające od Alego Binaka delikatnej interpretacji Kanunu, sprawy, o których opowiadał oberżysta; właściwie tylko pewne aspekty bądź fragmenty tych spraw przesuwały się powoli w jej pamięci. Jak na przykład historia z drzwiami: dwoje drzwi w dwóch kullach trzeba było wyrwać z zawiasów i zamienić. W pewien letni wieczór jedno z tych drzwi przebiła kula. Gospodarz doznał więc zniewagi i musiał ją pomścić. Ale jak? Nie zabija się za przestrzelenie drzwi; jakieś zadośćuczynienie było jednak konieczne. Poproszono o pomoc Alego Binaka i ten zdecydował, że należy wyrwać z zawiasów drzwi w domu człowieka, co je przestrzelił, i zastąpić je uszkodzonymi drzwiami, które mają pozostać tam na zawsze. Diana wyobrazila sobie Alego Binaka, jak wraz z dwoma współpracownikami krąży od wsi do wsi, od flamuru do flamuru. Trudno było doprawdy spotkać dziwniejszą grupę ludzi. Według innej historii pewnego człowieka niespodziewanie odwiedził wieczorem przyjaciel. Żona gospodarza poszła do sąsiadów, żeby pożytyć coś do jedzenia. Mijały godziny, kobieta nie

wracała, gospodarz panował jednak nad sobą i aż do rana nie zdradzał swego niepokoju. Nie wróciła nazajutrz ani dnia następnego. Rzeczna Płaskowyżu niespotykana. Kobiętę zatrzymało przemocą trzech mężczyzn, trzech braci z sąsiedztwa, którzy spędzili z nią kolejno trzy noce.

Diana wczuła się w sytuację tej nieszczęśliwej kobiety i przeszedł ją dreszcz. Potrząsnęła głową, jakby chciała odpędzić od siebie straszliwą myśl o tym, ale nie mogła się od niej uwolnić.

Rankiem trzeciego dnia kobieta wróciła i wyznała prawdę mężowi. Cóż mógł zrobić znieważony mąż? Był to przypadek wyjątkowy i obrazę mogła zmyć jedynie krew. Ale krewni lubieżnych braci byli liczni i silni, w razie wendety rodzina pokrzywdzonego nie uniknęłaby zagłady. Poza tym skrzywdzony małżonek nie odznaczał się odwagą. Poprosił więc w tym szczególnym przypadku o rzecz rzadką w społeczności górali: o interwencję rady starców. Osąd był trudny. Niełatwo rozstrzygnąć sprawę, nie mającą precedensu w przeszłości, jak daleko sięga pamięć ludzka na Płaskowyżu, niemniej trudno było wyznaczyć karę dla trzech braci. Wezwano więc Alego Binaka, który w końcu zaproponował winowajcom dwa rozwiązania do wyboru: albo mieli wysłać kolejno swe żony do łóża obrażonego sąsiada, albo wyznaczyć jednego spośród nich, który własną krwią okupiłby wyrządzoną zniewagę, bez prawa do dalszej wendety. Bracia naradzili się i przystali na drugie rozwiązanie: jeden z nich musiał oddać życie za popełniony czyn; los padł na średniego.

Diana wyobrażała sobie śmierć tego człowieka jak na kadrach puszcanych w zwolnionym tempie filmu. Od rady starców uzyskał on trzydziestodniową besę. Trzydziestego dnia znieważony mąż zastrzelił go z zasadzki bez żadnych przeszkód.

– A potem? – spytał Besian.

– Potem nic – odparł oberżysta. – Jak żył na tym świecie, tak stąd zniknął, a wszystko z powodu głupiego wybryku.

Diana, zapadająca w półsen, zastanawiała się, ile czasu zostało góralowi o imieniu Gjorg, którego los był już przesądzony.

– Popatrz, wieża odosobnienia – powiedział Besian stukając palcem o szybę.

Diana spojrzała we wskazanym kierunku.

– Tam, z dala od innych, widzisz? Z bardzo wąskimi strzelnicami.

– Strasznie ponura! – rzekła Diana.

Wiele słyszała o słynnych wieżach, gdzie chronili się zabójcy po wygaśnięciu rozejmu, aby nie narażać rodzin na niebezpieczeństwo. Ale po raz pierwszy zobaczyła taką wieżę na własne oczy.

– Ze strzelnic widać wszystkie drogi, odosobnieni mogą dostrzec każdego, kto się zbliża – wyjaśnił Besian. – Nad bramą kościelną jest także okienko strzelnicze na wszelki wypadek, bo przewiduje się też propozycje pojednania, co zresztą zdarza się niezmiernie rzadko.

– Ile czasu siedzą ludzie w tym zamknięciu? – spytała Diana.

– Och, całe lata. Póki nowe wydarzenia nie zmienią reakcji pomiędzy krwią oddaną i krwią odebraną.

– Krew oddana, krew odebrana – powtórzyła. – Mówisz o tym, jakby to były operacje bankowe.

Besian uśmiechnął się.

– W gruncie rzeczy, w pewnym sensie nie ma tu zbyt dużych różnic. Kanun jest zimnym kalkulatorem.

– To naprawdę okropne – powiedziała Diana, a Besian nie zrozumiał, czy nawiązywała do wieży odosobnienia, czy do jego ostatnich słów. Wyrzała znowu przez okno, aby po raz ostatni popatrzeć na posępną kullę.

„Tam, być może, schroni się ten błady góral – pomyślała. – Albo zginie, nim wchłonie go ta kamienna warownia”.

„Gjorg” – powtórzyła w myśli i poczuła pustkę w piersi. Coś się w niej rozpadło, było to doznanie bolesne, a jednocześnie rozkoszne.

Uświadomiła sobie, że traci ów instynkt samoobronny chroniący każdą dziewczynę w okresie narzeczeństwa lub wielkiej miłości przed samą myślą o uczuciu dla innego mężczyzny. Po raz pierwszy od czasu poznania Besiana pozwalała sobie na swobodne rozmyślanie o kimś innym. O Gjorgu. Korzystał jeszcze na tym świecie z przepustki, jak to określili Besian, z krótkiej, le-

dwie trzytygodniowej przepustki, a każdy dzień ją skracał; błakał się po górach z czarną opaską, symbolem długu krwi, który z pewnością oddał przed terminem, tak był błądy, wybraniec śmierci, jak drzewo w lesie wyznaczone do ścięcia. To właśnie mówiły utkwione w niej oczy: „Jestem tu na bardzo krótko, nieznajoma pani”.

Niczyje spojrzenie nie poruszyło jej nigdy do tego stopnia. Może sprawia to bliskość śmierci, myślała, albo wzruszenie, jakie budziła w niej niezwykła uroda młodego górala. Czy aby te krople drżące na szybie to nie jej łzy?

– Ależ się ten dzień wlecze – rzekła głośno zaskoczona własnymi słowami.

– Jesteś zmęczona? – spytał Besian.

– Trochę.

– Za godzinę, najpóźniej za godzinę i kwadrans będziemy na miejscu.

Objął ją ramieniem i leciutko przytulił. Poddała się bezwiednie, ale nie rozluźniła się, aby mógł ją łatwo przyciągnąć do siebie. Zauważył to, odurzył go jednak zapach bijący z jej szyi.

– Ciekaw jestem, jak będziemy spać tej nocy – szepnął jej do ucha.

Wzruszyła ramionami, jakby chciała rzec: skąd mogę wiedzieć?

– W każdym razie Orosz jest kullą księżęcą, przypuszczam więc, że położą nas spać w jednym pokoju – mówił cicho, niemal konspiracyjnym tonem. Spojrzał z ukosa na jej twarz; oczyma i głosem zapowiadał pieśczętę. Diana jednak utkwiała wzrok przed siebie i milczała. Nie bardzo wiedział, czy ma się obrazić, zwolnił nieco uścisk ramienia i pewno by je cofnął, gdyby w ostatniej chwili, jakby odgadując zamiar męża, a może tylko przypadkiem, nie zapytała go o coś.

– Co mówisz?

– Pytam, czy księcia łączą więzy krwi z rodziną królewską?

– Nie, żadne – odparł.

– W takim razie dlaczego nosi tytuł księżęcy?

Besian zmarszczył czoło.

– To dość skomplikowane. Nie jest on naprawdę księciem, chociaż niektóre koła przyznają mu ten tytuł, a mieszkańcy Płaskowyżu nazywają go Prenk, co znaczy dosłownie „książę krwi”. Ale znany jest raczej jako Kapidan, czyli naczelnik tego okręgu, chociaż...

Besian nagle przypomniał sobie, że od dawna nie palił. Sporo czasu – jak każdemu, kto rzadko pali – zajęły mu manipulacje z papierosem i zapałkami. Diana miała wrażenie, że gest ten wykonywał zawsze, ilekroć chciał odłożyć na później jakieś zawile wyjaśnienia. I rzeczywiście, to, co Besian mówił teraz o zamku Orosz, było równie mętne jak jego nie dokończony wykład, kiedy siedzieli razem przy herbacie, na kanapie w jego studio w Tiranie (z kancelarii księcia nadeszło właśnie zaproszenie pisane dziwnym, martwym językiem, zapewniające, że Besian będzie mile widziany o każdej porze roku i o każdej porze dnia i nocy). A może w ogóle było coś mglistego we wszystkim, co dotyczyło Oroszu, gdzie wkrótce mieli gościć?

– Nie jest on właściwie księciem – mówił Besian – ale z pewnego punktu widzenia jest kimś więcej, nie chodzi tylko o ród, dużo starszy niż ród królewski, lecz przede wszystkim o sposób sprawowania władzy na Płaskowyżu.

Tłumaczył jej, że była to władza szczególna, oparta na Kanunie, niepodobna do żadnej innej na świecie. Od niepamiętnych czasów na Płaskowyżu nie działa policja, nie działają urzędnicy administracji. Zamek także nie miał nigdy policji ani urzędników. Płaskowyż jest jednak całkowicie pod kontrolą księcia Oroszu. Tak było za czasów tureckich, a nawet wcześniej, ten stan rzeczy utrzymywał się w okresie okupacji serbskiej i austriackiej, i później w latach pierwszej republiki, następnie drugiej, i teraz, gdy jest monarchia. Kilka lat temu grupa deputowanych do Parlamentu chciała podporządkować Płaskowyż administracji państwowej, ale próba ta zawiodła. „Kanun powinien roztoczyć władzę nad całym krajem – mówili obrońcy Oroszu – a już żadna siła ludzka nie jest zdolna rozłączyć go z górami”.

Diana ponownie spytała Besiana o rodowód księżęcy panów z Oroszu. Odniósł wrażenie, że powoduje nią zwykła ciekawość

kobiety pragnącej wiedzieć, czy ofiarowane jej klejnoty są naprawdę ze złota.

Odpowiedział, że w to nie wierzy. W każdym razie nie było to nigdzie potwierdzone. Początek rodu ginął w mrokach przeszłości. Zdaniem Besiana możliwe są dwie wersje: albo pochodzili z bardzo starej, lecz niezbyt sławnej rodziny feudalnej, albo od pokoleń zajmowali się interpretowaniem Kanunu. Wiadomo, że dynastie owe, stanowiące jakby świątynie prawa, instytucje pośrednie między wyrocznią i archiwum prawnym, zdobywały z czasem wielką potęgę, aż wreszcie zapomniano w ogóle o ich pochodzeniu i uważano je za wszechwładne.

– Mówiłem, że zamek Orosz jest interpretatorem Kanunu – ciągnął Besian – i do tej pory mówi się o nim jako o strażniku Kodeksu.

– Ale czy sam zamek nie stawia się ponad Kanunem? – spytała Diana. – Chyba mi to kiedyś powiedziałeś.

– Tak jest istotnie. To jedyny ród wyłączony spod praw Kanunu.

– Pewnie krąży wokół niego mnóstwo ponurych legend?

– Oczywiście, to normalne, stare zamki otacza zawsze atmosfera tajemniczości.

– Bardzo to wszystko ciekawe – rzekła Diana, tym razem wesoło i spontanicznie, jak dawniej przytuliła się do męża. – To pasjonujące, że jedziemy tam z wizytą, nie uważasz?

Odetchnął z ulgą, jak po dużym wysiłku. Przyciągnął żonę do siebie, patrzył na nią z czułością i odrobiną nagany, jakby chciał powiedzieć: „Dlaczego mnie dręczysz, dlaczego uciekasz nagle gdzieś daleko, skoro jesteś mi tak bardzo bliska?”

Jej twarz znowu rozjaśniał uśmiech, a że widział tę twarz z profilu, uśmiech zdawał się wybiegać naprzód, w dal przed nimi.

Wyrzał przez okno.

Zbliżał się wieczór.

– Zamek jest chyba niedaleko – powiedziała Diana.

Wypatrywali go oboje, każde przez swoje okienko. Przedwieczne niebo zastygło w ciężkim bezruchu. Wydawało się, że chmury zlodowaciały na wieki, a wszelki ruch trwał już tylko

na ziemi. Góry, wraz z biegiem powozu, wolno przesuwały się przed ich oczyma.

Trzymając się za ręce penetrowali horyzont w nadziei, że nareszcie ukaże się zamek. Kilka razy zawołali niemal jednocześnie: „Jest! Jest!” Natychmiast jednak dostrzegali pomyłkę. Były to tylko szczyty gór zasnuwane mgłą.

Wokół rozciągało się pustkowie; można by sądzić, że uciekły stąd domy i wszystko, co żywe, aby nie zakłócać samotności zamku Orosz.

– Dlaczego wciąż go nie widać? – skarżyła się Diana.

Dopatrywali się zamku w każdym punkcie na widnokręgu, ale równie dobrze mógł pojawić się na ziemi, między skalistymi górami, i wysoko na niebie, w pęknięciach chmur.

Sługa odprowadzający ich na górę niósł w ręku miedzianą lampę, która rzucała na ściany posępne światło.

– Tędy, proszę pana – powtórzył po raz trzeci wyciągając rękę z lampą, aby lepiej oświetlić im drogę. Drewniana podłoga skrzypiała głośno w ciszy nocnej. – Tędy, proszę pana.

W pokoju paliła się lampa, także miedziana, z ledwo wystającym knotem. Słabo oświetlała ściany i wzory na ciemnoczerwonym dywanie. Diana mimo woli westchnęła.

– Zaraz przyniosę walizki – powiedział służący i oddalił się bezszelestnie.

Chwilę stali patrząc na siebie, potem zaczęli rozglądać się po pokoju.

– Jakie wrażenie zrobił na tobie książę? – spytał cicho Bessian.

– Nie potrafię powiedzieć – odrzekła prawie szeptem. W innych okolicznościach wyznałaby mu, że książę wydał się jej dość nieokreślony, mało naturalny, zupełnie jak styl jego zaproszenia, ale doszła do wniosku, że pora jest zbyt późna na długie wyjaśnienia. – Nie umiem powiedzieć – powtórzyła. – Natomiast ten drugi, ten poborca od podatku za krew, jest odrażający.

– Zgadzasz się z tobą.

Spojrzenie Besiana, a w chwilę później Diany, skierowało się ukradkiem na ciężkie dębowe łoże przykryte grubym kocem z purpurowej wełny o długim włosiu. Nad łożem wisiał dębowy krzyż.

Besian podszedł do jednego z okien. Stał tam jeszcze, kiedy wrócił służący: jedną ręką trzymał miedzianą lampę, drugą obie walizki. Postawił bagaż na podłodze.

– Co jest tam na dole? – spytał Besian odwrócony tyłem z twarzą przyklejoną do okna.

Służący zbliżył się do Besiana lekkim krokiem. Diana chwilę przyglądała się im obu, pochylonym nad parapetem okna ze wzrokiem jakby przeszukującym głąb przepaści.

– Ta taka duża sala, proszę pana, galeria, nie wiem, jak ją nazwać. Przyjmuje się tam ludzi, którzy przybywają z różnych stron Płaskowyżu z podatkiem od krwi.

– Ach, tak – usłyszała Diana zniekształcony głos męża, bo mówił z twarzą tuż przy szybie. – A więc to słynna galeria zabójców.

– Mścicieli, proszę pana.

– Tak, mścicieli... Wiem... Słyszałem o nich...

Besian wciąż stał przy oknie. Służący bezszelestnie cofnął się o kilka kroków.

– Dobranoc panu! Dobranoc pani!

– Dobranoc! – rzekła Diana nie podnosząc głowy znad otwartej walizki. Przerzucała powoli rzeczy zastanawiając się, co wybrać. Po obfitej kolacji czuła nieprzyjemny ciężar w żołądku. Spojrzała na purpurowy koc na wielkim łożu, potem na walizkę, wahała się, czy włożyć nocną koszulę.

Kiedy się tak pochylała niezdecydowana nad walizką, usłyszała głos Besiana.

– Chodź, Diano, zobacz!

Wyprostowała się i podeszła do okna. Przeniknął ją lodowaty chłód bijący od szyb. Noc za oknem zdawała się wisieć tuż nad przepaścią.

– Spójrz no tam – rzekł cicho Besian.

Utkwiła wzrok w ciemnościach, ale nic nie zobaczyła; zadrżała przejęta ogromem czarnej nocy.

– Tam – powiedział dotykając dłonią szyby – na dole, widzisz światło?

– Gdzie?

– W głębi... na samym dole.

Wreszcie dostrzegła nikły blask. Nie było to właściwie światło, tylko lekko jarząca się krawędź przepaści.

– Widzę – szepnęła. – Co to jest?

– Słynna galeria, gdzie mściciele czekają całymi dniami, a nieraz tygodniami, żeby zapłacić podatek od krwi.

Poczuł na ramieniu jej przyspieszony oddech.

– Dlaczego muszą tak długo czekać?

– Nie wiem. Zamek nie spieszy się z pobraniem pieniędzy. Może dlatego, żeby stale ktoś czekał w galerii. Jest ci zimno! Narzuć coś na siebie.

– Ten góral wtedy... w oberży, też był tutaj?

– Na pewno. Oberżysta nam mówił, nie pamiętasz?

– Tak, prawda. Zdaje się, że był tutaj trzy dni temu, tak mówił oberżysta.

– No właśnie.

Diana nie mogła powstrzymać westchnienia.

– A więc był tutaj...

– Wszyscy bez wyjątku zabójcy z Płaskowyżu przechodzą przez tę galerię – powiedział.

– Przerażające. Co o tym sądzisz?

– To prawda. Pomyśl, że od przeszło czterystu lat, odkąd zbudowano zamek Orosz, w tej galerii dniem i nocą, zimą i latem, jest zawsze pełno zabójców.

Twarze ich niemal się dotykały.

– Oczywiście, to przerażające, nie można tego inaczej określić. Zabójcy czekający na uiszczenie opłaty. To naprawdę tragiczne. Ale także w pewnym sensie wspaniałe.

– Wspaniałe?

– Nie w utartym rozumieniu tego słowa... W każdym razie... ten blask w ciemnościach niczym świeca migocząca nad śmiercią... mój Boże, jest w tym coś rzeczywiście złowrogiego. I pomyśleć, że nie chodzi tu o śmierć pojedynczego człowieka, o

znicz płonący nad jednym grobem, lecz o śmierć gigantycznych rozmiarów. Zimno ci. Proszę cię, narzuć coś na siebie.

Stali tak jeszcze przez chwilę wpatrując się w migotliwe światło, aż wreszcie Diana poczuła, że chłód przenika ją do szpiku kości.

– Brr! Lodownia! – powiedziała i odeszła od okna dodając: – Nie stój tam, dostaniesz kataru.

Odwrócił się i zrobił kilka kroków na środek pokoju. W tym momencie zegar ścienny, którego dotychczas nie zauważyli, wybił głucho dwa uderzenia. Podskoczyli.

– O Boże, jak się przestraszyłam! – krzyknęła Diana. Pochyliła się nad walizką. – Wyjmuję ci piżamę – dorzuciła po chwili.

Wymamrotał coś pod nosem i zaczął krążyć po pokoju. Diana podeszła do lustra ustawionego na komodzie.

– Chce ci się spać? – spytała.

– Nie. A tobie?

– Też nie.

Usiadł na skraju pościania i zapalił papierosa.

– Niepotrzebnie piliśmy drugą kawę.

Diana bąknęła coś niewyraźnie, w ustach trzymała szpilkę do włosów; nie zrozumiał. Leżał teraz oparty na łokciu i śledził roz-targnionym spojrzeniem dobrze znane gesty żony przed toaletką. Lustro, komoda, zegar, łóżko i większość mebli w zamku były – w najogólniejszym zarysie – w stylu uproszczonego baroku.

Diana, czesząc się przed lustrem, obserwowała kątem oka smugi dymu owiewające twarz Besiana. Coraz wolniej rozczesywała włosy. Niedbałym ruchem odłożyła grzebień na komodę i, nie spuszczać wzroku z odbicia męża w lustrze, powoli, jakby w obawie, by nie ściągnąć jego uwagi, skierowała się ostrożnie w stronę okna.

Za oknem czyhała groza i noc. Wprawiło ją to w drżenie, ale uparcie szukała w tym chaosie małego, zagubionego światełka. Wreszcie je odnalazła. Było tam, gdzie przedtem, jakby zawieszony nad przepaścią, ledwie, ledwie migotało, niemął całkiem wchłonięte przez noc. Długo nie mogła oderwać oczu od słabe-

go, czerwonego punkcika w otchłani ciemności. Było w nim coś z czerwieni prymitywnego ognia, tysiącletniej magmy, której błady poblask emanował ze środka ziemi. Coś z przedsonka piekieł. Naraz stanął jej przed oczami obraz o trudnej do zniesienia sile. Był to obraz człowieka, który przeszedł przez to piekło. „Gjorg” – powiedziała do siebie poruszając zlodowaciałymi wargami. Błąkał się po tych niedostępnych ścieżkach, cały w znamionach śmierci: na rękach, na rękawach, na skrzydłach. Musiał być półbogiem, aby stawić czoło ciemnościom i chaosowi stworzenia. Niezwykły, niedostępny, przybierał olbrzymie rozmiary, nadymał się i płynął jak krzyk przecinający noc.

Trudno jej było teraz uwierzyć, że widziała go naprawdę, że on również ją widział. W porównaniu z nim czuła się odarta z wszelkiej tajemnicy. „Hamlet z gór – pomyślała powtarzając słowa Besiana. – Mój czarny książę”.

Czy spotka go jeszcze? I pomyślała, stojąc tak przy oknie, z czołem zlodowaciałym od zamarznętej szyby, że wiele by dała, aby go znowu zobaczyć.

W tym momencie poczuła z tyłu oddech męża i dotknięcie jego ręki na swoim biodrze. Gładził delikatnie tę najbardziej pociągającą go część jej ciała. W kilka sekund później, nie widząc, co się dzieje na jej twarzy, spytał głuchym głosem:

– Co ci jest?

Nie odpowiedziała, nie odwróciła twarzy od czarnej szyby, jakby chciała zachęcić Besiana, aby patrzył z nią razem.

Rozdział czwarty

Mark Ukaczjera wchodził właśnie drewnianymi schodami na drugie piętro zamku, gdy usłyszał jakiś stłumiony szept:

– Cicho! Goście jeszcze śpią.

A że nie zareagował i szedł dalej po schodach, ktoś na górze powtórzył:

– Nie słyszałeś, że masz być cicho? Goście jeszcze śpią.

Mark uniósł głowę. Cóż to za śmiałek odważa się tak do niego zwracać? Był to służący: przechylił się właśnie przez poręcz, aby zobaczyć, kto zakłóca spokój: poznał włodarza krwi i przerażony zakrył sobie usta dłonią.

Mark Ukaczjera szedł dalej, na górze minął osłupiałego sługę bez słowa, nie odwracając nawet głowy.

Ukaczjera był bliskim krewniakiem księcia. Przy rozdziale licznych obowiązków na zamku przypadły mu sprawy krwi, stąd mienił się jej włodarzem. Służba, składająca się przeważnie z członków rodziny księcia, bała się Marka jak ognia, nie mniej niż samego księcia. Jak to się stało, że jeden z nich uniknął przed chwilą burzy, gdy zazwyczaj za najmniejsze uchybienie płaciło się niezmiernie drogo – myśleli służący z goryczą, patrząc w osłupieniu na swego towarzysza. Włodarz, który wydał wczoraj uroczyste przyjęcie dla ważnych gości, był dziś po prostu myślałmi gdzie indziej. Nie patrząc na nikogo otworzył drzwi do dużego pokoju sąsiadującego z salonem i wszedł do środka.

W pokoju było zimno. Przez wąskie, ale wysokie okna o ramach z dębowego, niemalowanego drewna przenikał blask wrogiego, jak mu się zdawało, dnia. Podeszedł bliżej do okna i przyglądał się nieruchomym chmurom. Kwiecień był tuż, tuż, ale niebo ciągle nie zwalniało marca. Myśl ta wywołała w nim pe-

wien niepokój, jakby była to niesprawiedliwość wyrządzona jemu osobiście.

Patrzył wciąż w okno, jakby chciał zadrzeć swoje własne oczy szarym, a mimo to porażającym blaskiem dnia. Zapomniał o korytarzach, gdzie rozlegały się ostrożne kroki i upomnienia „pst, cicho”, zapomniał o gościach, którzy przybyli wczoraj i których przyjął z trudną do zrozumienia antypatią.

Nie był w dobrym nastroju podczas kolacji. Nie miał apetytu. Coś mu dolegało, czuł pustkę w żołądku i choć jadł na siłę, pustka owa powiększała się po każdym łyku.

Mark Ukaczjera odwrócił się od okna i przez chwilę spoglądał na ciężkie dębowe półki biblioteki. Stały tam przeważnie książki stare, dzieła religijne w języku łacińskim lub staroalbańskim. Na osobnej półce znajdowały się publikacje współczesne dotyczące bezpośrednio lub pośrednio Kanunu i zamku Orosz; wśród nich książki poświęcone tej tematyce całkowicie oraz pisma zawierające fragmenty, artykuły, eseje i poezję.

Główną funkcją Marka Ukaczjera było zajmowanie się sprawami krwi. Poza tym zarządzał archiwum zamkowym. Różne dokumenty przechowywano w odrębnym sektorze biblioteki, który dla bezpieczeństwa obity był wewnątrz blachą i zamykany na klucz: akta, tajne konwencje, korespondencja z zagranicznymi konsulami, umowy z rządem albańskim za czasów pierwszej i drugiej republiki i królestwa, układy z zarządcami i dowódcami oddziałów okupacyjnych – tureckich, serbskich, austriackich. Większość dokumentów pisana była w staroalbańskim, ale niektóre były w językach obcych. Olbrzymia kłódka, do której klucz Mark nosił na szyi, połyskiwała żółtawym blaskiem między dwoma skrzydłami drzwi.

Mark Ukaczjera zbliżył się jeszcze o krok do półek i gestem na pół pieszczołliwym, na pół wrogim przesunął ręką po grzbiecie książek i czasopism współczesnych. Umiał czytać i pisać, ale nie na tyle, aby dobrze zrozumieć, co w nich mówiono o zamku. Pewien mnich z pobliskiego klasztoru przychodził raz w miesiącu i układał według treści książki i artykuły, które nadesłano pocztą. Rozdzielał je na publikacje dobre i złe: pierwsze traktowały

o zamku i Kanunie dobrze, drugie – źle, a ich stosunek ilościowy stale się zmieniał. Na ogół przeważały opinie dobre, ale i złych nie brakowało, bywały nawet okresy, że proporcje w obu grupach praktycznie się wyrównywały.

Mark z rozdrażnieniem przesunął ręką po książkach, kilka spadło na podłogę. Były tam nowele, dramaty i legendy z terenu Płaskowyżu, które, jak twierdził mnich, „uspokajały duszę”. Ale niektóre były gorzkie niczym trucizna i trudno było zrozumieć, dlaczego książkę je trzyma w swojej bibliotece. Gdyby to od niego zależało, Mark Ukaczjera dawno by już je spalił. Książkę jednak był wyrozumiały. Nie tylko nie palił tych druków, nie wyrzucał ich przez okno, ale czasem nawet je przeglądał. On był tu panem i wiedział, co robi.

Wczoraj po kolacji, wyprowadzając gości z sali jadalnej do przyległych komnat, powiedział wchodząc do biblioteki: „Ileż to razy bryzgano na nas jadem, ale zamek Orosz nie rozpadł się z tego powodu i nigdy się nie rozpadnie”. Zamiast czuwać przy strzelnicach zamku, przeglądał książki i czasopisma, jakby miały mu one wyjawic nie tylko tajemnicę ataków na zamek, ale i sekret, dzięki któremu mógł się on bronić. „Rządy upadły, królestwa znikają z powierzchni ziemi, a Orosz stoi niezmiennie na miejscu” – mówił książkę.

Pisarz, który zresztą Markowi od razu się nie spodobał, na różni z jego piękną małżonką, pochylał się nad książkami i pismami, czytał tytuły i nic nie mówił. Z rozmów prowadzonych przy kolacji wynikało, że istotnie ogłosił publikacje na temat Płaskowyżu, ale trudno było powiedzieć, czy pisał dobrze, czy źle. Jakieś hybrydy. A może dlatego właśnie książkę zaprosił go na zamek: chciał tego literata rozszyfrować i przeciągnąć na swoją stronę.

Włodarz krwi odwrócił się tyłem do biblioteki i znów zaczął wyglądać przez okno. Jeśli chodzi o jego zdanie, on nie ufałby tym gościom za grosz. Nie tylko z powodu dziwnej niechęci, jaką wzbudzili w nim od pierwszej chwili, gdy szli po schodach niosąc skórzane torby; przyczyną było raczej inne uczucie, leżące u źródeł antypatii: pewna obawa, którą napełniali go oboje,

a zwłaszcza ona. Włodarz uśmiechnął się gorzko. Ci, co go znali, byliby zdumieni, że on, Mark Ukaczjera, który nie bał się nawet wtedy, gdy bledli najodważniejsi, odczuwał strach przed kobietą. A tak właśnie było: napawała go lękiem. Odgadł od razu z jej spojrzenia, że poddawała w wątpliwość pewne sprawy omawiane przy stole. Niektóre stwierdzenia, wypowiedziane dyskretnie przez jego pana, księcia, będące zawsze dla niego niepodlegającymi dyskusji prawami, traciły moc, unicestwiały się, kruszyły, gdy jawiły się oczom tej kobiety. „Czy to możliwe?” – zastanawiał się kilkakrotnie i dochodził do wniosku: „Nie, to niemożliwe, to ja tracę rozum”. Ale gdy ponownie zerkał na młodą kobietę, przekonywał się, że tak jest w istocie. Słowa kruszyły się pod jej spojrzeniem, traciły siłę. A po słowach rozpadłaby się część zamku, potem on sam, Mark Ukaczjera, a po nim... Po raz pierwszy spotkał się z takimi zjawiskami, dlatego się bał. Różni ważni goście mieszkali w komnacie przeznaczony dla przyjaciół księcia, poczynając od wysłańców papieża czy osobistości związanych z królem, a kończąc na tych brodaczach, których zwie się filozofami lub uczonymi. Nikt jednak nie wzbudził w Marku podobnego uczucia.

Może również z tego powodu ksiączę był wczoraj bardziej rozmowny niż zazwyczaj. Wiedzano powszechnie, że jest bardzo oszczędny w słowach. Czasami odzywał się tylko na powitanie gości i na ogół rozmowę prowadził kto inny. Wczoraj, ku zdumieniu wszystkich, zerwał ze swoim zwyczajem. I to przed kim! Przed kobietą. A raczej czarownicą. Piękną jak wysokogórska bogini, ale bogini złowroga. Pierwszym błędem było wpuszczenie jej, niezgodnie z obyczajem, do komnaty dla mężczyzn. Kanun słusznie odmawiał tam wstępu kobietom. Na nieszczęście jednak moda w ostatnich czasach zaczyna wywierać znaczny wpływ, a jej diabelski duch przenika nawet tu, do opoki Kanunu, do zamku Orosz.

Mark Ukaczjera znowu doznał mdlącej pustki w żołądku. Do uczucia nudności dołączyła się głucha wrogość, która nie znajdując żadnego ujścia na zewnątrz cofała się w głąb jego trzewi i sprawiała mu ból. Zbierało mu się na wymioty. Właściwie już

dawno zauważył, że przeklęty wiatr, wiejący stamtąd, z miast i równin, pozbawionych od lat męskiej siły, próbował zbrukać i skazić także góry. Proces ten rozpoczął się wraz z pojawieniem się na Płaskowyżu tych wystrojonych kobiet o kasztanowych lub orzechowych włosach, które budziły pragnienie życia nawet za cenę utraty honoru; kobiet podróżujących powozami na resorach, powozami zaiste wykołajeńców, w towarzystwie mężczyzn, którzy są nimi tylko z imienia. Najgorsze zaś było to, że owe kapryśne lalki wprowadzano do męskich komnat, nawet tu, w kolebce Kanunu, w Oroszu. Nie, wszystko to nie jest przypadkowe. Coś wokół wieźło, szybko się rozkładało. A on, Mark, musi meldować o coraz mniejszej liczbie zabójstw. Wczoraj ksiązę, patrząc z ukosa na Marka, rzekł z goryczą: „Niektórzy ludzie pragnęliby złagodzić stare prawa Kanunu”. Co chciał wyrazić pan zamku Orosz tym spojrzeniem? Czy Mark Ukaczjera odpowiada za to, że Kodeks, a zwłaszcza prawo krwi, zdaje się słabnąć ostatnimi czasy? Czy ksiązę nie czuje smrodu zalatującego od dwupłciowych miast? To prawda, dochody z podatków od krwi zmniejszyły się w ciągu tego roku, ale nie była to tylko wina Marka, tak jak dobry zbiór kukurydzy nie jest wyłączną zasługą rządcy pól. Gdyby pogoda nie dopisała, zbiory byłyby całkiem inne. Był to jednak rok pomyślny i ksiązę pochwalił rządcę pól. Ale krew nie była deszczem z nieba. Przyczyny jej wysychania są bardzo zawiłe. Oczywiście, Mark miał pewien udział w odpowiedzialności za taki stan rzeczy. Nie można jednak zwałać na niego całej winy. Ach! Gdyby przyznano mu szersze prawa, gdyby mógł działać na własną rękę, wtedy, owszem, można by żądać od niego surowych rachunków za krew; tak, wtedy potrafiłby zabrać się do dzieła. Tymczasem, chociaż jego złowrogi tytuł budził przerażenie, jego władza miała swoje granice. Dlatego też sprawy krwi chyliły się ku upadkowi. Wendetystawały się rzadsze z roku na rok, a pierwsza część tego roku wyglądała wręcz katastrofalnie. Przeczynał to i czekał z obawą na dzień składania raportów, które jego zastępcy ukończyli kilka dni temu. Wynik był gorszy, niż się spodziewał: dochody nie sięgały nawet siedemdziesięciu procent w porównaniu z tym samym

okresem roku ubiegłego. A działało się to wtedy, gdy nie tylko rządcą pól, ale wszyscy inni administratorzy księcia – rządcą bydła i pastwisk, rządcą pożyczek, zwłaszcza zaś rządcą młynów i kopalń czuwający nad wszystkim, co wymaga użycia narzędzi od tkalni po kuźnię – wpłacili pokaźne sumy do wspólnej kasy. Natomiast on, główny włodarz (wpływy pozostałych pochodziły tylko z własności należących do zamku, podczas gdy on ściągał je z terenu całego Płaskowyżu), on, który kiedyś sam zbierał sumy równe sumie wszystkich dochodów, teraz z trudem osiągał ich połowę.

Z tego właśnie powodu spojrzenie księcia przy kolacji było bardziej gorzkie niż słowa. Spojrzenie to mówiło: „Jesteś włodarzem krwi, musisz więc być głównym podżegaczem do wendety, musisz ją ośmielić, budzić do życia, zaognić, gdy słabnie lub usypia. Postępujesz jednak odwrotnie. Nieprawnie nosisz swój tytuł”. To właśnie mówiło spojrzenie księcia. „Mój Boże” – westchnął głęboko Mark Ukaczjera stojąc przy oknie. Dlaczego nie zostawiono go w spokoju? Miał dość kłopotów.

Chciał oderwać się od przykrych myśli. Schylił się, żeby otworzyć ciężkie dolne drzwi szafy bibliotecznej. Wyciągnął stamtąd opasły wolumen oprawiony w skórę. Była to „Księga krwi”. Przez chwilę przerzucał grube stronicę gęsto zapisane w dwóch kolumnach. Nie czytał, beznamiętnym spojrzeniem prześlizgiwał się tylko po tysiącach nazwisk, w których sylaby były do siebie podobne jak kamyki na bezkresnym piaszczystym wybrzeżu. Były tam szczegółowo opisane wendety na terenie całego Płaskowyżu: wszystkie długi śmierci i wzajemna spleta tych długów, sprawy krwi nie pomszczonej, które powodowały odnowienie wendety w dziesięć, dwadzieścia, czasem nawet w sto lat później, nie kończące się rachunki długów i spleta, całe generacje, po których nikt nie został. Drzewo krwi, jak nazywano linię po ojcu, i drzewo mleka, czyli linia po matce, krew zmywana krwią, ten za tego, jeden za jednego, głowa za głowę, cztery pary zabite, czternaście, osiemdziesiąt, ale wciąż pozostawała czyjaś krew czekająca na zemstę, która jak przewodnik stada ciągnie za sobą następnego korowód ofiar, bo zawsze o jedną krew za dużo.

Księga była stara, może równie stara jak zamek. Niczego w niej nie brakowało, była gotowa służyć każdemu. Przychodzili, aby w niej wertować, wysłannicy rodzin i klanów żyjących od dawna w spokoju, który nagle pryskał wskutek wątpliwości, podejrzeń, pogłosek lub złego snu. Wtedy Mark Ukaczjera, podobnie jak dziesiątki jego poprzedników, przewracał stronicę książki, śledził kartka po kartce, kolumna po kolumnie rozgałęzienia drzewa krwi i zatrzymywał się wreszcie w jakimś miejscu: „Tak, jest tu zaległa sprawa krwi. W tym i tym roku, w takim to miesiącu zostawiliście krew nie pomszczoną”. Oczy włodarza wyrażały wówczas surową naganę za długotrwałe niedbalstwo. Oczy te mówiły: „Nieszczęśni, wasz spokój był spokojem fałszywym!”

Działo się to jednak rzadko. Na ogół członkowie rodziny pamiętali przez całe pokolenia o nie pomszczonej krwi. Dzięki nim trwała pamięć rodu, a zapomnienie mogły spowodować tylko nadzwyczajne wydarzenia o skutkach sięgających daleko w przyszłość jak nagłe klęski, wojny, migracje, epidemie dżumy, kiedy śmierć traciła wartość, wielkość, prawa, odrębność, stawała się zjawiskiem codziennym i powszechnym, banalnym i nieważnym. W tej posępnej i błotnistej fali śmierci jakaś krew mogła się zagubić. Na takie okoliczności była księga w zamku Orosz, zamknięta na klucz. Mogły upłynąć lata, ród mógł wygasnąć lub wypuścić młode pędy, ale pewnego dnia przychodziła wątpliwość, plotka lub szalony sen i wszystko zaczynało się od nowa.

Mark Ukaczjera przeglądał rejestr. Zatrzymywał kolejno wzrok na latach rozkwitu wendety bądź też na latach jej schyłku. Chociaż je znał i porównywał z sobą dziesiątki razy, teraz, przyglądając się im na nowo, kręcił głową z niezrozumieniem. W geście tym zawarł skargę zmieszaną z groźbą, jakby rzucał klątwę na przeszłość. Lata 1611-1628 – największa ilość zabójstw w całym XVII wieku. Rok 1639 – liczba najmniejsza: tylko 722 zabójstwa na Płaskowyżu; był to straszliwy rok dwóch powstań, gdy krew lała się strumieniami, nie była to jednak krew objęta Kanunem. Potem w ciągu półwiecza, w kolejnych

latach od 1640 do 1690 roku, krew, która przedtem płynęła potokiem, osłabiła swój pęd i ledwie się sączyła kropla po kropli. Zdawać by się mogło, że zbliżał się kres wendety. Wygasła już prawie, gdy nagle rozkwitła bujnie. Rok 1691 – podwojenie przypadków wendety. Rok 1693 – potrojenie. W roku 1694 liczba ich rośnie czterokrotnie. Tu następuje zasadnicza zmiana Kodeksu. Zemsta, która do tej pory godziła tylko w zabójcę, rozciągnięta została na resztę jego rodziny. Ostatnie lata XVII wieku i pierwsze wieku XVIII są szczególnie krwawe. Taka sytuacja utrzymuje się do połowy XVIII stulecia, kiedy to rzeka krwi znów zaczyna wysychać. Przychodzi rok 1754, rok głodu. I rok 1799. W latach 1878, 1880, kiedy wybuchają powstania lub toczą się walki z obcymi siłami, liczba wendet maleje. Krew przelana w tych wojnach nie ma nic wspólnego z Oroszem i Kanunem, są to więc lata tak zwanej straconej krwi, gdy prawo krwi nie obowiązywało.

Tego roku wiosna zaczęła się fatalnie. Mark przypomniał sobie dzień siedemnastego marca i przeszedł go dreszcz. „Siedemnasty marca” – powtórzył. Gdyby nie zabójstwo w Brezftoht, byłby to dzień bez bodaj jednej dokonanej zemsty. Taki pusty dzień nie zdarzył się od początku stulecia, może od dwu, trzech, pięciu wieków, może nawet od czasu ustanowienia prawa krwi. Miał wrażenie, że drżą mu palce, przewracające strony. Tak, szesnastego marca było osiem zabójstw, osiemnastego jedenaście, dziewiętnastego i dwudziestego po pięć, a siedemnasty omal nie pozostał bez śmierci. Na samą myśl, że taki dzień mógł nadejść, ogarniało Marka przerażenie. I pomyśleć, że nieszczęście było tak blisko. Gdyby niejaki Gjorg z Brezftoht nie naznaczył krwią tego Bożego dnia, katastrofa byłaby nieunikniona. Gjorg uratował ów dzień... Gdy więc wczoraj ten Gjorg przyszedł zapłacić podatek od krwi, Mark Ukaczjera, ku zdumieniu młodego górala, spojrzął mu w oczy ze współczuciem i wdzięcznością.

Mark schował wreszcie księgę do szafy. Chyba już po raz dziesiąty wzrok jego przesunął się po książkach i czasopismach współczesnych. Człowiek, który je tu układał, odczytywał mu nieraz fragmenty tekstów pisanych przez przeciwników Kanu-

nu. Zdziwiony i pełen wściekłości Mark stwierdzał, że niemal otwarcie atakowano całe partie Kodeksu, a nawet zamek Orosz. „Hm, czytaj dalej” – mrucał Mark przerywając tamtemu lekturę. Jego wściekłość rosła, obejmował nią nie tylko autorów tych okropności i bezceństw, ale wszystkich mieszkańców miast i równin, same miasta i wsie, może nawet wszystkie płaskie regiony świata.

Niekiedy, rozpalony ciekawością, słuchał przez długie godziny. Na przykład dyskusji podjętej w pewnym piśmie wokół kwestii, czy Kodeks i jego surowe prawa pobudzają wendetę czy, przeciwnie, stanowią czynnik hamujący. Jedni utrzymywali, że niektóre podstawowe artykuły Kanunu, między innymi artykuł ustanawiający, że krew nigdy nie ginie i może być okupiona tylko krwią, otwarcie nakłaniają do wendety, są więc barbarzyńskie. Inni znów twierdzili coś wręcz przeciwnego: artykuły te są tylko z pozoru okrutne, a w rzeczywistości najbardziej ludzkie, bo samo prawo odwetu jest przestrożą dla mordercy, nakazuje mu czujność, mówi: „Nie przelewaj krwi, jeśli nie chcesz, aby twój przelano”.

Tego rodzaju wypowiedzi były jeszcze znośne, ale były też takie, które wytrącały Marka z równowagi. Jeden z owych zgubnych artykułów, operując nawet danymi liczbowymi, opublikowany anonimowo cztery miesiące temu w jakimś przeklętym piśmie, spędził sen z oczu księcia na wiele nocy. Wyszczególniono w nim z zadziwiającą dokładnością wszystkie dochody z tytułu podatków od krwi pobranych przez zamek Orosz w ciągu ostatnich lat czterech; zestawiono je z innymi dochodami – z kukurydzy, bydła, sprzedaży ziemi, lichwiarskich pożyczek. Wyciągnięto stąd niesłychane wprost wnioski. Między innymi i taki, że ogólnemu rozkładowi, który jest symptomem naszych czasów, towarzyszy rozpad kamieni węgielnych Kanunu, jak besa, prawo wendety, prawo gościnności. Były to ongi wielkie i wzniosłe sprawy dla Albańczyka, ale z biegiem lat wynaturzyły się, przekształciły w nieludzką maszynę, aż wreszcie sprowadziły się, zdaniem autora, do kapitalistycznego przedsiębiorstwa opartego na zysku.

Autor artykułu używał wielu niezrozumiałych dla Marka obcych określeń, które mnich cierpliwie tłumaczył. Na przykład „przemyśl krwi”, „krew jako towar”, „mechanizm wendety”. Sam tytuł był potworny: „Wendetologia”.

Ksiązę, oczywiście, z a pośrednictwem swoich ludzi w Tiranie, natychmiast wycofał numer pisma, lecz mimo największych starań nie udało mu się odkryć nazwiska autora. Wycofanie numeru nie uspokoiło Marka. Oburzał go sam fakt, że można takie rzeczy pisać, że mogą się załęgnąć w czyimś mózgu.

Duży zegar na ścianie wybił siedem uderzeń. Mark podszedł znowu do okna i stojąc tak, ze spojrzeniem zagubionym gdzieś wśród odległych szczytów, z wolna wyzwała się od natłoku myśli. Jak zwykle jednak tę próżnię w głowie powoli wypełniała mglista, szara masa. Nie było to całkowite omroczenie, nie były to też właściwie myśli. Coś pośredniego, mętnego, rozległego i niepełnego. Gdy tylko tworzyło się jakieś jaśniejsze miejsce, natychmiast inne zasnuwało się mgłą. Mark uświadamiał sobie, że stan, w którym się znajduje, może trwać całymi godzinami, a nawet dniami.

Nie po raz pierwszy jego umysł nieruchomiał w ten sposób wobec zagadki Płaskowyżu. Płaskowyż był dla niego całym światem, dostępnym, normalnym i rozumnym. Pozostała część, tego „z dołu”, była bagnistą depresją, z której dochodziły tylko niezdrowe wyziewy i zwyrodnienia.

Jak wiele razy przedtem, stał bez ruchu przy oknie i na próżno usiłował objąć myślą nieskończoną przestrzeń Płaskowyżu zachynającego się w samym sercu Albanii i rozciągającego się poza granice państwa. Cały ten wysoki Płaskowyż, związany z nim podatkami od krwi, napływającymi ze wszystkich stron, pozostawał dla niego zagadką. Rządcy pól i winnic czy kopalń mieli łatwiejsze zadanie: śnieć na kukurydzy i winorośli bądź stan kopalń dostrzegało się gołym okiem, podczas gdy jego pola były niewidzialne. Niekiedy zdawało się, że jest blisko dotarcia do sedna tajemnicy, że ogarnia ją umysłem i rozwiąże, lecz, jak chmury przesuwające się bezładnie po niebie, wymykała mu się powoli. Wracał do swoich pól śmierci i nie udawało mu się od-

kryć sekretu ich żyzności czy jałowienia. Trawił je specjalny rodzaj suszy, tym groźniejszy, że pojawiający się często jesienią i zimą.

Mark westchnął. Patrząc w dal próbował wyobrazić sobie nieukończoną przestrzeń Płaskowyżu. Pełno tu było strumieni, przepaści, śniegów, łąk, kościołów, ale to go nie interesowało. Dla niego, Marka Ukaczjery, cały Wielki Płaskowyż składał się tylko z dwóch części: z części śmierćrodzącej i śmierci nie rodzącej. Część śmierci odajna wraz ze swą ziemią, z ludźmi i ich dobytkiem jawiła się teraz, jak wiele razy przedtem, w jego wyobraźni; tysiące kanałów irygacyjnych, dużych i małych, płynących z zachodu na wschód lub z południa na północ; brzegi kanałów obrosłe w konflikty pociągające za sobą wendety; setki prymitywnych jazów; tysiące słupów granicznych – powody do łatwej zwady i przelewu krwi; dziesiątki tysięcy małżeństw, niektóre zerwane z takiej czy innej przyczyny, a kończące się jednym: żałobą; mężczyźni Płaskowyżu – groźni, porywczy, bawiący się śmiercią jak piłką. Z drugiej zaś strony część Płaskowyżu jałowa, równie rozległa: ze swymi cmentarzami, które zdają się już tak nasycone śmiercią, że odmawiają przyjmowania zmarłych i na terenie których zabronione są zabójstwa, kłótnie, a nawet zwykle sprzeczki; do tej części jałowej należą ci, których Kanun uznał za niegodnych pomsty, ze względu na rodzaj lub okoliczności śmierci; duchowni nie podlegający prawom krwi; wszystkie kobiety także nie podlegające tym prawom.

Mark oddawał się czasami szalonym myślom, którymi nie śmiał się z nikim podzielić. Ach! Gdyby tak wendeta objęła również kobiety! Wstydził się potem tych myśli, odczuwał nawet pewną trwogę, nawiedzały go zresztą rzadko, najczęściej pod koniec miesiąca czy kwartału, kiedy przygnębiał go widok rozliczeń. Był zmęczony, chciał się oderwać od przykrych spraw, ale nie zaznawał spokoju i znowu do nich powracał. Tym razem jednak nie bluźnił przeciw Kanunowi, zastanawiał się nad czymś, co go dziwiło. Dlaczego mianowicie zaślubiny, fakt na ogół radosny, wywołują częste kłótnie i dają początek wendetom, podczas gdy uroczystości pogrzebowe, z natury swej smutne, prawie

nigdy nie są zarzewiem konfliktów? Zaczął porównywać dawne zemsty z obecnymi. Jedne i drugie miały swoje dobre i złe strony. Dawne wendety, niczym długo uprawiane ziemie, były niezawodne, ale raczej beznamiętne i powolne. Teraz odwrotnie: wendety stały się gwałtowne i niekiedy w ciągu jednego roku przynosiły tyle zabójstw, ile dawne w ciągu dwudziestu lat. Łatwo natomiast mogły wygasnąć dzięki pojednaniu, albowiem nie miały jeszcze mocnych korzeni. Dawniej rzadko kiedy prowadzono układy. Całe pokolenia od kołyski były oswojone z wendetą, nie pojmowały życia bez niej i nikomu nawet nie wpadło do głowy, aby się od niej uwolnić. Nie bez słuszności mówiono: „Krew, która osiąga dwunasty rok, jest jak dąb, który trudno wyrwać”. W każdym razie Mark Ukaczjera doszedł do wniosku, że obie wendety, dawna ze swą tradycją historyczną i nowa ze swą żywotnością, są ze sobą sprzężone i wyczerpanie się jednej odbija się na drugiej. Na przykład ostatnimi czasy trudno było stwierdzić, która z nich zaczęła pierwsza usychać. „O Boże – powiedział głośno – jeśli tak dalej pójdzie, mogę już tylko spodziewać się dla siebie końca”.

Podskoczył przy pierwszym uderzeniu zegara. Sześć, siedem, osiem. Z korytarza dochodził lekki szelest miotły. Goście jeszcze spali.

Światło dzienne, teraz nieco ostrzejsze, zachowało nieprzyjazny chłód z dali. „Mój Boże” – westchnął tak głęboko, że aż miał wrażenie, iż zatrzęszczały mu przy tym żebra jak belki chaty przeznaczonej do rozbiórki. Trwał tak nieruchomo ze wzrokiem zagubionym w szarości nieba, które rozpościerało się samotnie nad górami; nie wiadomo, czy je zaciemniało, czy też góry rzucały na nie swój cień.

W spojrzeniu Marka było jednocześnie pytanie, ostrzeżenie i prośba. „Co się z tobą dzieje – zdawał się mówić do przestrzeni przed sobą – dlaczego zaszła w tobie taka zmiana?...”

Zawsze sądził, że dobrze zna Płaskowyż. Mówiono, że jest to jeden z najbardziej rozległych i ważnych płaskowyżów w Europie. Rozciągał się na przestrzeni tysięcy kilometrów kwadratowych w Albanii i dalej, poza jej granicami, w albańskich regio-

nach Kosowa oraz tych, które Słowianie nazywają „Starą Serbią”, a które faktycznie stanowią część Płaskowyżu.

Tak, uważał, że zna Płaskowyż, ale ostatnimi czasy odkrywał w nim coraz częściej coś, co go od niego oddalało. Mozolnie krążył myślami po zboczach, nad przepaściami, jakby chciał w świetle dnia odnaleźć ów niezrozumiały, gorzej, ironiczny aspekt. Zwłaszcza gdy dał wiatr i góry jakby się zwierzały, wzmagalo się w nim to uczucie obcości.

Wiedział, że działa tam mechanizm śmierci, puszczonej w ruch od niepamiętnych czasów, starożytny młyn obracający się dniem i nocą, którego tajemnice on, włodarz krwi, zna lepiej niż ktokolwiek inny. Nie pomagało mu to jednak wyzbyć się uczucia wyobcowania. W takich razach, chcąc przekonać samego siebie o czymś wręcz przeciwnym, gorączkowo przebiegał w wyobraźni tę zimną przestrzeń jawiącą mu się pod dość dziwną postacią: czegoś pośredniego pomiędzy mapą a obrusem, którym pokrywa się stół podczas stypy.

Teraz, stojąc przy oszklonej bibliotece, znów miał przed oczyma tę posępną mapę. W ścisłym porządku przesuwały się wszystkie urodzajne ziemie Płaskowyżu. Dzielily się one na dwie grupy: pola uprawne i ziemie leżące odłogiem z powodu wendety. Wszystkim rządził niezmiernie prosty porządek: ludzie, którzy mieli dokonać zemsty, pracowali na roli, to oni bowiem mieli zadać śmierć, nikt im nie zagrażał, mogli więc spokojnie wyjść w pole; ci zaś, którzy spodziewali się zemsty, porzucali wszelką robotę i chronili się w wieżach odosobnienia. Sytuacja odwracała się gwałtownie, gdy mściciele dokonywali wendety: stawali się oni teraz z kolei obiektem zemsty, zamykali się w wieżach, a pola ich niszczały. Oczywiście, odwrotnie też działo się ze stroną przeciwną: zabójcy opuszczali wieże odosobnienia i swobodnie zaczynali uprawiać ziemie. Ten stan rzeczy utrzymywał się do następnego zabójstwa. Wtedy wszystko się odwracało.

Ileokroć Mark Ukaczjera jeździł w góry w sprawach zamku, zawsze bacznie obserwował stosunek pól uprawianych do ugorów. Na ogół powierzchnia tych pierwszych była większa. Sta-

nowiły trzy czwarte terenów nadających się pod uprawę zbóż. W niektórych latach jednak stosunek ten zmieniał się na korzyść ugorów. Dochodziły do jednej trzeciej, do dwu piątych ogółu ziem, niekiedy dorównywały powierzchnią polom uprawianym. Wspominano nawet o takich dwóch latach, gdy powierzchnia odłogów przewyższała powierzchnię ziemi uprawianej. Tak, tak było kiedyś. Powoli, wraz ze schyłkiem wendety, kurczyły się ugory. Były one radością Marka Ukaczjery. Były świadectwem potęgi Kanunu. Rodziny godziły się, by ich ziemie leżały odłogiem, a ludzie głodowali, zemsta była ważniejsza. Zdarzały się też takie rodziny, które odraczały zemstę z miesiąca na miesiąc, z roku na rok, żeby zgromadzić zapasy kukurydzy na czas dłuższy. „Do ciebie należy wybór, czy zachowasz godność, czy ją utracisz” – mówił Kanun. Każdy dokonywał wyboru pomiędzy kukurydzą i zemstą. Jedni wybierali, ku swej hańbie, kukurydżę, inni, przeciwnie, zemstę.

Mark Ukaczjera często widywał sąsiadujące z sobą pola rodzin, które toczyły między sobą walkę.

Wciąż ten sam obraz: tu pola uprawiane, tam ugór. W skibach uprawionej ziemi Mark widział coś wstydliwego. Wzbudzały w nim wstręt opary unoszące się z tej gleby, jej zapach i niemal kobieca delikatność. Za to sąsiedni ugór skamielin wyglądających trochę jak zmarszczki, trochę jak zaciśnięte szczęki, wzruszał go prawie do łez. Wszędzie wysoko ten sam widok: ziemie uprawiane i ugory po jednej lub drugiej stronie drogi, leżące obok siebie, obce, nienawistne. A najdziwniejsze było to, że w rok czy dwa lata później role się zmieniały: ugory stawały się żyzne, a ziemie uprawiane jałowiały.

Po raz kolejny tego ranka Mark Ukaczjera westchnął ciężko. Myślni był wciąż daleko. Z pól szedł na drogi. Przemierzał je częściowo pieszo, częściowo konno w czasie swych służbowych podróży. Wielka Droga Przeklętych Szczytów, Droga Cienia, Droga Drinu Czarnego, Droga Drinu Białego, Zła Droga, Wielka Droga Gminna, Droga Krzyża. Wszystkimi tymi traktami dniem i nocą wędrowali mieszkańcy Płaskowyżu. Wydzielono tam poszczególne sektory objęte besą – kto na takim terenie

zabił człowieka, ściągał na siebie zemstę całej gminy. Na Wielkiej Drodze Gminnej na przykład odcinek Kamiennego Mostu przy Wielkich Platanach był pod besą krainy Nikajów i Szalów. Jeśli spotkała tam kogoś krzywda, do nich należała zemsta. Podobnie na Drodze Cienia: odcinek od Pól Reka do Głuchego Młyna był objęty besą. Korzystała z niej także Droga Kóz Strzygących Uszami aż do Zimnego Potoku. Konaki* Nikajów i Szalów były również pod ochroną besy. Podobnie Stara Karczma przy Drodze Krzyża, z wyjątkiem stajni; Karczma Młodej Wdowy i odcinek długości czterystu kroków od jej północnej bramy; osiem wąwozów Potoku Czarownic w promieniu czterdziestu kroków; konaki Rezy; pastwiska Bocianów.

Usiłował przypomnieć sobie inne miejsca objęte besą oraz takie, gdzie nie wolno było dokonywać zemsty. Na przykład wszystkie młyny i obszar dokoła nich w promieniu czterdziestu kroków; wodospady i obszar dokoła nich w promieniu czterystu kroków – hałas kamieni młyńskich i huk wody mogłyby zagłuszyć ostrzeżenie mściciela. Kanun uwzględniał wszystko. Mark Ukaczjera zastanawiał się często, czy owe przywileje powodują zmniejszanie się, czy wzrost ilości wendet. Raz zdawało mu się, że bezpieczeństwo gwarantowane wędrowcom w tych różnych miejscach oddala śmierć, a czasem myślał coś wręcz przeciwnego. Droga lub karczma, chronione przez besę i obiecujące zemstę za każdego zabitego tam człowieka, dają początek nowym wendetom. Wszystko to było dla Marka mgliste i dwuznaczne, jak zresztą wiele tekstów w Kanunie.

To samo pytanie zadawał sobie kiedyś na temat licznych ballad o wendetach śpiewanych na całym Płaskowyżu. Wiele pieśni krążyło po wsiach w różnych gminach. Słyszało się je na wszystkich drogach, we wszystkich zajazdach. Trudno było stwierdzić, czy wpływały na zwiększenie, czy na zmniejszenie liczby śmierci. Na jedno i na drugie zarazem. Przekazywano sobie z ust do ust rozmaite opowieści o wydarzeniach dawnych i nowszych,

* Konak (alb.) – dom mieszkalny całkowicie lub częściowo drewniany, często jodnopiętrowy.

snuto je w zimowe noce przy ogniu, a potem rozchodziły się w świat razem z podróżnymi i powracały pewnego wieczoru w zmienionym kształcie, tak jak po latach powraca zmieniony wędrowiec. Niektóre z tych historii odnajdywał czasem w tych obrzydliwych pismach, gdzie leżały jak w trumnach. Rzeczy wydrukowane w książkach były dla Marka tylko trupem żywych historii, recytowanych lub śpiewanych przy akompaniamencie gęśli.

Tak czy owak wiązało się to wszystko z jego pracą. Dwa tygodnie temu, książę, szykujący się do udzielenia mu nagany za zły stan spraw, dał mu to do zrozumienia. Jego słowa były dość niejasne, ale sens był mniej więcej taki: jeśli jesteś zmęczony swoją pracą, pamiętaj, że wielu ludzi chętnie ją przyjmie i to nie byle kto, ludzie z uniwersyteckim przygotowaniem.

Książę po raz pierwszy mówił o Uniwersytecie z pewną groźbą w głosie. Już przy innych okazjach radził Markowi, aby z pomocą księdza zgłębiał wszystkie zagadnienia dotyczące wendety. Teraz mówił ostro. Na wspomnienie tego Mark czuł ucisk w skroniach. „Proszę bardzo, weź któregoś z tych wykształconych ludzi, cuchnących perfumami, i daj go na moje miejsce – mruczał do siebie – zatrudnij wykształconego włodarza krwi, a kiedy ten wymoczek oszaleje po trzecim tygodniu pracy, wspomnisz sobie Marka Ukaczjerę”.

Przerzucił teraz w myślach różne hipotezy, ale jak zawsze doszedł do wniosku, że książę w końcu okaże skrucę, a on odniesie triumf. „W każdym razie muszę zrobić objazd całego Płaskowyzu” – przyrzekał sobie, gdy odpłynęła fala chwilowego upojenia. Dobrze się przygotowuje do raportu, tak jak zrobił to cztery lata temu, podając księciu dokładne dane o sytuacji aktualnej i prognozy na przyszłość. Może sprawy księcia również nie układają się najlepiej i Mark spełniał rolę kozła ofiarnego. Zresztą nieważne, książę był jego panem i osądzanie go nie należało do podwładnego. Całkiem już pozbył się gniewu. Opuściło go chwilowe napięcie spowodowane porywem złości, rozluźnił się i zeglował znowu daleko, gdzieś w górach. Tak, naprawdę, koniecznie musi udać się w tę podróż. Zwłaszcza że nie czuł się do-

brze. Może zmiana otoczenia zmniejszy trochę niepokój, który go ostatnio trawił. I może skończy się bezsenność. Poza tym lepiej będzie zniknąć na jakiś czas z oczu księcia.

Powoli, uporczywie, choć bez szczególnego podniecenia rozważał projekt tej inspekcji. I znów, podobnie jak przedtem, przesuwały się w jego wyobraźni drogi, po których miał podróżować. Obecnie jednak wyglądały one inaczej, bo je przymierzał do swoich butów lub końskich podków. Inne również wydawały się oberże i domy, w których może przyjdzie mu nocować; słyszał już rzenie koni nocą i czuł ukąszenia pluskiew.

Byłaby to podróż służbowa, powinien by w tym czasie sprawdzić to wszystko, co w jego umyśle przybierało kształt młyna śmierci; musi skrupulatnie przejrzeć cały mechanizm, niezliczone tryby, koła, kamienie młyńskie; musi zorientować się, co się pokryło rdzą, co zostało zerwane, co powoduje blokadę.

„Och!” – jęknął z bólu wskutek nagłego skurczu żołądka, miał ochotę powiedzieć do siebie: „Lepiej zobacz, co w tobie jest zepsute”, ale nie dokończył tej myśli. Może dzięki zmianie powietrza zdoła wypełnić dręczącą go pustkę. Tak, tak, trzeba wyruszyć jak najszybciej, opuścić te miejsca, obejrzeć wszystko bardzo dokładnie, przeprowadzić długie rozmowy, zwłaszcza z interpretatorami Kanunu, zasięgnąć ich opinii, wejść do wież odosobnienia, spotkać się z księżmi, spytać ich, czy niektórzy ludzie nie buntują się przeciw Kodeksowi, zanotować ich nazwiska, prosić księcia, aby skazał ich na wygnanie, i tak dalej. Mark Ukaczjera ożywił się. Tak, doprawdy, mógłby sporządzić dla księcia szczegółowy raport o tych wszystkich sprawach. Mark zaczął krążyć po bibliotece. Od czasu do czasu zatrzymywał się przy oknie i gdy po chwili wpadała mu do głowy nowa myśl, znówu zaczynał chodzić. Myślał o egzegetach Kanunu, których wypowiedzi książkę zawsze wysoko cenił. Było ich około dwustu na całym Płaskowyżu, ale tylko kilkunastu osiągnęło sławę. Musi się spotkać przynajmniej z najbardziej znanymi. Byli oni podporą Kanunu, mózgiem Płaskowyżu; na pewno wyraziliby swą opinię o sytuacji, a być może daliby jakąś radę, aby ją poprawić. Ale nie powinien przestać na tym. Rozum nakazywał mu, aby

zejść do samej bazy śmierci, do zabójcy. Będzie musiał wejść do wież odosobnienia, porozmawiać w cztery oczy z zamkniętymi tam ludźmi, tymi, którzy byli chlebem i solą Kanunu. Ostatnia myśl ucieszyła go szczególnie. Najmędrsze wypowiedzi z ust słynnych egzegetów nie zmieniały faktu, że ostatnie słowo w sprawach śmierci należało, według Kanunu, do ludzi zwanych obrońcami prawa.

Potarł ręką czoło usiłując przypomnieć sobie precyzyjnie zgromadzone dane sprzed dwu lat. Na terenie Płaskowyżu istniały sto siedemdziesiąt cztery wieże odosobnienia, w których zamkniętych było kilka tysięcy ludzi. Próbował je sobie wyobrazić, z rzadka stojące, ponure, brzydkie, z czarnymi strzelnicami i bramami. Przypomnił sobie te wieże i kanały irygacyjne – jedną z przyczyn odosobnienia – drogi i karczmy pod ochroną besy, interpretatorów Kanunu i kronikarzy, i pieśni. Oto śruby, pasy i tryby tej starej maszyny działającej nieprzerwanie od stuleci. Od stuleci, powtórzył. Dzień w dzień, noc w noc. Bez ustanku. Latem i zimą. Aż nadszedł siedemnasty dzień marca, który zakłócił ustalony porządek. Mark znów westchnął na wspomnienie tamtego dnia. Miał wrażenie, że gdyby ten dzień przebiegł rzeczywiście tak, jak się zapowiadał, cały młyn śmierci, koła, ciężkie kamienie, liczne sprężyny i tryby zazgrzytałyby złowrogo, zatrzęsłyby się i wreszcie rozpadły na tysiące kawałków.

„Boże, spraw, aby taki dzień nigdy nie nadszedł” – szepnęła i znowu poczuł nudności. Do tego uczucia dołączyły się wspomnienia niektórych fragmentów wczorajszej kolacji, niezadowolenie księcia. Niedawne ożywienie natychmiast znikło, a pojawiła się dziwna udreka. „Niech to wszystko diabli wezmą” – powiedział do siebie. Było to cierpienie szczególnego rodzaju: przywodziło na myśl wilgotną szarą maź wdzierającą się powoli wszędzie, bez oporu, bez bólu. Och, tysiące razy wolałby zwyczajny ból! Przed tą mazią nie było żadnej obrony. Cały czas rzucano mu kłody pod nogi, jakby nie miał dość własnych kłopotów, z których nie zwierzał się nikomu. Od trzech tygodni dawały mu się coraz częściej we znaki. Postawił sobie nagle pyta-

nie, odkładane z dnia na dzień i z nocy na noc: czy znów nie zapadł na chorobę krwi?

Poraziła go siedem lat temu. Leczył się u wielu doktorów i brał przeróżne leki, bez rezultatu. Aż wreszcie pewien starzec z Gjakowej powiedział mu: „Niepotrzebnie, mój synu, bierzesz lekarstwa i chodzisz po lekarzach. Ani lekarze, ani lekarstwa nie pomogą na twoją chorobę, cierpisz bowiem na chorobę krwi. – Krew? – zdziwił się. – Ależ ja nikogo nie zabiłem, ojcze. – A starzec odpowiedział mu: – To nic, że nikogo nie zabiłeś, przez samo swoje zajęcie zapadłeś na chorobę krwi”. I zaczął mówić o innych włodarzach krwi, którzy przeważnie mieli te same dolegliwości i, co najgorsze, nigdy się ich nie pozbyli. Jemu udało się wyleczyć w górach. W pobliżu zamku Orosz. Tam wysoko powietrze było zbawienne na takie cierpienia.

Przez siedem lat Mark był spokojny i dopiero ostatnimi czasy choroba dała o sobie znać. „Boże, dlaczego podjąłem się takiej pracy?” Trudno sobie poradzić z krwią jednego człowieka, a cóż dopiero z krwią, której źródło i ujście jest nieznanne. Nie była to pojedyncza krew, ale całe potoki krwi ludzkich pokoleń sączące się po Płaskowyżu, krew młodych i starych, przelewana od lat i stuleci.

„Może jednak cierpię na coś innego” – westchnął w głębi duszy czepiając się ostatniej nadziei. – Może jest to chwilowe przygnębienie, inaczej chyba oszaleję”. Zaczął nasłuchiwać, zdawało mu się, że rozległy się za drzwiami czyjeś kroki. Rzeczywiście z korytarza dochodziło skrzypienie drzwi, szmer kroków i głosy. „Goście chyba wstali” – rzekł do siebie.

Rozdział piąty

Gjorg wrócił do Brezftoht dwudziestego piątego marca. Szedł bez przerwy niemal cały dzień. Droga powrotna, którą przemierzył w półśnie, mniej mu się dłużyła niż droga do zamku. Zdziwił się, gdy stanął u obrzeży swojej wsi. Nie wiedząc czemu, zwolnił kroku. Rozejrzał się po okolicznych wzgórzach. Serce mu zamarło. „Płaty śniegu stopniały” – powiedział do siebie. Ale dzikie granatowce stały na swoim miejscu. Mimo woli odetchnął z ulgą, bo wyobraził sobie, że płaty śniegu byłyby bardziej wobec niego bezlitosne.

Zobaczył „tamto” miejsce... Podczas jego nieobecności wyrosła tam niewielka murana. Gjorg zatrzymał się tuż obok. Przez krótką chwilę miał wrażenie, że skoczy naprzód, zsunie kamienie, roztrąci je na cztery strony świata, nie zostawiając po nich ani śladu. Jedną ręką szukał gorączkowo jakiegoś kamienia na nawierzchni drogi. Znalazł go wreszcie i niemal bezwiednie, jakby ręka była na pół oderwana od ciała, cisnął nim w mogiłę. Kamień zadźwięczał głucho, przeturlał się kilka razy i zatrzymał wśród innych głazów. Gjorg nie spuszczał z niego oczu, jak gdyby obawiał się, że się jeszcze przemieści, ale wyglądał na nowym miejscu tak naturalnie, jakby leżał tu od dawna.

Wpatrywał się nieruchomo w muranę. Tyle pozostawało z... (chciał powiedzieć: „z ludzkiego życia”), ale w głębi duszy pomyślał: „Tyle pozostanie po mnie”.

Lęki, bezsenne noce, milczące utarczki z ojcem, wahanie, rozmyślanie, cierpienie, wszystko kończyło się na tych nagich, pozbawionych sensu kamieniach. Próbował odejść, ale mógł. Świat wokół zaczął się gwałtownie rozptywać, wszystko zacierało się; na powierzchni ziemi pozostał tylko on, Gjorg, i ta

mogiała. Dlaczego? Czemu to wszystko służy? Pytanie było nagie jak te kamienie; sprawiało ból. Boże, jak bolało! Spróbował w końcu poruszyć się, oderwać od mogiły, uciec jak najdalej, choćby do piekła, dokądkolwiek, byle daleko stąd.

Rodzina przyjęła Gjorga serdecznie i spokojnie. Ojciec wypytywał go pokrótce, matka, spuściwszy oczy, spoglądała na niego ukradkiem. Powiedział, że jest bardzo zmęczony długą drogą i brakiem snu i chciałby się położyć. Przez długi czas kroki i szepty w domu zaciskały się niczym szpony na jego śnie, ale wreszcie udało mu się zasnąć. Nazajutrz obudził się późno. „Gdzie ja jestem?” – zastanawiał się i znów zasypiał. Kiedy wreszcie wstał, głowę miał ciężką i jakby wypchaną gąbką. Nic mu się nie chciało. Nawet myśleć.

Minął jeden dzień, potem następny i jeszcze następny. Gjorg obchodził po kilka razy całe obejście, przyglądał się obojętnie to uszkodzonym partiom ogrodzenia, które od dawna czekały na naprawę, to części dachu zniszczonej ubiegłej zimy. Nie miał jednak serca do pracy. Najgorsze było to, że wszelkie naprawy wydawały mu się niepotrzebne.

Marzec dobiegał końca. Wkrótce nadejdzie kwiecień. Z pierwszą połową białą, z drugą czarną. Kwiecień-śmiercień. Zginie albo będzie usychał w wieży odosobnienia. Wzrok osłabnie mu w ciemnościach i nawet jeśli zostanie przy życiu, nie będzie już mógł oglądać świata.

Otrząsnął się wreszcie z apatii i trochę się ożywił. Przede wszystkim zaczął szukać jakiegoś sposobu ucieczki przed śmiercią i ślepotą. Było tylko jedno wyjście, myślał o nim długo: zostać wędrownym drwalem. Zwykle chwyтали się tego zajęcia górale, którzy opuścili Płaskowyż. Z siekierą na ramieniu (trzonek po kaftanem, a nad karkiem połyskliwe ciemne ostrze przypominające rybią płetwę) chodzili od miasta do miasta wołając głosem monotonnym i smutnym: „Drzewo rąbię, drzewo!” Nie, już lepiej zostać tu, gdzie czeka go kwiecień-śmiercień (był teraz pewny, że ten termin, istniejący tylko w jego świadomości, jest

powszechnie zrozu miały, a nawet używany), lepiej zostać niż włączyć się po nasiąkniętych deszczem miastach, niż być nieszcześnym bezdomnym drwalem pracującym przy zakratowanych otworach piwnicznych pokrytych czarnym kurzem (widział kiedyś w Szkodrze górala rąbiącego drwa przy takim właśnie otworze). Nie, po stokroć nie, raczej kwiecień-śmiercień!

Pewnego ranka, a był to przedostatni dzień marca, stanął na kamiennych schodach twarzą w twarz z ojcem. Zapadło nieznośne milczenie. Spoza tego milczenia jak zza ściany wydobyły się słowa ojca:

– Mów, Gjorg, co mi masz do powiedzenia?

Odparł:

– Chciałbym, ojcze, przez te ostatnie dni pochodzić po górach.

Ojciec spojrział mu głęboko w oczy, bez słowa. „W gruncie rzeczy – myślał na pół przytomnie Gjorg – wszystko to jest bez znaczenia”. Nie warto znowu sprzeciwiać się ojcu. Dość już było między nimi milczących waśni. Dwa tygodnie wcześniej czy później nic tu prawie nie zmienia. Mógł obejść się bez widoku gór. W gruncie rzeczy było to czcze pragnienie. Chciał powiedzieć: „Nie, ojcze, to nie ma sensu”, ale ojciec już wchodził po schodach.

Wkrótce wrócił niosąc w rękę sakiewkę. Była malutka w porównaniu z tą od podatku za krew. Wręczył ją synowi.

– Idź, Gjorg. Szczęśliwej drogi.

Gjorg wziął sakiewkę.

– Dziękuję, ojcze.

Ojciec nie spuszczał z niego wzroku.

– Tylko nie zapominaj – rzekł ściszym głosem – że besa kończy się siedemnastego kwietnia. Nie zapominaj, mój synu – powtórzył raz jeszcze.

Gjorg od kilku dni włączył się po okolicy. Wiele różnych dróg. Tu i tam karczmy przy traktach. Obce twarze. Z rzadka opuszczając swą wieś sądził zawsze, że Płaskowyż jest martwy,

zwłaszcza zimą. Tymczasem było odwrotnie. Płaskowyz tętnił życiem. Fala ludzka płynęła nieustannie z jego obrzeży do jego centrum lub w kierunku przeciwnym. W obie strony; jedni szli w górę, inni w dół; a najczęściej wszyscy i pieli się, i schodzili podczas tej samej podróży, a robili to tyle razy, że u kresu drogi nie wiedzieli już, czy znajdują się powyżej, czy poniżej punktu wyjścia.

Gjorg niekiedy myślał o upływie dni. Bieg czasu wydawał mu się niezwykły. Do pewnej godziny dzień włókł się bez końca, potem nagle załamywał się i umierał, jak kropla wody, która, drżąc przez chwilę na kwiecie brzoskwini, zniecka spada. Zaczął się już kwiecień, ale wiosna wciąż jeszcze nie mogła się rozgościć. Nieraz prześladowała go wizja niebieskawej zasłony rozpostartej nad wysokimi górami, która stawała się nie do zniesienia. „A więc mamy kwiecień – mówili wszędzie podróżni w rozmowach w karczmach. – Wreszcie przybyła wiosna. Bardzo spóźniona w tym roku”. Przypominało mu się wtedy upomnienie ojca, a właściwie tylko ostatnie słowa: „mój synu”, myślał też o pierwszej połowie kwietnia, o dniach od pierwszego do siedemnastego i o tym, że wszyscy inni mają przed sobą cały kwiecień, jego zaś jest okaleczony, ścięty jak pień. Starał się o tym zapomnieć i przysłuchiwał się rozmowom ludzi, którym, ku jego zdziwieniu, mogło brakować chleba i soli w torbie, ale nigdy nie brakowało opowieści.

W karczmach można było usłyszeć wiele historii o rozmaitych wydarzeniach, ludziach i czasach. Gjorg zawsze trzymał się trochę na uboczu, słuchał, zadowolony, że nikt go nie zaczepia. Chwilami gubił wątek, próbował wychwycić niektóre fragmenty opowieści i dopasować je do swego życia lub, odwrotnie, włączać fragmenty swego życia w opowieści, ale nie zawsze to się udawało.

I może tak toczyłyby się rzeczy do końca jego podróży, gdyby nie przypadek. Pewnego dnia w oberży Nowa Karczma (większość oberż nosiła nazwy Stara lub Nowa Karczma), usłyszał rozmowę o powozie... O powozie obitym wewnątrz czarnym aksamitem... O powozie o wymyślnym kształcie... „Czyżby ona?”

– pomyślał i wyteżył słuch. Tak, to ona. Mówili teraz o pięknej kobiecie z miasta o jasnych oczach i kasztanowych włosach.

Gjorg drgnął. Nie wiadomo czemu, rozejrzał się wokoło. Była to zwykła sala oberży, brudna, nasiąknięta cierpką wonią dymu i mokrej wełny i, jakby tego było mało, z ust człowieka, który mówił o tej kobiecie, dobywał się przykry zapach tytoniu i cebuli. Gjorg spoglądał kolejno na wszystkich, jak gdyby chciał im powiedzieć: „Ludzie, czy w takim miejscu godzi się wymawiać jej imię?” Ale obecni śmieli się i nie przerywali rozmowy. Gjorg zamarł jak złapany w pułapkę, słuchał i nie słuchał, w uszach mu szumiało. Zrozumiał nagle z całą jasnością przyczynę, dla której odbywa tę włóczęgę. Nie chciał się do niej przed samym sobą przyznać. Uparcie ją odpędzał, gdy się tylko pojawiała, odpychał ją, ale tkwiła w głębi jego istoty: wyruszył w drogę nie po to, aby oglądać góry, ale przede wszystkim po to, by zobaczyć raz jeszcze tę kobietę. Szukał powozu o zaokrąglonych liniach, który toczył się bez przerwy po Płaskowyżu, on zaś szeptał z daleka: „Dlaczego błądasz się w tych stronach jak motyl?” W rzeczywistości powóz swym ponurym wyglądem, klamkami z brązu, zawitym kształtem przypominał mu trumnę, którą widział podczas swej jedynej podróży do Szkodry, w Wielkim Kościele, wśród uroczystości pogrzebowych i przy poważnej muzyce organowej. Wewnątrz tego powozu-trumny, powozu-ważki było spojrzenie tej kobiety o kasztanowych włosach, które napełniało go taką czułością i wzruszeniem, jak żadnej dotąd istoty ludzkiej. Wiele razy w życiu patrzył dziewczynom w oczy i wiele z tych oczu, gorących, wstydliwych, niepokojących, delikatnych, przebiegłych, dumnych oddawało mu spojrzenie, ale takich oczu nie spotkał nigdy. Były jednocześnie dalekie i bliskie, przejrzyste i zagadkowe, nieczułe i współczujące. Oczy te budziły pragnienie, ale miały też w sobie coś osłabiającego, coś, co przenosiło daleko, poza życie, poza grób, gdzieś, gdzie osiąga się spokój.

Nocami (które strzępy snu starały się zapełnić jak pojedyncze gwiazdy usiłują zaludnić ciemne, jesienne niebo) oczy te były jedyną wizją nie zacieraną przez sen. Były wewnątrz niego jak zabiony brylant skupiający cały blask świata.

Tak, aby spotkać te oczy, wyruszył na wędrowkę po Wielkim Płaskowyżu. A tu mówiono o tej kobiecie jak o kimś zwykłym; w brudnej karczmie, w cierpkim dymie, ustami o zepsutych zębach. Zerwał się nagle na nogi, zsunął strzelbę z ramienia, wystrzelił raz, dwa razy, trzy, cztery. Zabił wszystkich, potem tych, którzy pospieszili na pomoc, oberżystę i znajdujących się tu przypadkowo żandarmów. Wybiegł na dwór i strzelał do pogoni, jeszcze do innych ludzi, do całych wsi i gmin... Wszystko to wydarzyło się istotnie w jego wyobraźni, w rzeczywistości wstał tylko i wyszedł z oberży. Zimny wiatr ochłodził mu czoło. Znieruchomiał na chwilę z półprzymkniętymi oczami, i nagle ni stąd, ni zowąd przypomniał sobie zdanie, które usłyszał parę lat temu w wilgotny dzień wrześniowy, gdy czekał w długiej kolejce przed gminnym składem kukurydzy: „Wiecie, że ponoć dziewczyny z miasta całują w usta?”

Jakże często coś rozpraszało go w tej wędrowce, coś przykuwało jego uwagę. Gjorg miał więc coraz silniejsze wrażenie, że droga się rwie lub że umyka wielkimi skokami, że tu i ówdzie przerywa ją próżnia. Dziwił się często, że wciąż jeszcze znajduje się na trakcie lub w karczmie, kiedy przekonany był, że jest na innej drodze lub w innej karczmie, które opuścił kilka godzin wcześniej. Tak z godziny na godzinę, z dnia na dzień odrywał się od rzeczywistości i jego wędrowka przypominała raczej błąkanie się we śnie.

Nie ukrywał już przed sobą, ani nawet przed ludźmi, że szuka powozu. Wiele razy pytał: „Nie widzieliście przypadkiem powozu o dziwacznych kształtach z takimi... nie potrafię tego nazwać...” „Jak, jak? – odpowiadano mu – wytłumacz, o co ci chodzi, co to za powóz?” „Powóz nie podobny do innych... – wyjaśniał – z czarnym aksamitem... z ozdobami z brązu... jak trumna...” „Mówisz serio, czy bredzisz? – słyszał w odpowiedzi. – Czy aby jesteś przy zdrowych zmysłach, człowieku?”

Pewnego razu ktoś mu powiedział, że widział taki właśnie powóz, okazało się jednak, że należał on do biskupa z sąsied-

niej gminy, który, rzecz dziwna, podróżował w tak brzydką pogodę.

„Niech sobie mieszkają w ohydnych karczmach, niech nawet mają zepsute zęby, byle mi o niej mówili” – powtarzał w duchu.

Kilkakrotnie był przekonany, że jest na tropie, ale gubił go zaraz potem. Bliskość śmierci sprawiała, że jeszcze mocniej pragnął tego spotkania. Pragnienie to wzmagają także wszystkie przebyte ścieżki.

Pewnego dnia zobaczył mężczyznę jadącego na mulicy. Był to włodarz krwi z Oroszu. Bóg raczył wiedzieć, dokąd jechał. Odwaliwszy się nieco Gjorg odwrócił głowę, jakby chciał się upewnić, że jest to istotnie włodarz krwi. Tamten również się za nim obejrzał. „Co mu się stało?” – pomyślał Gjorg.

Kiedyś powiedziano mu, że przejeżdżał powóz odpowiadający dokładnie jego opisowi, ale był pusty. Kiedy indziej opisano go ze wszystkimi szczegółami, mówiono nawet o głowie pięknej kobiety, której włosy przez szybę wydawały się jednym barwy kasztanów, a innym – barwy orzechów.

„W każdym razie jest jeszcze na Płaskowyżu – myślał. – W każdym razie nie wróciła w doliny”.

Kwiecień tymczasem szybko przemijał. Dni pędziły bez wytchnienia. I tak był to dla niego najkrótszy z miesięcy i w dodatku kurczył się i wyczerpywał gwałtownie.

Nie wiedział, w którą iść stronę. Nieraz tracił czas ruszając fałszywym tropem, a nieraz przypadkiem wracał do miejsca, w którym już był. Coraz bardziej nękała go obawa, że wciąż nie posuwa się we właściwym kierunku. W końcu doznał wrażenia, że będzie tak szedł fałszywym tropem – on, nieszczęsny, błędzący pielgrzym – aż po kres tych nielicznych dni, które mu jeszcze zostały w świątym niczym pień kwietniu.

Rozdział szósty

Besian i Diana wciąż podróżowali po Płaskowyżu. Besian obserwował z boku profil żony. Rysy miała lekko ściągnięte, była nieco blada, co czyniło ją, jak parę dni temu, jeszcze piękniejszą. „Jest zmęczona – pomyślał – choć nie chce się do tego przyznać”. Od kilku dni wyczekiwał tych kilku zwykłych słów: „Uf, ależ jestem zmęczona!” Czekał na te słowa niecierpliwie, gorączkowo, jak na zbawcze lekarstwo – i nadaremnie. Siedziała z pobladłą twarzą i patrzyła na drogę prawie się nie odzywając. Jej spojrzenie, które zawsze rozumiał, nawet w momentach gniewu czy upokorzenia, stało się nieodgadnione. Żeby chociaż jej oczy wyrażały niezadowolenie lub bodaj chłód! Było jednak w tym spojrzeniu coś innego: bezdenne otchłań, której tylko krawędzie były widoczne.

Siedząc obok siebie wymieniali z rzadka jakieś uwagi. Chwilami próbował wprowadzić cieplejszą atmosferę, ale nie chcąc się poniżyć robił to bardzo dyskretnie. Najgorsze było to, że nie mógł się na nią złościć. Z doświadczenia z kobietami wiedział, że wybuch gniewu bądź kłótnia może czasem przełamać bezwład, sytuacje bez wyjścia, jak burza, która rozpędza duszącą parność. W oczach Diany było jednak coś, co, jak w oczach kobiet ciężarnych, broniło ją przed gniewem. W pewnej chwili powiedział niemal głośno: „Czyżby spodziewała się dziecka?” Ale szybko sobie obliczył i rozwiła się ostatnia nadzieja. Zdławił westchnienie i nadal wyglądał przez okno. Zmierzchało.

Trwał w tym stanie ducha, póki na nowo nie zaczął się zastanawiać i nie znalazł się w tym samym punkcie. Gdyby chociaż wyznała mu, że ta podróż wcale jej nie odpowiada, że jest całkowicie zawiedziona, że pomysł spędzenia miesiąca miodowego na Płaskowyżu okazał się niewypałem i że najlepiej by było, gdyby

wrócili dzisiaj, natychmiast, do domu. Kiedy jednak chciał jej ułatwić wyrażenie takiej decyzji i napomknął o wcześniejszym powrocie, Diana, zamiast pochwyć jego sugestię, rzekła po prostu: „Jak chcesz, w każdym razie mną się nie przejmuj”.

Tak, na pewno myśl o przerwaniu podróży i powrocie nachodziła go coraz częściej, miał jednak niejasną nadzieję, że coś jeszcze da się naprawić. Przekonany był nawet, że jeśli istotnie ma się coś naprawić, jest to możliwe na Płaskowyżu, bo gdy wróca, będzie już na wszystko za późno.

Noc zapadła na dobre, nie mógł rozróżnić rysów jej twarzy. Kilka razy wyrzwał przez okno, ale nie udało mu się zorientować, gdzie się znajdują. Kiedy nieco później księżyc oświetlił drogę, Besian przyłgnął czołem do szyby i nie zmienił pozycji, póki drgania zimnej szyby nie przeniknęły go na wskroś. Droga w blasku księżyca wyglądała jak ze szkła. Po lewej stronie przesunęła się sylwetka kościółka. Potem ukazał się młyn wodny, który na tym pustkowiu mełł zapewne śnieg zamiast kukurydzy. Besian ujął żonę za rękę.

-- Spójrz, Diano – rzekł cicho. – Wydaje mi się, że jest to droga objęta besą.

Wyrzała przez okno. Tłumaczył jej półgłosem posługując się oszczędnym słownictwem i – jak sam zauważył – coraz sztuczniejszą składnią, co to jest droga objęta besą. Miał wrażenie, że lodowata światłość księżyca ułatwia mu to zadanie.

Gdy zabrakło mu słów, przysunął się bliżej i pocałował Dianę nieśmiało w szyję. Promienie księżyca musnęły kilka razy jej kolano. Nie zrobiła najmniejszego ruchu, nie przytuliła się, nie odsunęła. Wdychał jej zapach, tak znany mu, tak bliski i z trudem powstrzymywał się od skargi. Miał jeszcze nadzieję, że coś się w niej odblokuje, że usłyszy jej szloch, bodaj najlżejszy lub choćby krótkie westchnienie. Ale Diana trwała nadal pograżona w swoim dziwnym, z rzadka tylko przerywanym milczeniem, samotna jak pole obsiane gwiazdami. „Mój Boże – pomyślał – co mnie spotyka?”

Niebo było tylko w połowie zasnutę. Konie stąpały rażno po źle wybrukowanej drodze. Była to Droga Krzyża. Besian parzył przez szybę na znany już sobie krajobraz. Tylko że teraz, miejscami, raz dalej, raz bliżej, krył się za niebieskawą zasłoną. Śnieg zaczął topnieć, najpierw tuż przy ziemi, i górne jego warstwy tworzyły rodzaj zaskorupiałego nawisu, który tajał bardzo powoli.

– Którego dziś mamy? – spytała Diana.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Jedenastego – odparł po chwili.

Wydawało mu się, że Diana chce jeszcze coś dodać. „Mów! – krzyknął w duszy. – Mów, błagam cię!” Niczym ciepły opar zalała go fala powracającej nadziei. „Powiedz byle co, ale powiedz!”

Jej wargi, które obserwował kątem oka, znów poruszyły się i dobyło się z nich, pod inną chyba postacią, to niedopowiedziane poprzednio zdanie:

– Czy pamiętasz górala, którego widzieliśmy jadąc do księcia?

– Tak – odrzekł. – Naturalnie.

To „naturalnie” powiedział tak naturalnym tonem. Poczuł litość dla siebie, choć nie bardzo wiedział dlaczego. Może dlatego, że tak gorliwie, za wszelką cenę chciał podtrzymać rozmowę. A może z innego, bliżej nieokreślonego powodu.

– Zdaje się, że jego besa wygasa w połowie kwietnia?

– Tak – powiedział. – Mniej więcej. Tak, tak, właśnie w połowie kwietnia.

– Nie wiem, dlaczego o tym pomyślałam – powiedziała nie odrywając wzroku od okna. – Ot, tak sobie.

„Ot, tak sobie” – powtórzył. Słowa te wydały mu się zgubne jak pierścień ukrywający truciznę. Gdzieś w głębi zaczął się w nim rodzić gniew. „A więc wszystko to robisz ot, tak sobie? Ot, tak sobie, żeby mnie dręczyć. Co?” Ale przyptył złości już się cofnął.

Wiele razy w ciągu ostatnich dni odwracała nagle głowę, aby przyjrzeć się młodym góralom, których mijali po drodze. Wiedział, że szuka mężczyzny z oberży, ale nie przywiązywał do

tego wagi. Nawet teraz, gdy o nim wspomniała, przyjął to obojętnie.

Powóz zatrzymał się gwałtownie.

– Co się dzieje? – zawołał przed siebie Besian.

Woźnica zszedł z koźła i po chwili pojawił się za oknem. Wyciągniętą ręką wskazywał drogę. Dopiero wówczas Besian zobaczył starą góralkę, przycupniętą na poboczu. Patrzyła w ich stronę i mamrotała coś pod nosem. Besian otworzył drzwiczki.

– Tam przy drodze siedzi stara kobieta, mówi, że nie może się ruszać – tłumaczył woźnica.

Besian wysiadł, zrobił kilka kroków dla rozluźnienia zeszywniałych mięśni i podszedł do starej, która wydawała od czasu do czasu żalosne jęki obejmując rękami jedno kolano.

– Co ci jest, matko? – spytał Besian.

– Och, to przez ten przekłety kurcz – rzekła stara. – Od rana jestem przykuta do tego miejsca, mój synu.

Miała na sobie, jak wszystkie tutejsze góralki, płócienną kieckę ozdobioną haftem, a na głowie chustkę, spod której wymykał się kosmyk siwych włosów.

– Od rana czekam na jakieś boskie stworzenie, co by mi pomogło stąd się wydostać.

– Skąd jesteś? – spytał woźnica.

– Z tamtej wsi – wskazała ręką gdzieś przed siebie. – To niedaleko. Przy głównej drodze.

– Zabierzemy ją – powiedział Besian.

– Dziękuję, mój synu – odparła.

Besian i woźnica ostrożnie ujęli starą pod pachy i zaprowadzili do powozu. Diana obserwowała ich zza szyby.

– Dzień dobry, córko – powiedziała stara, gdy wreszcie znalazła się w powozie.

– Dzień dobry, matko! – odrzekła Diana robiąc jej miejsce.

– Ach – powiedziała stara, gdy powóz ruszył – cały ranek siedziałam sama na drodze, wokoło żywej duszy. Myślałam, że już tam zdechnę.

– Rzeczywiście – przytaknął Besian. – To droga prawie nie uczęszczana. Czy duża jest wasza wieś?

– Tak, duża – odparła stara i zasępiła się. – Jest bardzo duża, daję słowo, ale co z tego...

Besian przypatrywał się uważnie pociemniałej twarzy starej kobiety. Wydawało mu się nawet, że dostrzegł w niej wrogość do wszystkich mieszkańców wsi, ponieważ zapomniano o niej, ponieważ nikt nie pospieszył jej z pomocą. Na starczej twarzy malowało się jednak uczucie silniejsze niż chwilowa uraza.

– Tak, moja wieś jest duża, ale większość ludzi żyje w zamknięciu. Dlatego byłam sama, opuszczona na drodze i mało mi do śmierci brakowało.

– Żyją w zamknięciu z powodu długu krwi?

– Zgadłeś, synu, przez krew. Aż tak to jednak u nas nie było. Zabijano się, a jakże, ale nigdy tak jak ostatnio.

Stara odetchnęła głęboko.

– Na dwieście kulli w naszej wsi tylko dwadzieścia nie jest zadłużonych.

– Czyż to możliwe?

– Sam zobaczysz, synu. Powietrze u nas jest zatrute, jakby przeszła zaraza.

Besian wyjrzał przez okno; wsi jeszcze nie było widać.

– Dwa miesiące temu sama pochowałam bratanka. Był piękny jak anioł.

Zaczął opowiadać o tym bratanku, opisywała jego śmierć i – rzecz dziwna – w miarę jak mówiła, coraz bardziej załamywał się szyk wyrazów w zdaniach. Wydłużały się również odstępy między wyrazami, jakby je rozgarniał prąd powietrza, niosący z sobą żal i niepokój. Niczym dojrzewający owoc jej mowa ulegała przemianom, zapowiadającym śpiew lub zawodzenie. „Tak chyba rodzą się pieśni” – pomyślał Besian.

Nie spuszczał wzroku ze starej góralki. Jej twarz także się zmieniała. Oczy jej płakały, choć nie było w nich ani jednej łzy.

Powóz wjechał do wsi; stukot kół rozlegał się echem na pustej drodze. Po obu stronach wznosiły się kamienne kulle. Były jeszcze cichsze w blasku dnia.

– To jest kulla Szkrelów, a tamta Krasniciów. Ich krew tak się pomieszała, że nikt dobrze nie wie, na którą rodzinę przypada

teraz zemsta. W końcu i jedni, i drudzy pozamykali się w swoich domach. Tamta, co ma trzy piętra, należy do Wizdreciów, kłóca się oni z Bungami; kulla Bungów to ta z czarnych kamieni do połowy ścian. Ledwo ją widać. Tam dalej są kulle Markajów i Dodanajów, także z sobą poważnionych, tej wiosny każdy z tych domów opuściły dwie trumny. Tamte kulle, jeszcze dalej, należą do Ukasów i Kruezezów, a że stoją tak blisko naprzeciw siebie, to nie tylko mężczyźni, ale i kobiety chronią się na górze przed strzałem i nie wychodzą.

Podczas gdy góralka mówiła, Besian i Diana wyglądali to przez jedno okno, to przez drugie, chcąc połapać się w tej dziwnej urbanistyce krwi. Surowa cisza domostw tłumiła wszelkie oznaki życia. Białe słońce, padające ukośnie na kamienie, podkreślało jeszcze wrażenie pustki.

Wysadzili starą mniej więcej pośrodku wsi i poprowadzili do domu. Ruszyli potem przez kamienne królestwo, na które, здаwałyby się, ktoś rzucił urok. „I pomyśleć, że za tymi kamiennymi murami i wąskimi strzelnicami żyją ludzie” – mówił do siebie Besian. Żyją tam dziewczyny o ciepłych piersiach, młode mężatki. Uległ nawet chwilowemu złudzeniu, że poprzez zewnętrzną sztywność słyszy pulsowanie życia, napięte do granic wytrzymałości, bijące w mury jak dźwięki muzyki Beethovena. Kamienne ściany, strzelnice, białe promienie słońca nie przekazywały na zewnątrz żadnego znaku. Nagle zawołał do siebie: „Co cię to wszystko obchodzi? Lepiej zastanów się nad sztywną postawą własnej żony”. Wezbrała w nim fala gniewu, odwrócił się gwałtownie do Diany, chciał przerwać tę nieznośną ciszę, zażądać, by wyjaśniła mu szczegółowo i do końca swoje zagadkowe zachowanie i milczenie.

Nie po raz pierwszy był już bliski wybuchu. Dziesiątki razy układał sobie zdania począwszy od najłagodniejszych: „Powiedz, co ci jest, Diano?”, a skończywszy na ostrych, w których nieodzowne było przywołanie diabła: „Co ci jest, u diabła?”, „Chyba diabeł cię opętał?”, „Idź do diabła!” „W pewnych sytuacjach – myślał – jest to słowo niezastąpione”. Teraz także było to pierwsze słowo, jakie mu przyszło do głowy w przyptywie zło-

ści, gotowe wcisnąć się w każde zdanie, łatwe do użycia, spragnione udziału w kłótni. Tym razem jednak – podobnie jak przedtem – Besian oszczędził żonę; był jeszcze zwrócony w jej stronę, ale zamiast przemówić do niej ostro, skarcił samego siebie, jakby chciał naprawić błąd i ponieść konsekwencje.

Co za diabeł? Unikał, jak poprzednio, odpowiedzi. Później. Może później nadarzy się okazja. Dotychczas nie rozumiał, dlaczego ucieka przed wyjaśnieniem. Pojął to chyba teraz: po prostu bał się odpowiedzi. Był to strach przypominający lęk doznany pewnej zimowej nocy w Tiranie podczas seansu spirytystycznego u jednego z przyjaciół, gdy wywoływali głos zmarłego kolegi. Nie wiadomo dlaczego wyobrażał sobie, że odpowiedź Diany brzmiałaby podobnie jak ten głos z zaświatów.

Dawno już zostawili w tyle straszącą wieś. Powtarzał sobie, że jedynym powodem odkładania rozmowy z żoną jest strach. „Boję się jej wyjaśnień – myślał – ale dlaczego?”

Dręczyło go poczucie winy, które w czasie podróży jeszcze się wzmogło. Poczucie winy zrodziło się w nim dużo wcześniej, może nawet wyruszył w tę podróż po to, aby się od niego uwolnić. Stało się tymczasem odwrotnie. Myślał nawet, że lęk przed wyjaśnieniami Diany ma jakiś związek z jego skrupułami. Besian zadrżał. Nie, niech już lepiej milczy w czasie tej całej kalwarii, niech zamieni się w mumię, niech nie mówi mu rzeczy bolesnych. Chwilami powóz gwałtownie podskakiwał na wybojach. Mijali kałuże ze stopniałego śniegu. Nagle spytała:

– Gdzie zjemy obiad?

Odwrócił głowę ze zdziwieniem. Od tych prostych słów poiwiało ciepłem.

– Gdzie się da – odpowiedział. – Masz jakiś pomysł?

– Nie, nie, tak jest dobrze – odpowiedziała.

Chciał odwrócić się do niej całym sobą, ale powstrzymał go dziwny lęk, wrażenie, że ma obok siebie kruchy przedmiot ze szkła.

– Możemy nawet przenocować w oberży – dodał nie patrząc na żonę. – Co o tym myślisz?

– Jak chcesz.

Poczuł zalewającą mu pierś falę ciepła. Czy to wszystko nie jest o wiele prostsze, niż mu się zdaje? Czyżby, ze swoją skłonnością do komplikowania rzeczy, widział początek dramatu tam, gdzie chodzi po prostu o zmęczenie podróżą lub o zwykłą migrenę?

– W oberży – powtórzył. – W pierwszej napotkanej oberży.

Skinęła potakująco głową.

„Może istotnie tak będzie lepiej” – myślał z radością. Dotychczas nocowali zawsze u obcych, u przyjaciół swoich przyjaciół i te ogniwa łańcucha były do siebie podobne, były powtórzeniem pierwszego wieczoru podróży. Co wieczór powtarzał się mniej więcej ten sam scenariusz: słowa powitania, rozmowa w bawiałni przy kominku o pogodzie, hodowli, zarządzaniu majątkiem, powściągliwe uwagi przy kolacji, potem kawa, a rankiem odjazd z tradycyjną eskortą do granic wsi. Musiało to być nużące dla młodej mężatki.

„Oberża” – cieszył się w duchu. Zwykła przydrożna karczma. Ostatnia deska ratunku. Dlaczego nie wpadł na ten pomysł wcześniej? „Boże, co za głupiec ze mnie” – pomyślał uszczęśliwiony. Karczma, choćby brudna, choćby cuchnąca oborą zbliży ich oboje do siebie, nie zapewni im komfortu, bo go nie ma, ale na tle ubóstwa dużo jaśniej lśni szczęście przyjezdnych gości.

Oberża pojawiła się wcześniej niż oczekiwali. Stała na pustkowiu, przy skrzyżowaniu Drogi Krzyża i Wielkiej Drogi Gminnej. Wokoło żadnej wsi, żadnych oznak życia.

– Co macie do jedzenia? – spytał Besian zaraz za progiem.

Oberżysta, drab z ciężko opadającymi powiekami, wycodził przez zęby:

– Fasolę na zimno.

Ożywił się trochę na widok Diany i woźnicy dźwigającego torbę podrózną, a gdy usłyszał rżenie koni zaprzęgniętych do powozu, zaczął gościom nadskakiwać. Przetarł oczy i odezwał się ochryplym głosem:

– Witam szanownych państwa. Możemy przygotować jaja sadzone z serem. Mam też rakiję.

Usiedli na końcu długiego dębowego stołu, który zajmował, jak w większości oberży, znaczną część głównej sali. Dwaj górale siedzący w kącie na ziemi przyglądali się im ciekawie. Młoda kobieta spała z głową opartą o kołyskę dziecka. Tuż obok niej na różnokolorowych tłumokach leżały gęśle.

Rozglądali się w milczeniu czekając na oberżystę.

– W innych oberżach było tłoczniej – odezwała się wreszcie Diana. – Tu jest całkiem spokojnie.

– Wydaje mi się, że tu jest przyjemniej – Besian spojrzął na zegarek. – Chociaż o tej porze... – Myślami był gdzie indziej, bębnił palcami po stole. – Ale chyba wygląda nieźle?

– Tak, zwłaszcza z zewnątrz.

– Dach jest bardzo spadzisty, takie właśnie ci się podobają.

Kiwnęła głową. Wyrzaz jej twarzy był teraz łagodniejszy mimo zmęczenia.

– Zanocujemy tutaj?

Przy tym pytaniu Besian poczuł głuche bicie serca. „Co się ze mną dzieje?” – pomyślał.

Był bardziej poruszony niż wtedy, gdy po raz pierwszy przysłała do niego jeszcze przed ślubem. „Można oszaleć” – powiedział do siebie.

– Jak chcesz – odrzekła Diana.

– To znaczy?

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Pytałeś, czy chcę tu nocować, prawda?

– A chcesz?

– Tak, oczywiście.

„Wspaniale” – pomyślał. Miał ochotę ucałować tę najdroższą twarz, dręczącą go od tyłu dni. Ogarnęła go czułość, jakiej nigdy dotąd nie zaznał. Po tylu nocach spędzonych osobno będą wreszcie razem w samotnej górskiej karczmie, przy pustych drogach. W gruncie rzeczy to szczęście, że tak się złożyło. Mógł przynajmniej doświadczyć tego rzadkiego uczucia, które jest udziałem niewielu ludzi: mógł przeżyć na nowo pierwszą piesz-

czotę z ukochaną kobietą. Była ostatnio tak daleko, że miał teraz wrażenie, iż odkrywa ją na nowo. A to drugie doświadczenie będzie chyba jeszcze bardziej rozkoszne i podniecające. Słusznie mówi przysłowie: nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Usłyszał za plecami jakiś ruch i oto jawiły się jego oczom krągle elementy zwykłego świata roztaczające pikantny i całkiem niepotrzebny zapach: talerze z sadzonymi jajkami.

Besian spojrział w górę.

– Macie jakiś wygodny pokój?

– Tak, proszę pana – rzekł z przekonaniem oberżysta. – Nawet z kominkiem.

– Naprawdę? To wspaniale.

– Tak, naprawdę – zapewniał oberżysta. – Takiego pokoju nie znajdzie pan nigdzie w okolicy.

„Szczęście mi dopisało” – pomyślał Besian.

– Zaprowadzę tam państwa zaraz po obiedzie – powiedział oberżysta.

– Świetnie.

Besian nie miał apetytu. Diana również nie zjadła jajek. Prosiła o biały ser, ale zostawiła go na talerzu, bo był za twardy, potem zamówiła jogurt i znowu jajka, tym razem na miękko. Besian zamówił to samo, ale nie tknął niczego.

Po skończonym posiłku weszli na górę, aby obejrzeć pokój. Pokój ten, zdaniem karczmarza budzący zazdrość wszystkich oberżystów na Płaskowyżu, przedstawiał się nad wyraz skromnie: dwa okna z drewnianymi okiennicami wychodzące na północ i wielkie łóżko przykryte grubym wełnianym kocem. Rzeczywiście znajdował się w nim kominek, a w popielniku leżało nawet trochę popiołu.

– Piękna izba – powiedział Besian rzucając pytające spojrzenie na żonę.

– Czy można rozpalić na kominku? – spytała oberżystę.

– Oczywiście, proszę pani. I to już, jeśli pani sobie życzy.

Besianowi zdawało się, że dostrzega w oczach Diany pierwszy od bardzo dawna błysk radości.

Oberżysta wyszedł, by po chwili wrócić z naręczem drew.

Rozpalał ogień nieumiejętnie, widać było, że rzadko to robi. Przyglądali mu się, jakby nigdy w życiu nie widzieli ognia na kominku. Wreszcie gospodarz wyszedł. Besian, pozostawszy sam na sam z żoną, znowu poczuł głucho uderzenie w piersi. Raz po raz ukradkiem spoglądał na wielkie łoże z wełnianym kocem koloru mleka, którego sam widok napełniał ciepłem. Diana stała przed ogniem odwrócona do męża plecami. Nieśmiało, jakby zbliżał się do obcej kobiety, Besian podszedł do niej, objął ją, zaczął całować w szyję, zbliżał wargi do jej ust, ale Diana stała nieruchomo ze skrzyżowanymi rękami. Czerwonawy odbłask płomieni padał z boku na jej policzki. Gdy pieszczoty Besiana stały się zbyt natarczywe, szepnęła:

– Nie, nie teraz.

– Dlaczego?

– Za zimno... Zresztą muszę się wykapać.

– Stusznie – powiedział całując jej włosy. Nic więcej nie dodał, zostawił ją i wyszedł. donośny odgłos kroków na korytarzu świadczył, że jest w dobrym humorze. Wrócił po chwili z wielkim wiadrem pełnym wody.

– Dziękuję – rzekła Diana i uśmiechnęła się.

Jak pijany postawił wiadro na ogniu, potem z miną skupioną, jakby się nad czymś konkretnym zastanawiał, zajrzał pod okap kominka, kilka razy powtórzył ten gest, aż wreszcie znalazł to, czego szukał, bo zawołał:

– Jest!

Diana pochyliła się i ujrzała czarny odsadzy koniec żelaznego drąga służącego do zawieszania naczyń nad ogniem, jak w większości chłopskich gospodarstw. Besian podniósł do góry wiadro i oparty wolną ręką o ścianę kominka usiłował zawiesić wiadro na haku.

– Uważaj – powiedziała Diana – oparzysz się.

Ale wiadro już wisało i Besian, zadowolony, chuchał na lekko zaczerwienioną rękę.

– Oparzyłeś się?

– Ach, nic takiego.

Ktoś wszedł po schodach. Był to woźnica z walizkami. Przyglądając mu się z roztargnionym uśmiechem Besian pomyślał, że ci ludzie drepczący z góry na dół i z dołu do góry zabiegają o jego szczęście. Nie mógł opanować podniecenia.

– Może zejdziemy na kawę, przez ten czas woda i pokój się nagrzeją – zaproponował.

– Na kawę? Jak chcesz. Może jednak lepiej się przejdźmy. Ta jazda mnie odurzyła.

Zeszli na dół po trzeszczących schodach. Besian poprosił oberżystę, żeby zajął się tymczasem ogniem.

– Chciałbym wiedzieć, czy jest w okolicy jakiś ładny obiekt, który warto zobaczyć.

– Tutaj? – Oberżysta pokręcił przecząco głową. – Nie, proszę pana, tu jest prawie jak na pustyni.

– Rzeczywiście?

– Tak, chyba że... Zaraz. Ma pan przecież powóz. To zmienia sprawę. Pół godziny drogi stąd, najwyżej trzy kwadranse, jeśli konie są zmęczone, znajdują się Wyżnie Białe Wody, są tam górskie jeziora.

– Wyżnie Białe Wody są tak blisko? – zdziwił się Besian.

– Tak, proszę pana. Pół godziny, najwyżej trzy kwadranse. Goście nie przepuszczają nigdy tej okazji.

– Co o tym myślisz? – zwrócił się Besian do żony. – Jesteśmy co prawda zmęczeni drogą, ale warto obejrzeć tę wieś. Zwłaszcza słynne jeziora.

– Uczyliśmy się o nich na geografii – powiedziała.

– Tam wysoko jest wspaniałe powietrze. A przez ten czas ogrzeje się pokój... – Przerwał i rzucił jej porozumiewawcze spojrzenie.

– Dobrze, jedźmy – zgodziła się Diana.

Oberżysta poszedł po woźnicę, który stawił się, niezbyt tym pomysłem zachwycony. Musiał znowu zaprzęgać konie, ale nie wyraził najmniejszego sprzeciwu. Wsiadając już do powozu Besian jeszcze raz polecił oberżystę, aby pilnował ognia. W ostatnim momencie ogarnęło go zwątpienie, czy postępuje słusznie opuszczając lekkomyślnie z takim trudem wyjednany u Diany

pokój w oberży. Ale natychmiast się uspokoił tłumacząc sobie, że przyjemny spacer polepszy samopoczucie Diany.

Łagodne światło popołudnia otulało ziemię; powietrze było jakby cieplejsze, bo nasycił je purpurowy, nie wiadomo skąd padający blask.

– Dni są coraz dłuższe – powiedział Besian i pomyślał: „Cóż za banały plotę: wypogadza się... dzień jest coraz dłuższy...”

Ludzie nie mający wiele do powiedzenia czepiają się takich zdań, aby wypełnić przerwy w rozmowie. Czyżby on i Diana stali się sobie obcy, że muszą w ten sposób ze sobą rozmawiać? „Ach, dość tego” – pomyślał, jakby chciał odpędzić jakąś przykrość. Stało się.

Po pół godzinie ukazały się ich oczom zabudowania Wyżnich Białych Wód. Kulle z daleka wyglądały jakby pokryte mchem. Tu i ówdzie leżał jeszcze śnieg kontrastujący z czarnymi płatami gołej ziemi.

Powóz jechał przez wieś w kierunku jeziora. Gdy wysiadali, usłyszeli bicie dzwonów kościelnych. Diana zatrzymała się pierwsza. Odwróciła się, jakby chciała odgadnąć, skąd dochodzą te dźwięki, ale nie widać było dzwonnicy. Roztaczał się tylko smutny widok na czarne pasma ziemi pomiędzy płatami śniegu. Odwróciła się tyłem i wsparła o ramię męża. Podeszli ku jednemu z jezior.

– Ile jest tych jezior?

– Zdaje się, że sześć.

Szli obok siebie po brunatnym dywanie z wielu warstw opałych liści, miejscami doszczętnie zbutwiałych, jakby porażonych chorobą, chorobą nadmiaru. Besian wyczuł, że żona chce mu coś powiedzieć. Wydawało mu się, że jest niespokojna i że szelest liści pod stopami tłumi ten niepokój.

– Jest następne jezioro – powiedziała nagle, dostrzegając między sosnami piaszczyste brzegi. A kiedy się odwracał, dodała: – Besianie, z pewnością napiszesz coś lepszego o tych górach.

Odwrócił się gwałtownie, jakby go pchnięto w plecy. Chciał zawołać: „Co takiego?”, ale w ostatniej chwili zdławił okrzyk.

Wolał nie słyszeć jej słów po raz drugi. Miał uczucie, że przyłożono mu do czoła rozpaloną do białości podkowę.

– Po tej podróży – podjęła łagodnie – jasne jest, że... coś prawdziwszego...

– Tak, tak, oczywiście – powiedział. – Oczywiście.

Wciąż nie mógł się pozbyć rozpalonej podkowy na czole. Diana odślaniała przed nim część zagadki... Zagadki swojego milczenia. Nigdy w istocie nie było zagadki w jej milczeniu... Spodziewał się tych słów, był niemal pewny, że nadejdą przed pierwszą nocą ich nowej miłości, że będą ceną porozumienia, układu...

– Rozumiem cię, Diano – odezwał się dziwnie zmęczonym głosem – jest to dla mnie oczywiście dość trudne, ale cię rozumiem...

Przerwała mu.

– Tu jest naprawdę cudownie. Jak to dobrze, że tutaj przyjechaliśmy.

Besian szedł naprzód jak nieobecny. Dotarli do drugiego jeziora i zawrócili. W drodze powrotnej zaczął się uspokajać. Coraz intensywniej myślał o czekającym na nich w oberży ciepłym pokoju z kominkiem.

Doszli do miejsca, gdzie zostawili powóz, nie wsiadli jednak, lecz poszli pieszo do wsi, a woźnica jechał za nimi.

Najpierw spotkali na drodze dwie kobiety niosące na głowie baryłki z wodą. Zwolniły kroku i obserwowały ich przez chwilę. Z bliska – w kontraście ze wspaniałością krajobrazu – kulle sprawiały szczególnie ponure wrażenie. Na uliczkach, zwłaszcza na placu przed kościołem, było pełno ludzi. Czarne lampasy na obcisłych spodniach z grubej mlecznobiałej wełny przywodziły na myśl znak: „Uwaga! Wysokie napięcie”, wyrażając niejako typową nerwowość góralskich nóg.

– Coś się musiało stać – powiedział Besian.

Przeglądali się ludziom usiłując odgadnąć, co też mogło się wydarzyć. Było to raczej wydarzenie natury pokojowej i uroczystej.

– Czy to wieża odosobnienia? – spytała Diana.

– Prawdopodobnie. Na to wygląda.

Diana zwolniła kroku, aby lepiej przyjrzeć się wieży wznoszącej się na uboczu.

– Ten góral, wiesz, ten, o którym dziś mówiliśmy, którego besa w tych dniach wygasa, schronił się w podobnej wieży, co? – spytała.

– Tak, na pewno – odparł Besian nie odrywając wzroku od zgromadzonych ludzi.

– A jeśli po wygaśnięciu besy zabójca znajduje się w drodze, z dala od swojej wsi, czy może ukryć się w jakiejś innej wieży odosobnienia?

– Przypuszczam, że tak. Jeśli podróżnych zaskoczy w drodze noc, to też mogą wejść do pierwszej lepszej oberży.

– Więc istnieje możliwość, że schował się w tej wieży?

Besian uśmiechnął się.

– To możliwe, ale nie sądzę. Wież jest dużo, a spotkaliśmy go bardzo daleko stąd.

Diana raz jeszcze spojrzała na wieżę. Miał wrażenie, że w głębi jej spojrzenia i w kąciakach oczu dostrzegł coś w rodzaju lekkiej zazdrości. Jednocześnie zauważył, że ktoś w tłumie daje mu znaki. Kraciasta kurtka, parę znajomych twarzy.

– Zobacz no, kto tu jest – powiedział Besian robiąc ruch głową.

– O, Ali Binak – rzekła cicho Diana nie okazując zadowolenia ani niechęci.

Spotkali się na środku placu. Geometra znów chyba wypił o jeden kieliszek za dużo. Jasne oczy lekarza, nie tylko zresztą oczy, ale i delikatna zaczerwieniona skóra na twarzy, wyrażały smutek. Ali Binak nie stracił swego zwykłego chłodu i on jednak przejawiał ledwo dostrzegalne zmęczenie. Za ekspertami szło kilku górali.

– A więc nadal jeżdżą państwo po Płaskowyżu? – spytał swym donośnym głosem Ali Binak.

– Tak – odparł Besian. – Jeszcze pobędziemy tu parę dni.

– Dni są teraz dłuższe.

– Tak, kwiecień w pełni. A co panowie robią w tych stronach?

– My? – odezwał się geometra. – Jak zwykle. Jeździmy od wsi do wsi, od gminy do gminy... portret grupowy z plamą krwi...

– Słucham?

– Nic, nic, chciałem tylko wywołać obraz... jakby to określić... z malarstwa...

Ali Binak rzucił mu lodowate spojrzenie.

– Czy jest pan tutaj arbitrem w jakiejś sprawie? – spytał Besian Alego Binaka.

Tamten skinął głową.

– I to w jakiej sprawie! – wtrącił się znowu geometra. – Dzisiaj – dodał wskazując na Alego Binaka – wydał wyrok, o którym mówić będą legendy.

– Nie przesadzajmy – rzekł Ali Binak.

– Nie przesadzam ani trochę – odparł geometra. – Ten pan jest pisarzem. Trzeba mu opowiedzieć o sprawie, którą rozstrzygnąłeś.

W ciągu paru minut kilka osób naraz (najwięcej mówił geometra) opowiedziało o przypadku, który sprowadził do wsi Alego Binaka i jego współpracowników. Przerywano sobie, uzupełniano się, korygowano nawzajem. Przebieg wydarzeń był następujący:

Pewna rodzina wykonała przed tygodniem wyrok śmierci na jednej z córek za to, że dała się uwieść i zaszła w ciążę. Z całą pewnością zamierzali też zabić uwodziciela. Tymczasem rodzina chłopca odkryła, że nie narodzone dziecko było płci męskiej. Upredzili więc wypadki ogłaszając, że zostali znieważeni przez rodzinę zabitej dziewczyny; twierdzili, że męski potomek należy do ojca, choćby ojciec nie był połączony węzłem małżeńskim z matką. Krewni chłopca dali zatem do zrozumienia, że teraz przypada ich kolej na dokonanie zemsty. W ten sposób ustrzegli młodego winowajcę przed karą, przeciwnikom zaś uniemożliwili pomstę przedłużając dowolnie besę. Druga strona oczywiście sprzeciwiła się gwałtownie takiej ocenie faktów. Sprawę przedłożono radzie starców, która nie potrafiła jej rozstrzygnąć. Przytłoczeni nieszczęściem rodzice dziewczyny nie mogli pogodzić się z myślą, że muszą spłacić dług krwi rodzicom chłopca,

który stał się przyczyną śmierci ich córki. Nalegali na znalezienie innego rozwiązania. Sytuację komplikował fakt, że według Kanunu potomek płci męskiej już od chwili poczęcia należy do rodziny ojca, a jego krew podlega tym samym prawom co krew dorosłego mężczyzny. Rada starców orzekła, że nie może rozstrząść sprawy, i poprosiła o pomoc wielkiego eksperta od Kanunu, Alego Binaka.

Konflikt rozstrzygnięto zaledwie godzinę temu („Wtedy właśnie spacerowaliśmy nad jeziorem” – pomyślał Besian). Wyrok ogłoszono natychmiast, jak we wszystkich przypadkach zależnych od Kanunu. Przedstawiciel rodziny chłopca powiedział do Alego Binaka: „Chcę wiedzieć, dlaczego rozsypano moją mąkę?” (czyli stracono poczęte dziecko). Ali Binak odpowiedział z miejsca: „A co robiła twoja mąka w cudzym worku?” (W łonie obcej dziewczyny, nie poślubionej). W ten sposób żadna ze stron nie była górą i obie zostały zwolnione od zemsty.

Ali Binak obojętnie słuchał hałaśliwej opowieści o swym wyzynie, żaden mięsień nie drgnął w jego bladej twarzy, nikomu nie przerwał.

– Nie ma co mówić, jesteś sławny – stwierdził na koniec geometra, któremu oczy zwilgotniały od alkoholu i z podziwu.

Przechadzali się po placu.

– Jeśli rozważyć całą rzecz spokojnie, są to kwestie niezmiernie proste – powiedział lekarz idący obok Besiana i Diany. – Nawet w tym ostatnim przypadku, który wydaje się tak dramatyczny, chodzi w zasadzie o stosunek wierzyciela do dłużnika.

Mówił dalej, ale Besian właściwie go nie słuchał. Miał inne zmartwienie: taka rozmowa mogła wyrzucić niekorzystny wpływ na Dianę. W ostatnich dwóch dniach zarzucili ten temat i jej twarz zaczęła się wreszcie trochę rozpogadzać.

– A jak to się stało, że znalazł się pan na Płaskowyżu? – spytał, żeby zmienić temat. – O ile wiem, jest pan lekarzem?

Doktor uśmiechnął się gorzko.

– Byłem lekarzem, teraz jestem kim innym.

W jego oczach malowała się głęboka rozpacz. Besian pomy-

ślał, że jasne oczy, nawet jeśli w pierwszej chwili wydają się wyblakłe, potrafią lepiej niż inne wyrazić cierpienie duszy.

– Skończyłem studia chirurgiczne w Austrii – ciągnął lekarz. – Należałem do pierwszej i ostatniej grupy stypendystów wysłanej tam przez rząd królewski. Może słyszał pan, jak skończyła większość tych studentów po powrocie do kraju? No więc jestem jednym z nich. Całkowite rozczarowanie, brak kliniki, żadnych możliwości wykonywania zawodu. Jakiś czas byłem bezrobotny, a któregoś dnia w kawiarni w Tiranie poznałem przypadkiem tego człowieka – wskazał na geometrę – i on mi zaproponował to niezwykle zajęcie.

– Portret grupowy z plamą krwi – powtórzył geometra, który zbliżył się i usłyszał, o czym mówią. – Zawsze nas pan znajdzie w miejscu splamionym krwią.

Lekarz puścił to mimo uszu.

– I właśnie jako lekarz jest pan potrzebny Alemu Binakowi? – spytał Besian.

– Oczywiście. Inaczej nie wzięłyby mnie z sobą.

Besian spojrział na doktora zaskoczony.

– Nie ma w tym nic nadzwyczajnego – podjął tamten. – Przy wydawaniu zgodnych z Kodeksem sądów w sprawach dotyczących krwi, a ran w szczególności, obecność kogoś, kto posiada elementarną znajomość medycyny, jest zawsze konieczna. Oczywiście, pomoc chirurga nie jest tu nikomu potrzebna... Powiedziałbym, że największą ironią w mojej sytuacji jest to, że zajmuję się pracą, którą mógłby z powodzeniem wykonywać najzwyczajniejszy sanitariusz, a nawet każdy, kto posiada elementarną znajomość anatomii.

– Naprawdę?

Lekarz znów uśmiechnął się z goryczą.

– Jeśli sądzi pan, że zajmuję się tutaj opatrywaniem i leczeniem ran, to jest pan w błędzie.

– Nie rozumiem. Sądziłem, że z przytoczonych przez pana powodów zrezygnował pan z zawodu chirurga, że może pan jednak leczyć rannych.

– Nie – odparł lekarz. – To jeszcze nie byłoby najgorsze. Ale

ja się zupełnie tym nie zajmuję. Rozumie pan? Zupełnie. Górale zawsze sami leczyli rany i robią to nadal; używają do tego raki, tytoniu, najbardziej barbarzyńskich metod, na przykład wyjmują kulę inną kulą, i tak dalej. Nigdy nie wzywają lekarza. Moja rola tutaj jest całkiem inna. Rozumie pan? Nie jestem tu w charakterze lekarza, lecz przybocznego prawnika. Dziwi to pana?

– Nie tak bardzo – odparł Besian. – Znam pobieżnie Kanun i mogę sobie wyobrazić, czym pan się zajmuje.

– Rejestruję rany, daję ich opis i klasyfikację, to wszystko – powiedział sucho lekarz.

Besian, któremu zdawało się, że lekarz po raz pierwszy się zdenerwował, odwrócił się do Diany, ale ich spojrzenia nie spotkały się. Z pewnością ta rozmowa dobrze na nią nie wpływa, ale powiedział sobie: „Trudno. Oby tylko wszystko skończyło się jak najprędzej i oby jak najprędzej stąd odjechać”.

– Słyszał pan może, że za rany płaci się odszkodowanie. Za każdą ranę płaci się osobno, a cena zależy od jej umiejscowienia. Rany głowy na przykład są dwukrotnie droższe niż rany ciała; te ostatnie dzielą się znów na dwie kategorie zależnie od tego, czy znajdują się powyżej, czy poniżej pasa, są też jeszcze inne rozróżnienia. Moja praca asystencka polega tylko na tym, żeby podać ilość ran oraz ich umiejscowienie.

Spojrzał najpierw na Besiana, potem na Dianę, jakby chciał sprawdzić efekt swoich słów.

– Przy ferowaniu wyroków rany nastęrczają chyba jeszcze więcej problemów niż zabójstwa – ciągnął. – Wie pan zapewne, że rana, jeśli nie zapłacono za nią odszkodowania, stanowi połowę wartości krwi. Człowiek zraniony jest więc uważany za półzabitego, za półżywego. Krótko mówiąc: jeśli ktoś zrani dwóch członków jakiejś rodziny albo dwa razy tego samego osobnika i jeśli nie zapłaci odszkodowania za każdą ranę z osobna, to staje się dłużnikiem jednej krwi, czyli musi zapłacić za jedno życie ludzkie.

Zamilkł na chwilę, aby mogli przetrwać jego słowa.

– Wszystko to – mówił dalej – stwarza niezwykle skomplikowane problemy, zwłaszcza ekonomiczne. Dziwicie się państwo?

Są rodziny, których nie stać na zapłacenie odszkodowań za dwie rany i które wolą wyrównać dług życiem. Są też takie, które gotowe są zrujnować się, zapłacić nawet za dwadzieścia ran, aby swobodnie móc zabić zranionego, gdy tylko wyzdrowieje. Ciakawe, prawda? Ale bywa jeszcze lepiej. Znam człowieka z Czarnych Wąwozów utrzymującego od lat rodzinę z odszkodowań za rany zadawane przez mścicieli. Wiele razy wymykał się śmierci, osiągnął w tej sztuce dużą wprawę i jest przekonany, że żadna kula nie ugodzi go śmiertelnie. Jako pierwszy na świecie stworzył nowy zawód: kolekcjoner ran.

– Co za potworność – szepnął Besian. Spojrzał na Dianę, która zbladła jeszcze bardziej. „Oby ta rozmowa skończyła się jak najprędzej” – pomyślał. Pokój w oberży, kominek, kociołek z ciepłą wodą zawieszony na haku oddalały się coraz bardziej. „Uciekajmy stąd – powiedział do siebie. – Uciekajmy natychmiast”.

Ludzie w małych grupkach rozproszyli się po placu. Diana i Besian zostali sami z lekarzem.

– Może wie pan o tym – podjął znów doktor, a Besian omal mu nie przerwał: „Nic nie wiem i o niczym nie chcę wiedzieć” – że jeżeli dwóch ludzi strzela do siebie z bliska i jeden z nich ginie, a drugi zostaje tylko zraniony, to ranny płaci za różnicę, czyli jak gdyby za nadwyżkę krwi. Innymi słowy, jak to już panu mówiłem, za półmityczną oprawą kryje się przeważnie czynnik ekonomiczny. Oskarży mnie pan może o cynizm, ale krew w naszej epoce stała się towarem, jak wszystko inne.

– O, nie! To uproszczony sposób widzenia – zaprotestował Besian. – Ekonomię trzeba oczywiście brać pod uwagę w wyjaśnianiu wielu zagadnień, ale nie można iść w tym kierunku zbyt daleko. Mam zresztą w związku z tym pytanie: czy to nie pan napisał artykuł o wendecie zakwestionowany przez królewską cenzurę?

– Nie – odparł sucho lekarz. – Dostarczyłem tylko materiały, ale nie ja jestem autorem.

– Przypominam sobie, że przeczytałem tam dokładnie takie zdanie: „Krew przeobraziła się w towar”.

- Jest to niezbita prawda.
- Czytał pan Marksa?

Doktor nic nie odpowiedział, spojrział tylko na pytającego, jakby chciał mu rzec: „A ty, który zadajesz mi to pytanie, czytałeś Marksa?”

Besian zerknął z boku na Dianę, i coś mu szepnęło, że powinien przeciwstawić się lekarzowi.

– Moim zdaniem pana tłumaczenie dzisiejszej sprawy jest zbyt uproszczone – powiedział szukając jakiegoś punktu zaczepienia do repliki.

– Ani trochę – odparł lekarz. – Mówiłem to już i powtarzam raz jeszcze: w całym dramacie, który był dzisiaj przedmiotem naszego sądu, chodziło tylko o wyrównanie długu.

– Oczywiście że długu, ale długu krwi.

– Krew, wartościowe kamienie czy tkaniny, co za różnica? Dla mnie chodziło o dług, o nic więcej.

– To nie są rzeczy porównywalne.

– Owszem, są.

Głos lekarza stał się ostry. Delikatna skóra na twarzy zaczerwieniła mu się, jakby stał przy ogniu. Besian poczuł się dotknięty.

– Jest to tłumaczenie naiwne, żeby nie powiedzieć: cyniczne – rzekł.

Spojrzenie lekarza było teraz lodowate.

– To pan jest naiwny – odparował – naiwny i równocześnie cyniczny, pan i pana pisarstwo.

– Proszę nie podnosić głosu.

– Będę krzyczał, nawet na całe gardło – oświadczył lekarz, ale zniżył ton. Głos jego, przypominający teraz gwizd, zabrzmiał jeszcze groźniej. – Pana książki, pańska sztuka, pachną zbrodnią. Zamiast coś zrobić dla tych nieszczęsnych górali, towarzyszy pan śmierci, wynajduje pan wzniosłe motywy, poszukuje pan tutaj piękna, które ma karmić pańską sztukę. Nie widzi pan, że jest to piękno, które zabija, jak powiedział pewien młody pisarz, którego pan z pewnością nie lubi. Przywodzi mi pan na myśl pałacowe teatry utrzymywane przez rosyjskich arysto-

kratów, gdzie na obszernej scenie grają setki aktorów, a widownia może pomieścić tylko członków rodziny książęcej. Właśnie tych arystokratów mi pan przypomina. Lud odgrywa krwawy dramat, a pan przygląda mu się z łoża wraz z damami.

W tym momencie Besian zauważył nieobecność Diany. „Chyba jest gdzieś w pobliżu, może poszła naprzód z geometrą, który się do niej klei” – myślał na pół oszołomiony.

– A pan, doktorze – zareplikował Besian – właśnie pan, będąc lekarzem, który twierdzi, że ujmuje rzeczy w sposób właściwy, dlaczego pan uczestniczy w tej mistyfikacji? Co? Dlaczego pan z niej korzysta, żeby zarabiać na życie?

– Jeśli o mnie chodzi, ma pan całkowitą rację. Jestem tylko nieszczęsnym wykolejencem. Ale mam przynajmniej świadomość tego, kim jestem, i nie zatruwam ludzi książkami.

Besian znowu rozejrzał się za Dianą, nigdzie jej nie było. Z pewnych względów lepiej, że nie słyszy tych chorobliwych bredni. Lekarz wciąż mówił, Besian usiłował go słuchać, otwierał usta, żeby coś powiedzieć, i w końcu rzekł raczej do siebie:

– Gdzie jest moja żona?

Szukał jej wśród ludzi snujących się po placu wokół kościoła.

– Dianio! – wyrwał mu się mimowolny okrzyk.

Niektórzy odwrócili głowy.

– Może weszła z ciekawości do kościoła albo do jakiegoś domu do toalety – powiedział lekarz.

– Możliwe.

Ruszyli naprzód. Besian był jednak niespokojny. „Należało zostać w oberży” – pomyślał.

– Przepraszam pana – rzekł miękko lekarz. – Chyba trochę przesadziłem.

– Nic nie szkodzi. Gdzie ona mogła pójść?

– Niech się pan nie martwi. Jest tu gdzieś na pewno. Czy pan się źle czuje? Bardzo pan pobałdł.

– Nie, nie, nic mi nie jest.

Doktor ścisnął go za ramię, Besian chciał się z tego uścisku uwolnić, ale natychmiast o tym zapomniał. Jacyś mali chłopcy kręcili się koło pierwszej gromadki, w której był i Ali Binak, i

geometra. Besian poczuł gorzki smak w ustach. „Jeziora – przemknęło mu przez myśl – wystarczy jedna sekunda. Stary dywan z liści, tragicznie zbutwiały, pokryty zwodniczą poźłotą...”

Szybkim krokiem ruszył w stronę grupy Alego Binaka. „Utopiła się?” – zadawał sobie pytanie. Ale z daleka rysy ich twarzy były kamienne. Nie wyczytał w nich nic, co mogłoby go uspokoić.

– Co to znaczy? – krzyknął przerażonym głosem i, nieświadomie, może pod wpływem wyrazu ich twarzy, zapytał: „Co ona zrobiła?”, zamiast powiedzieć: „Co jej się stało?”

Odpowiedź dobyła się z wielkim trudem przez ich surowo zacisnięte usta. Musieli powtórzyć ją kilka razy, aby wreszcie zrozumiał: Diana weszła do wieży odosobnienia.

Jak to się stało? Ani teraz, ani później, gdy świadkowie zaczęli opowiadać (od początku było jasne, że chodzi tu o jedno z tych wydarzeń, realnych i tajemniczych zarazem, nie związanych z codziennością, o jedno z tych wydarzeń, jakie z czasem tworzą legendy), a więc ani teraz, ani później nie sposób było ustalić dokładnie, jak młodej kobiecie ze stolicy udało się wejść do wieży, do której nigdy nie wszedł nikt obcy. Jeszcze bardziej nieprawdopodobny był fakt, że tego nie spostrzeżono, nawet jeśli ktoś zwrócił uwagę, że oddała się, że krąży w pobliżu, nikt jej w istocie nie śledził, prócz kilku chłopaczków. Gdyby Dianę spytano, pewnie i ona sama nie potrafiłaby wyjaśnić, jak pokonała tę odległość i wreszcie weszła do środka. Sądząc po jej skąpych słowach wypowiedzianych w czasie jazdy przez Płaskowyż, poczuła się i w tym momencie oderwana od świata, jakby była w stanie nieważkości, co nie tylko zrodziło w niej myśl o wejściu do wieży, ale i ułatwiło przebycie drogi tam wiodącej.

Nie można było ostatecznie wykluczyć, że to wszystko przyczyniło się do odwrócenia uwagi i pomogło jej wykonać ów zgubny krok. Przypominano sobie teraz, że oddalała się od ludzi i zbliżała do wieży z lekkością ćmy lecącej ku światłu. Frunęła niczym unoszony wiatrem liść i weszła do wieży, a raczej upadła na jej progu.

Besian, z ziemistą twarzą, zrozumiał w końcu, co się stało. W pierwszym porywie chciał rzucić się naprzód, wyrwać stamtąd żonę, ale jakieś silne ręce pochwyciły go za ramiona.

– Puście mnie! – zawołał do Alego Binaka, chociaż to nie on go przytrzymał.

– Niech się pan uspokoi – rzekł Ali Binak. – Nie może pan tam iść. Nikt tam nie może wejść z wyjątkiem księdza.

– Ale tam jest moja żona! – ryknął Besian. – Sama wśród mężczyzn...

– Ma pan rację. Trzeba działać, ale pan nie może tam iść. Mogliby do pana strzelać, rozumie pan? Mogą pana zabić.

– Niech więc przyjdzie ksiądz czy inny diabeł, trzeba się tam dostać!

– Wezwano już księdza – powiedział Ali Binak.

– Idzie, już jest! – rozległy się głosy.

Wokół nich gromadził się tłum. Besian zobaczył swego woźnicę, czekającego z wybałuszonymi oczyma na polecenia. Besian odwrócił od niego wzrok.

– Rozejdźcie się! – zawołał rozkazującym tonem Ali Binak.

Niektórzy cofnęli się o parę kroków i znowu się zatrzymali.

Zbliżał się zadyszany ksiądz. Na jego zwiotczalej twarzy, z wielkimi workami pod oczyma, malował się strach.

– Jak długo tam jest? – spytał.

Ali Binak rozejrzał się wokoło z pytaniem w oczach. Odezwało się kilka osób naraz. Ktoś mówił, że pół godziny, ktoś inny, że godzinę, jeszcze inny, że kwadrans. Większość wzruszała tylko ramionami.

– Wszystko jedno – powiedział Ali Binak. – Trzeba działać.

Narodził się z księdzem. Besian usłyszał jego słowa: „Więc idę z ojcem” i nabrał nieco otuchy. Tłum zaszemrał. „Idzie tam ksiądz z Alim Binakiem”.

Kapłan ruszył pierwszy, za nim Ali Binak, który odwrócił się po chwili i rzucił w tłum:

– Niech nikt się nie zbliża! Mogą strzelać.

Besian wciąż czuł uścisk obcych rąk na swoich ramionach. „Dlaczego mnie to spotkało?” – załkał w duszy. Świat opusto-

szał, zostały w nim tylko sylwetki księdza i Alego Binaka posuwające się w kierunku wieży odosobnienia.

Dochodzące do niego głosy były jak daleki poszum wiatru z innego świata. „Księdza chroni Kanun, nie mogą do niego strzelać, ale nic nie stoi na przeszkodzie, aby zabili Alego Binaka”. „Nie, do niego chyba nie strzelą, jest zbyt znany”.

Gdy ksiądz z Alim Binakiem był w połowie drogi, w drzwiach wieży pojawiła się nagle Diana. Besian nigdy nie mógł sobie dobrze przypomnieć, co się stało w tym momencie. Zachował tylko wspomnienie bolesnej szarpaniny i straszliwego wysiłku, żeby wyrwać się i pobiec do niej, pamiętał też czyjeś słowa: „Poczekaj, aż się trochę oddali, aż dojdzie do białych kamieni”. Potem przemknęła mu przed oczami twarz lekarza. Ponowił próbę uwolnienia się i znowu te same głosy próbowały go uspokoić.

Diana dotarła wreszcie do białych kamieni. Wtedy puszczonego Besiana, chociaż ktoś krzyknął ostrzegawczo: „Nie puszczajcie go, on ją zabije!” Diana była blada jak płótno. Na jej twarzy nie było lęku, cierpienia, wstydu; była natomiast, zwłaszcza w oczach, przerażająca pustka. Besian obrzucił żonę niespokojnym spojrzeniem: szukał śladów rozdarcia na ubraniu, sieniej plamy na wargach i na szyi, ale niczego takiego nie zobaczył. Westchnął i gdyby nie ta pustka w jej oczach, doznałby nawet ulgi.

Ruchem, który nie był gwałtowny, ale też nie był czuły, schwycił żonę za rękę i poszedł przodem ciągnąc ją do powozu. Wsiadli jedno po drugim, bez słowa, nie żegnając nikogo.

Powóz mknął szybko głównym traktem. Ile czasu już tak jechali: minutę, sto lat? Besian odwrócił się wreszcie do Diany.

– Dlaczego nic nie mówisz? Dlaczego nie wyjaśniasz tego, co się stało?

Skuliła się na siedzeniu, patrzyła nieruchomo przed siebie, jakby była nieobecna. Wtedy mocno, porywczo szarpnął ją za łokieć.

– Mów, co tam robiłaś?

Nie odpowiedziała, nie próbowała nawet cofnąć ręki, którą trzymał jak w kleszczach.

„Dlaczego tam poszłaś? – zawołał w głębi duszy. – Czy po to, żeby zobaczyć na własne oczy najbardziej przerażającą część dramatu? Żeby zemścić się na mnie? Żeby odnaleźć tego górala, tego Gjorga... Gjorga? Będę cię szukać od wieży do wieży... Co?”

Powtórzył potem na głos te pytania, w tej samej kolejności, może tylko trochę je przeinaczył. Nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi i zrozumiał, że wszystkie motywy jednocześnie leżały u źródeł jej postępu. Ogarnęło go nagle wielkie zmęczenie, nigdy w życiu nie był tak wyczerpany.

Zapałał wieczór. Zmierzch i mgła szybko zasnuwały drogę. W pewnej chwili zobaczył przez okno człowieka jadącego na mulicy. Podróżny o bladej twarzy posuwał się jakiś czas tuż za nimi i Besianowi zdawało się, że go poznaje. „Dokąd to jedzie w tych ciemnościach włodarz krwi z Oroszu?” – pomyślał.

„A ty, ty sam, dokąd jedziesz?” Skierował zaraz potem do siebie to pytanie. Sam, na nieznanym płaskowyżu, w zmierzchu rojącym się od zjaw, dokąd?...

W pół godziny później powóz zatrzymał się przed oberżą. Weszli gęsiego po drewnianych schodach na górę i znaleźli się w pokoju. Ogień się jeszcze palił, okopcone sadzą wiadro z wodą wisiąło na haku – oberżysta chyba je napełniał. Lampa naftowa rzucała chybottliwe światło.

Nie zajęli się ani ogniem, ani wodą. Diana rozebrała się i położyła na wznak, dłonią zakryła oczy, aby osłonić je przed światłem. Besian stał przy oknie ze wzrokiem utkwionym w szybie, chwilami odwracał się i widział wtedy jej piękne ramię, z którego zsunęło się jedwabne ramiączko. Wciąż zaślaniała dłonią górną część twarzy. „Co jej zrobili ci na pół ślepi cyklopi?” – pomyślał. I poczuł, że było to pytanie na całe życie.

Zostali w oberży przez tę noc i dzień następny; nie wychodzili z pokoju. Oberżysta przynosił im posiłki na górę, dziwił się, że nie proszą go o rozpalenie kominka.

Rankiem drugiego dnia (było to siedemnastego kwietnia) woźnica załadował bagaże do powozu. Zapłacili rachunek, pożegnali się chłodno z oberżystą i ruszyli w drogę.

Opuszczali Płaskowyż.

Rozdział siódmy

Rankiem siedemnastego kwietnia Gjorg znajdował się na trakcie prowadzącym do Brezftoht. Szedł bez przerwy od świtu, ale i tak przed nocą nie dotarłby do domu. Jego besa wygasiała tego właśnie dnia w południe.

Podniósł głowę szukając słońca. Słońce było zasłane chmurami, mógł więc tylko odgadnąć jego położenie. „Dochodzi południe” – pomyślał kierując ponownie wzrok na drogę. Był jeszcze oślepiiony, widział wszędzie czerwony odblask. Gdyby jego besa wygasiała wieczorem, być może mógłby, idąc bardzo szybko, znaleźć się w swojej wsi koło północy. Wygasiała jednak w południe, jak większość rozejmów. Przy zabójstwach dokonanych dokładnie w dniu wygaśnięcia besy sprawdzano kierunek cienia głowy ofiary. Jeśli cień padał na wschód, oznaczało to, że człowiek został zabity po południu, a więc już po wygaśnięciu besy, jeśli na zachód – że zabito go przed czasem, nieuczciwie.

Gjorg znów podniósł głowę. Jego sprawy były dziś związane z niebem i ruchem słońca. Gdy spuścił wzrok, wydało mu się, jak poprzednio, że droga jest zalana blaskiem. Obrócił się i wszędzie dokoła zobaczył niczym nie zmaconą jasność. Czarny powóz, którego na próżno szukał przez trzy tygodnie po wszystkich drogach Płaskowyżu, nie zjawi się oczywiście w tym ostatnim poranku jego wolności. Wiele razy zdawało mu się, że wyra sta przed nim na drodze, ale zawsze znikał w ostatniej chwili. Widziano go na Drodze Cienia, w rejonie konaków Szali, na Wielkiej Drodze Gminnej, ale jemu, mimo tylu wysiłków, nigdy nie udało się go spotkać. Kiedy zjawiał się w okolicach, gdzie widziano powóz, dowiadywał się, że właśnie odjechał; szukał go

na skrzyżowaniach, które powinien mijać, lecz sprawiał mu zawód i jechał w całkiem nieprzewidywanym kierunku.

Chwilami zapominał o jego istnieniu, ale droga zaraz mu o nim przypominała, chociaż stracił już prawie nadzieję, że go odzyska. Zresztą nawet gdyby powóz błąkał się wiecznie po Płaskowyżu, Gjorg nie mógłby go zobaczyć, zamknąwszy się raz na zawsze w wieży odosobnienia; a gdyby jakimś cudem wyszedł kiedyś na wolność, miałby wzrok tak osłabiony, że widziałby zamiast powozu szarą plamę przypominającą zgnieciony bukiet róż, taki, jaki dzisiaj słońce rysowało na tle chmur.

Gjorg przegnał od siebie obraz powozu i zaczął rozmyślać o swoich bliskich. Oczekiwali go z niepokojem dziś przed południem, on jednak nie mógł przybyć na czas. W południe będzie musiał przerwać wędrówkę i w ukryciu oczekiwać nocy. Stanie się człowiekiem splamionym krwią, będzie poruszać się wyłącznie nocą, i to tylko po bocznych drogach. Przeważności tej Kannun nie uważał wcale za przejaw strachu, lecz za mądrość i odwagę. W ten sposób życie zabójcy nie jest wystawione na łatwy cel, a jego swoboda nie rozdrażnia rodziny ofiary. Obok poczucia spełnionego obowiązku mściciel musi zachować poczucie winy wobec świata. W każdym razie, będzie musiał, gdy minie południe, znaleźć kryjówkę, w której zagrzebie się aż do zapadnięcia nocy. W oberżach, gdzie zatrzymał się na noc w ostatnich dniach, wielokrotnie migą mu przed oczami sylwetka któregoś z Krueciuciów. Może to było złudzenie, a może nie: ktoś go śledził, aby go zabić, gdy tylko wygaśnie besa, kiedy jeszcze nie uświadomi sobie, że musi się mieć na baczności.

„Muszę być czujny” – pomyślał i po raz trzeci spojrzął w niebo. Wydawało mu się jednocześnie, że słyszy jakiś hałas. Zatrzymał się, ale nie potrafił się zorientować, co to takiego. Poszedł dalej, hałas rozległ się znowu. Jakby zduszony pomruk, którego siła to rosła, to znów malała. „To na pewno szum wodospadu” – pomyślał. Tak było rzeczywiście. Podszedł bliżej i stanął zafascynowany. Nigdy jeszcze nie widział tak wspaniałego wodospadu. Nie był podobny do wszystkich innych. Bez piany, bez wytrysków, spadał jednolitą masą wzdłuż ciemnozielonej

skąły i przypominał mu ciężkie włosy pięknej nieznajomej ze stolicy. W promieniach słońca było to niezwykle ładujące podobieństwo.

Stał wciąż na drewnianym mostku, pod którym płynęły opadłe ze skały wody, ale ich bieg był teraz nieskładny i pozbawiony majestatu. Patrzył nieruchomo na wodospad. Tydzień temu ktoś mówił w oberży, że są na świecie kraje wytwarzające światło elektryczne ze spadającej wody. Młody góral zapewniał dwóch gości, że wie to od człowieka, który z kolei usłyszał o tym od innego. Goście słuchali powtarzając raz po raz: „Zrobić światło z wody?! Zwariowałeś, chłopcze! Woda nie jest naftą, jak może wytwarzać światło? Skoro woda gasi ogień, nie może go rozpałać!” Góral jednak obstawał przy swoim: na pewno słyszał takie właśnie tłumaczenie i niczego nie zmyśla; można wytworzyć światło za pomocą wody; oczywiście nie z byle wody, wody bowiem są różne, tak jak różni są ludzie, ale ze szlachetnych wód wodospadu. „Tylko wariaci mogli ci takich bredni opowiadać, a z ciebie jeszcze większy wariat, skoroś im uwierzył” – śmiali się goście. Góral jednak nadal twierdził, że gdyby się to mogło stać, gdyby się stało na Płaskowyżu, to Kanun (ciągle według słów owego człowieka, który miał te informacje od kogoś trzeciego) straci nieco na sile, a Płaskowyż obmyje się trochę z krwi, którą jest nasycony, tak jak zatrute ziemie pozbywają się soli przez irygację. „Wariat z ciebie, wariat” – powtarzali goście, a Gjorg, nie wiedząc czemu, wierzył słowom górala.

Z trudem oderwał się od wodospadu. Miał przed sobą nie kończącą się drogę, lekko purpurową na poboczach.

Znów spojrział w niebo. Jeszcze trochę i wygaśnie jego besa, a on wykroczy poza czas Kanunu. Wykroczyć poza czas. Wydawało mu się dziwne, że ktoś może wykroczyć poza czas. „Jeszcze trochę” – powtórzył zadzierając głowę do góry. Zmięte róże za chmurami nieco pociemniały. Gjorg uśmiechnął się gorzko, jakby chciał powiedzieć: „Nic się na to nie poradzi!”

Tymczasem powóz Besiana i Diany jechał najdłuższą drogą Płaskowyżu: Wielką Drogą Gminną. Szczyty, pokryte do połowy śniegiem, cofały się coraz dalej. Spoglądając na nie Besian pomyślał, że wreszcie opuszczają królestwo śmierci. Niekiedy zerkał z boku na żonę. Była blada, a wstrząsy powozu jeszcze bardziej podkreślały jej sztywność. Budziła w nim lęk. Wydawała mu się obca, osamotniona, ciało pozbawione duszy, która została w górach.

„Co za diabeł mnie podkusił, aby zabierać ją na ten przeklęty Płaskowyż!” – zaklął po raz setny. Płaskowyż po jednym spotkaniu mu ją odebrał. Straszliwy mechanizm lekkim muśnięciem mu ją wydarł, uczynił z niej swoją branke, a w najlepszym razie – nimfę.

Skrzypienie kół wtórowało jego wątpliwościom, domysłom, udręce. Wystawił swoje szczęście na próbę, jakby chciał sprawdzić, czy na nie zasługuje. Poprowadził to kruche szczęście, w jego pierwszej wiośnie, do bram piekieł. Tej próby nie wytrzymało.

Nawiedziły go także myśli pogodniejsze: tak naprawdę to żadna namiętność do innego mężczyzny nie może zmienić uczucia Diany. Jeśli to się już stało (Boże, jak gorzkie są te słowa), nie sprawił tego ktoś trzeci, lecz coś niezwykle doniosłego. Coś nieokreślonego, co wiąże się z odwiecznym dramatem milionów dusz, coś, co wydaje się nie do naprawienia. Jak motyla, który zderzył się z czarną lokomotywą, Dianę zdruzgotał dramat Płaskowyżu.

Chwilami myślał ze spokojem, i ten spokój go przerażał, że Płaskowyż zmusił go do spłacenia długu. Długiem były jego dzieła, wróżki i nimfy, mała łoża, z której oglądał spektakl odgrywany przez krwawiący lud.

„Może ta kara miała go spotkać i gdzie indziej, nawet w Tiranie?” – pocieszał się. Albowiem fale rozchodzące się z Płaskowyżu sięgają bardzo daleko, obejmują cały kraj i wszystkie czasy.

Podwinął rękaw płaszcza i spojrział na zegarek. Była dwunasta.

Gjorg uniósł głowę i szukał wzrokiem plamy, którą tworzyło słońce za warstwą chmur. „Jest właśnie południe” – powiedział do siebie. Besa wygasła.

Skoczył zwinnie na ugór leżący tuż przy drodze. Musiał poszukać jakiegoś schronienia do czasu zapadnięcia nocy. Wokoło rozciągało się pustkowie, nie mógł jednak iść dalej głównym traktem. Byłoby to pogwałceniem Kanunu.

Teren był płaski, bezkresny. W dali widać było ziemie uprawne, jakieś drzewa, ale w pobliżu nie znalazł najmniejszej rozpadliny, nawet krzaków, za którymi mógłby przycupnąć.

„Schowam się bezpiecznie, gdy tylko znajdę kryjówkę” pomyślał, jakby przekonując samego siebie, że nie brawura każe mu wystawiać się na cel, lecz brak jakiegokolwiek schowka.

Ziemia zlewała się z horyzontem. Czuł w sobie dziwny spokój, a właściwie głuchą pustkę. Był całkowicie sam pod niebem, które ciężar słońca przechylał teraz leciutko na zachód. Wokół trwał ten sam dzień, skąpany w tym samym powietrzu i w tym samym purpurowym blasku, chociaż wygasła jego besa, a on wkroczył w inny czas. Rozglądał się wokoło szklanym wzrokiem. Więc tak wygląda czas poza besą? Czas wieczny, który do niego już nie należy, bez dni, bez pór roku, bez lat, bez przyszłości, czas pusty, z którym nic już go nie łączy. Czas całkowicie obcy, który nie da mu już żadnego znaku, żadnej wskazówki, nawet co do dnia śmierci, czekając na niego w nieznanym miejscu, w nieznanym czasie, z nieznaną ręką.

Z myśli tych otrząsnął się na widok szarych zabudowań rysujących się w oddali. Wydawało mu się, że je rozpoznaje. „Tak, to konaki Rezy” – rzekł do siebie, gdy znalazł się bliżej. Stamtąd aż do strumienia, którego nazwy nie pamiętał, droga objęta była, jak sądził, besą. Drogi takie nie miały żadnego napisu, żadnego oznakowania, ale wszyscy o nich wiedzieli. Wystarczyło spytać pierwszą napotkaną osobę.

Gjorg szedł teraz szybkim krokiem przez pole. Oszołomienie minęło. Dotrze do drogi chronionej besą i będzie nią szedł aż do wieczora, nie będzie musiał kryć się po krzakach. Może w tym czasie... kto wie, przejedzie tamtędy obity aksamitem powóz.

Powiedziano mu, że pewnego dnia zjawił się w konakach Szalów.

Tak, tak właśnie zrobi. Spojrzał na lewo, potem na prawo, upewnił się, że droga i pole są puste, i w kilka minut pokonał bez wysiłku przestrzeń dzielącą go od głównej drogi. Potem szedł już przed siebie. Wybrał skrót, aby jak najszybciej znaleźć się na drodze objętej besą, inaczej dotarłby tam w ciągu godziny.

„Uważaj – powiedział do siebie. – Cię twojej głowy pada teraz na wschód”. Główna droga była jednak wciąż pusta. Spieszył się, nie myślał o niczym. Daleko przed sobą dostrzegł kilka czarnych, prawie nieruchomych sylwetek. Z bliska okazało się, że to dwaj górale i kobieta jadąca na mulicy.

– Czy tamta droga jest objęta besą? – spytał ich Gjorg.

– Oczywiście, chłopcze – odezwał się najstarszy. – Od stu lat droga od konaków Rezy do Strumienia Nimfy jest pod ochroną besy.

– Dziękuję – powiedział Gjorg.

– Nie ma za co – odparł stary spoglądając ukradkiem na czarną opaskę. – Szczęśliwej drogi!

Gjorg popędził naprzód rozmyślając, co zrobiliby po wygaśnięciu rozejmu wszyscy zabójcy znajdujący się w najróżniejszych miejscach Płaskowyzu, gdyby nie te drogi objęte besą, na których nie mogli ich ścigać prześladowcy.

Odcinek objęty besą nie różnił się niczym od reszty drogi. Ten sam stary bruk, miejscami uszkodzony przez końskie kopyta i spływające wody, te same wykroty i te same zarośla na poboczach. Gjorg miał jednak wrażenie, że jest coś gorącego w tumanach złocistego kurzu. Odetchnął głęboko i zwolnił kroku. „Tutaj doczekam zmierzchu” – postanowił. Usiądzie na kamieniu i odpocznie, lepsze to niż siedzenie w chaszczach. Poza tym... może przejedzie tędy powóz. Nie stracił do końca nadziei. Jego marzenia biegły dalej: widział zatrzymujący się powóz i słyszał wołanie: „Hej, góralu! jeśli jesteś zmęczony, wsiadaj, podwieziemy cię kawałek...”

Od czasu do czasu Gjorg spoglądał w niebo. Najdalej za trzy godziny zapadnie noc. Drogą przesuwali się górale, pieszo lub

konno, pojedynczo lub w małych grupkach. W dali widać było kilka nieruchomych punktów. To na pewno zabójcy, którzy, podobnie jak on, czekają na zapadnięcie nocy, aby ruszyć w dalszą drogę. „W domu pewnie się niepokoją” – pomyślał.

Zbliżał się do niego jakiś góral, szedł powoli, pędził przed sobą czarnego wołu.

Gjorg szedł jeszcze wolniej i góral z wołem dogonił go.

– Dzień dobry! – powiedział góral, gdy zrównał się z Gjorgiem.

– Dzień dobry! – odparł Gjorg.

– Czas się nie posuwa – powiedział.

Miał rude wąsy, które rozjaśniały jego uśmiech. Na rękawie widniała czarna opaska.

– Wygasła twoja besa?

– Tak, dziś w południe.

– Moja trzy dni temu, ale nie mogłem dotychczas sprzedać tego wołu.

Gjorg spojrział na niego ze zdumieniem.

– Od dwóch tygodni chodzę z nim po drogach i nie udaje mi się go sprzedać – mówił dalej góral. – To dobre zwierzę, moi płakali, gdy go zabierał, a jednak nie mogę znaleźć kupca.

Gjorg nic nie odpowiedział. Nigdy nie zajmował się sprzedażą bydła.

– Chcę go sprzedać, zanim zamknę się w wieży. Widzisz, chłopcze, jesteśmy w potrzebie, a jeśli ja go nie sprzedam, nikt się tym nie zajmie. Ale nie mam już wielkiej nadziei. Skoro nie sprzedałem go w ciągu tych dwóch tygodni, gdy byłem wolny, jak mogę zrobić to teraz, kiedy wolno mi poruszać się tylko nocą? Co na to powiesz?

– To prawda – rzekł Gjorg. – Nie będzie to łatwe.

Przyglądał się z ukosa czarnemu wołu, który przeżuwał z całym spokojem. Przypomniały mu się słowa starej ballady o żołnierzu, który znalazł się w dalekim kraju: „Pozdrówcie moją matkę i powiedzcie jej, żeby sprzedała naszego czarnego wołu”.

– Skąd jesteś? – zapytał góral.

– Z Brezftoht.

– To niedaleko. Powinieneś zająć do domu jeszcze tej nocy, jeśli będziesz szedł rażno.

– A ty skąd jesteś? – spytał Gjorg.

– Och, do mojej wsi jest bardzo daleko, jestem z gminy Kraśnicie.

Gjorg zagwizdał.

– To rzeczywiście daleko. Zdązysz na pewno sprzedać wołu przed powrotem do domu.

– Chyba nie – odparł tamten. – Teraz mogę go sprzedać tylko na drogach objętych besą, a nie ma ich znów tak wiele.

Gjorg skinął głową.

– Gdyby besa sięgała do skrzyżowania z Wielką Drogą Gminną, sprzedałbym go na pewno. Ale, niestety, kończy się dużo bliżej.

– Droga Gminna jest niedaleko stąd?

– Tak. To jest dopiero droga! Czego tam nie spotkasz!

– Prawda, na drogach można zobaczyć wiele ciekawych rzeczy – powiedział Gjorg. – Kiedyś widziałem powóz...

– Czarny powóz z piękną kobietą – przerwał góral.

– Skąd wiesz? – zawołał Gjorg.

– Widziałem ich wczoraj w oberży Pod Krzyżem.

– Co tam robili?

– Co robili? Nic. Powóz stał rozprzęgnięty przed oberżą. Woźnica pił w oberży kawę.

– A ona?

Góral uśmiechnął się.

– Oni byli w oberży. Byli tam dwa dni i dwie noce i nie opuszczali pokoju. Tak mówił oberżysta. Ach, bracie, kobieta piękna jak bogini. Przeszywała cię wzrokiem. Zostawiłem ich tam wczoraj wieczorem. Dziś już na pewno odjechali.

– Skąd wiesz?

– Tak mówił oberżysta. Mieli wyjechać dzisiaj. Słyszał to od woźnicy.

Gjorg na chwilę zaniemówił. Utkwił wzrok w brukowanej nawierzchni.

– Jak tam dojść? – spytał nagle.

– Stąd jest godzina drogi. Nasz trakt krzyżuje się z Drogą Gminną. Muszą tędy przejeżdżać, jeśli już nie przejechali. Innej drogi nie ma.

Gjorg utkwił wzrok we wskazanym kierunku. Nieznajomy przglądał mu się ze zdumieniem.

– Co z tobą, nieszczęśniku? – spytał.

Gjorg nie odpowiedział. „Godzina drogi” – powtórzył. Uniósł głowę i odszukał ślad słońca na chmurach. Obliczył, że zostały jeszcze dwie godziny dnia. Nigdy nie była tak blisko. Będzie mógł ujrzeć swoją boginię.

Nie zatrzymując się dłużej, nie zegnając się nawet z górale, pobiegł jak szalony w kierunku prowadzącym, wedle słów górala z czarnym wołu, do skrzyżowania dróg.

Powóz Worpsich coraz dalej zostawiał za sobą Płaskowyż. Pod koniec dnia zaczęły rysować się w odłali dachy miasteczka, wierzchołki dwóch minaretów i wieża jedyne kościoła.

Besian wyrzwał przez okno; śmieszne uliczki wypełniły się w jednej chwili w jego wyobraźni małomiasteczkowym tłumem, urzędnikami gminy niosącymi dokumenty do sądu, sklepikami, sennymi urzędami, kilkoma telefonami starego typu, jedynymi w miasteczku, przez które prowadzono nudne rozmowy, przerywane często ziewaniem. Wyobraził sobie to wszystko i nagle oczekujący go na dole świat wydał mu się przerażająco blady i mdły w porównaniu z tym, który właśnie opuszczał.

A jednak, pomyślał ze smutkiem, sam należy do tego bladego świata, a ponieważ doń należy, nie powinien wracać na Płaskowyż. Płaskowyż nie jest stworzony dla zwykłych śmiertelników, lecz dla tytanów.

Dymy miasteczka oddalały się i pęczniały. Diana siedziała nieruchomo, z głową odrzuconą na oparciu. Nie zmieniła pozycji od chwili wyjazdu. Besianowi zdawało się, że wiezie tylko kontury żony, że ją samą zostawił gdzieś na Płaskowyżu.

Jechali teraz przez opustoszałe pola, gdzie miesiąc temu rozpoczęli swą wyprawę. Odwrócił się, żeby zobaczyć jeszcze,

może po raz ostatni, Płaskowyż. Góry przesuwają się coraz wolniej, zamykają się w swej samotności. Opadała na nie biała, tajemnicza mgła jak kurtyna zapadająca na zakończony właśnie dramat.

W tym samym czasie Gjorg sunął wielkimi krokami Droga Gminną. Szedł już tą drogą od godziny. Z pierwszym dreszczem, jakim zmierzch przeszywa powietrze, usłyszał dochodzące gdzieś z boku suche słowa.

– Gjorg, pozdrawia cię Zef Krue...

Szybkim ruchem próbował ściągnąć karabin, ale ruch ten złął się z ostatnimi sylabami wrogiego nazwiska, które dotarły mgliście do jego świadomości. Gjorg poczuł, że ziemia kołysze się gwałtownie i rozpryskuje na jego twarzy. Upadł.

Przez chwilę zdawało mu się, że cały świat oniemiał, potem w ciszy rozróżnił czyjeś kroki. Czyjeś ręce odwróciły jego ciało. „Przewraca mnie na wznak” – pomyślał. Jednocześnie coś zimnego, chyba lufa, dotknęło jego prawego policzka. Mój Bóże, zgodnie z wszystkimi zasadami! Próbował otworzyć oczy, ale nie wiedział, czy mu się to uda. Zamiast zabójcy zobaczył białe plamy nie stopniałego jeszcze śniegu, a między nimi czarnego wołu, którego tak trudno było sprzedać. „To wszystko – pomyślał – a w gruncie rzeczy trwało to zbyt długo”.

Usłyszał jeszcze oddalające się kroki. „Czyje to kroki?” – przemknęło mu przez głowę raz i drugi. Miał wrażenie, że to kroki znajome. Tak, znał je dobrze, tak jak ręce, które go odwracały... To przecież jego własne! Siedemnasty marca, droga przez Brezftoht... Stracił na krótko przytomność, potem znowu usłyszał odgłos kroków i znowu wydawało mu się, że to są jego kroki. To on, nikt inny, uciekał zostawiając rozciągnięte na drodze własne ciało, które przed chwilą sam zabił.